

ZESZYTY RABCZAŃSKIE

ZESZYTY RABCZAŃSKIE

NR 1, ROK 2013



Stowarzyszenie Kulturowy Gościniec

Rabka-Zdrój 2013

ZESZYTY RABCZAŃSKIE

NR 1, ROK 2013

Redakcja

Jan Ceklarz, Katarzyna Ceklarz

Redakcja techniczna

art&com Piotr Kolecki

Korekta

Anna Chojnacka

Projekt okładki

Piotr Kolecki

Na okładce

Modrzewie przy ul. Parkowej w Rabce (fot. J. Ceklarz 2011 r.)

Stowarzyszenie Kulturowy Gościniec

ul. Kręta 4, 34-700 Rabka-Zdrój

www.kulturowygosciniec.pl

© *Stowarzyszenie Kulturowy Gościniec, Rabka-Zdrój 2013*

Wydawnictwo dofinansowane ze środków Urzędu Miejskiego Rabki-Zdrój

Nakład 500 egz.

ISBN 978-83-931272-3-8

Druk

Agencja Reklamowa „Agenda” Małgorzata Chodorowska

ul. Krakowska 257, 43-300 Bielsko-Biała

Pamięci ks. Kamila Kowalczyka

Od Redakcji

„Zeszyty Rabczańskie” to pismo o kulturze, historii, tradycji i społeczeństwie Rabki-Zdroju i jej okolic. Z jednej strony kierowane jest do osób interesujących się sprawami Rabki i jej mieszkańców – do miłośników Rabki, a z drugiej jest to propozycja dla tych czytelników, którzy zechcą spojrzeć na naszą miejscowość z perspektywy opisu jej wielowymiarowej kultury. Najprawdopodobniej zdecydowana większość odbiorców pisma będzie należała do obydwu tych grup jednocześnie. Ten drugi aspekt pozwoli potraktować „Zeszyty Rabczańskie” jako przestrzeń dającą możliwość doświadczenia różnorodnych i wzajemnie się przenikających procesów kulturowych, które choć są fragmentami większej całości, to posiadają lokalną odmienność. Rabka ma wiele cech charakterystycznych dla miejscowości podobnych do niej pod względem wielkości czy położenia. Niemniej w każdym z takich miejsc są ludzie i wydarzenia warte opisu.

Rabka ma również swoją specyfikę wyróżniającą ją na tle innych miejsc i wynikającą w dużej mierze z jej historii. Mała, góralska miejscowość stała się uzdrowiskiem i zaczęła przyciągać kuracjuszy oraz nowych mieszkańców. Myślę, że Rabka, leżąca między Krakowem a Zakopanem, na granicy między Podhalanami a Zagórzanami, z latami bujnego rozkwitu i gorszej koniunktury, z własnymi oryginalnymi osiągnięciami i z licznymi zapożyczeniami z innych wzorów kulturowych, ma interesującą wewnętrzną strukturę, którą warto poznawać.

Pierwszy numer „Zeszytów Rabczańskich” poświęcony jest pamięci tragicznie zmarłego ks. Kamila Kowalczyka (1986-2013). Ks. Kamil, młody badacz rabczańskiej historii z pokaźnym, jak na swój wiek, dorobkiem publicystycznym, był zadowolony z pomysłu wydawania „Zeszytów Rabczańskich” i zainteresowany współpracą. Miał być jedynym ze stałych autorów tego pisma, zwłaszcza w perspektywie jego studiów doktoranckich na temat historii Kościoła katolickiego w Małopolsce. Niestety, zmarł 18 września 2013 r. w wyniku obrażeń poniesionych w wypadku samochodowym.

Teksty pierwszych „Zeszytów” są przede wszystkim historyczne, w kolejnych numerach proporcje pomiędzy historią, etnografią, literaturą i innymi zagadnieniami mogą ulec zmianie. Założenia co do kierunku rozwoju pisma i treści artykułów zweryfikuje czas. Ale aby „Zeszyty Rabczańskie” mogły istnieć, potrzebni jesteście Wy, Szanowni

Czytelnicy, zainteresowani rabczańskimi sprawami. Zachęcam do współpracy zarówno osoby, które chcą się podzielić swoją wiedzą i refleksjami, i tym samym dołączyć do grona autorów „Zeszytów”, jak i tych z Państwa, którzy mają do przekazania ciekawe informacje, warte tego, by się nimi szerzej zainteresować. Liczę również na rzeczową dyskusję na temat publikowanych tekstów, która pozwoli na rozwój wiedzy o naszym regionie. Aby „Zeszyty Rabczańskie” spełniły swoją rolę, potrzebna jest jeszcze Państwa życzliwość. Mam nadzieję, że chociaż po części na nią zasłużymy.

Jan Ceklarz

prezes Stowarzyszenia Kulturowy Gościniec

Katarzyna Ceklarz

Rabczański park

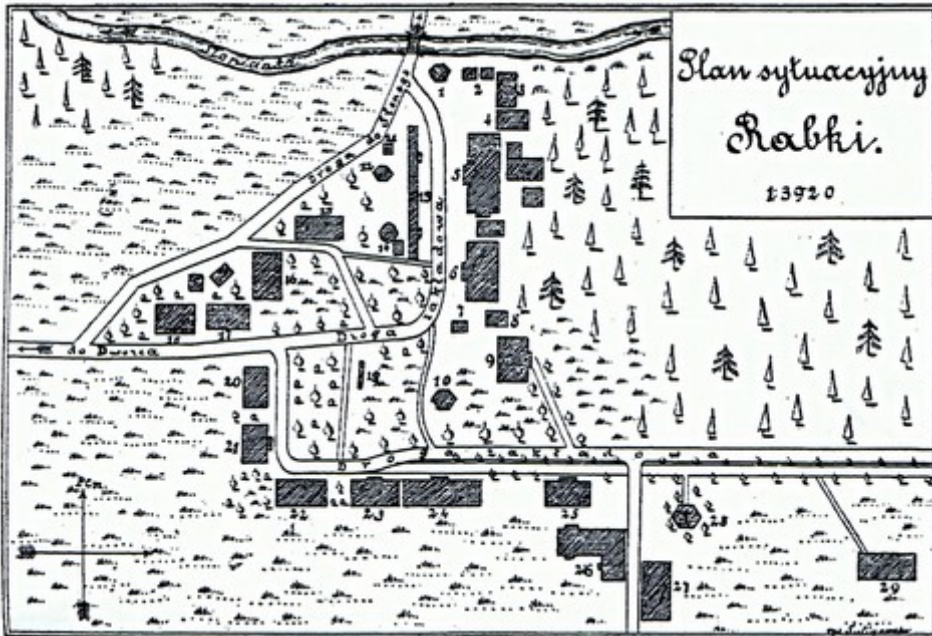
Pierwszym założeniem parkowym w Rabce był 2-hektarowy park dworski przylegający do dworu Zubrzyckich wzniesionego w 1846 roku (dzisiaj już nieistniejący). Był to park jodłowo-świerkowy z domieszką takich drzew, jak lipa, dąb, klon czy jesion oraz drzew owocowych (teren dzisiejszego Rodzinnego Parku Rozrywki „Raboland”). Jego układ znany jest z wielu opracowań pochodzących z okresu międzywojennego, kiedy w dworze funkcjonowało Prywatne Gimnazjum Sanatoryjne Męskie, zorganizowane i prowadzone przez dr. Jana Wieczorkowskiego. Park ten służył uczniom oraz nauczycielom gimnazjum jako naturalne zaplecze zespołu internatowego mieszczącego się w dworze¹. Pomiędzy drzewami wyznaczono alejki spacerowe prowadzące m.in. do zadaszonych altan, w których odbywały się lekcje na świeżym powietrzu. W centralnej części parku, przed wejściem do gimnazjum, istniał sporych rozmiarów gazon, corocznie obsadzany różnorodnymi kwiatami. Podobne rabaty kwiatowe można było znaleźć w innych, bardziej oddalonych od dworu, częściach parku. Zdzisław Olszewski, jeden z uczniów tego gimnazjum, wspomina go w następujący sposób: *Ten wspaniały kompleks wielohektarowego parku, ogrodu i sadu utrzymywali ogrodnicy w doskonałym stanie. A jakie wspaniałe jabłka można było tam kupić od dzierżawcy pana Jankowskiego! Słodkie albo winne, cudowne cukrówki, kokszy, kosztele – jak pięści złote i szare renety. Palce lizać... że nie wspomnę o gruchach jak poduchy.(...) Lekcje w tym ciepłym wrześniu 1927 roku odbywały się przeważnie na świeżym powietrzu, w altanach specjalnie do tego celu wybudowanych, z pnącymi się po nich na zewnątrz różami i dzikim winem².*

Miejsce to, choć piękne, nie mogło pełnić funkcji parku zdrojowego dla kuracjuszy. Goście, przyjeżdżając do rabczańskiego uzdrowiska, koncentrowali swój pobyt w jego górnej części, znacznie oddalonej od dworu, ale za to w pobliżu źródeł wód mineralnych i zakładu uzdrowiskowego. W związku z tym, ówczesny właściciel Rabki – Julian Zubrzycki (II połowa XIX w.) - chcąc udoskonalić i rozbudować zdroj, wychodząc tym samym naprzeciw potrzebom gości, postanowił założyć park zdrojowy znajdujący się

¹ M. Holewiński, *Zagrożenia wartości kulturowych uzdrowiska Rabka*, Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Naukowych PAN O/Kraków. t. XLIV/2. (2000), s. 147.

² Z. Olszewski, *Michał od Cyganów*, Kraków 1985, s. 91.

w niewielkiej odległości od łaźni i pijalni, i w efekcie stanowiący z nimi jedną całość oraz centrum uzdrowiska. W „Tekach Komisji Urbanistyki i Architektury” można znaleźć informację, że rabczańskie założenie parkowe powstało w ramach pierwszego etapu tworzenia zakładu uzdrowiskowego. Etap ten zakończono uroczystym otwarciem źródła dla kuracjuszy w 1864 roku, który równocześnie można uważać za datę otwarcia parku.



OBJAŚNIENIA DO MAPKI.

- | | |
|---------------------------|--------------------------------|
| 1) Źródło Rafaeli. | 16) Dom „pod Orłem“. |
| 2) Źródło Maryi. | 17) Dom „pod Luboniem“. |
| 3) Dom „pod Pawiem“. | 18) Hotel „pod Trzema Różami“. |
| 4) Dom Stara apteka. | 19) Gimnastyka. |
| 5) Łazienki. | 20) Restauracya. |
| 6) Dom „pod Matką Boską“. | 21) Dom „pod Gwiazdą“. |
| 7) Sklep. | 22) Dom „pod Opatrznością“. |
| 8) Lodownia. | 23) Dom „pod Scholastyką“. |
| 9) Dom „pod Warszawą“. | 24) Dom „pod 3 Liliami“. |
| 10) Weranda dla muzyki. | 25) Dom „pod Aniołem“. |
| 11) Źródło Heleny. | 26) Dom „pod Sobieskim“. |
| 12) Źródło Krakusa. | 27) Dom „pod Kazimierzem“. |
| 13) Deptak. | 28) Kaplica. |
| 14) Źródło Kazimierza. | 29) Dom Folwark. |
| 15) Dom „pod Pogonią“. | 30) Zbiorniki. |

Plan sytuacyjny uzdrowiska z 1888 r.

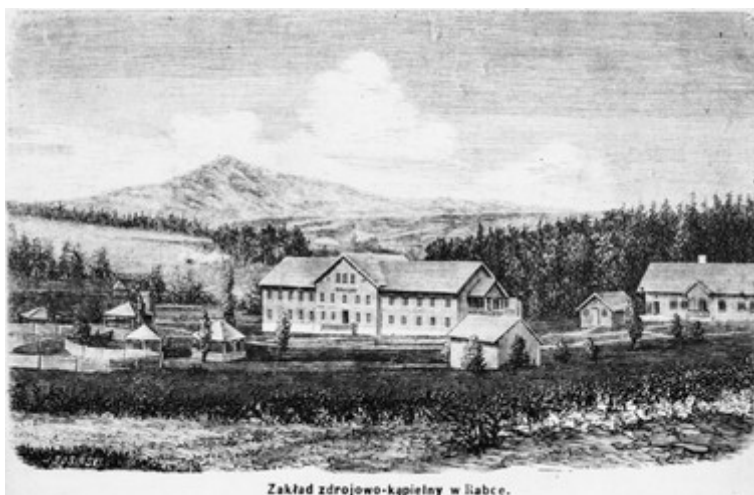
(F. Głuchowski, *Przewodnik dla chorych, udających się do Rabki*, Kraków 1888, s. 2.)

Wtedy to miano: wytyczyć zasadnicze osie założenia zdrojowego oraz założono park (odpowiadający swym zasięgiem wschodniej części dzisiejszego zespołu). Droga ze wsi do źródła zyskała formę alei obsadzonej drzewami³.

Park powstał na bazie naturalnego lasu iglastego istniejącego w okolicach najstarszych uzdrowiskowych pensjonatów, takich jak „Pod Aniołem”, „Scholastyka”, „Warszawa” czy „Pod Sobieskim” oraz kaplicy zdrojowej i tzw. drogi zakładowej. Zatrudniony przez Zubrzyckiego lekarz zakładowy dr Franciszek Głuchowski w pierwszym drukowanym przewodniku dla osób udających się do Rabki w sezonie letnim 1888 r. napisał: *O kilkanaście kroków od kaplicy jest las świerkowy, wzdłuż którego idzie ulica, a tak na niej jak i w samym lesie jest znaczna ilość ławek dla odpoczynku. Las ten jest ulubionym miejscem spacerowym dla gości kąpielowych i trzeba przyznać, że położeniem swoim i powietrzem najzupelniej na to zasługuje*⁴.

³ Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Rozwój przestrzenny i architektura Rabki*, w: Teka KUiA, PAN o/Kraków, t. XVI (1982), s. 126.

⁴ F.M. Głuchowski, *Przewodnik dla chorych udających się do Rabki*, Kraków 1888, s. 28.



Zakład zdrojowo-kąpielny w Rabce

Kolejne inwestycje w parku miały miejsce dopiero po zmianie właściciela źródła. Został on zakupiony w 1898 roku przez lekarza pediatrę dr. Kazimierza Kadena seniora. Pierwszymi działaniami, jakie podjął w parku kolejny właściciel uzdrowiska, było nasadzenie wielu nowych roślin, wytyczenie ścieżek spacerowych pomiędzy wspomnianymi pensjonatami oraz dwóch głównych alei, z których jedna łączyła park z budynkami łazienek i pijalni (dzisiejszy deptak przed kawiarnią „Zdrojową” oraz zabudowania Uzdrawiska Rabka S.A.), a druga prowadziła do drewnianej kaplicy zdrojowej, gdzie w 1897 r. wybudowano kamienną grotę, w której stanęła figura Matki Bożej z Lourdes⁵.

W tym czasie, tak jak w innych uzdrowiskach, w Rabce zaczęto w szybkim tempie budować wille i pensjonaty z myślą o kuracjuszach. Trzon zabudowy stanowiły drewniane wille usytuowane na skraju parku. Większość z nich swoją architekturą nawiązywało do tradycji budownictwa szwajcarskiego lub niemieckiego⁶. Podobnie jak w większości uzdrowisk galicyjskich, tak i w Rabce skopiowano formy stylistyczne w ramach obowiązującego w XIX wieku kanonu budownictwa uzdrowiskowego. Najważniejszym budynkiem był, usytuowany przy „drodze zakładowej”, dom zdrojowy (zwany z niemieckiego Kurhausem), w którym na dwóch piętrach ulokowano łazienki i hotel. Solankę dostarczano do łazienek bezpośrednio z pobliskich ujęć „Rafaeli”, „Marii”, „Krakusa” i „Kazimierza”. Budynek ten został całkowicie przebudowany z początkiem XX wieku, kiedy Kadenowie postanowili go rozbudować, zmieniając równocześnie z drewnianego na murowany.

Tuż obok domu zdrojowego wybudowano drewniany, zadaszony deptak długości ok. 80 m, umożliwiający spacerowanie na świeżym powietrzu w dni deszczowe. Deptak

⁵ A.K., *Z miejsc kąpielowych i klimatycznych*, „Czas”, 206:1897, s. 3, z dn. 10 września.

⁶ M. Holewiński, *Zabytki drewnianej architektury uzdrowiskowej, Rabka lata 1860-1890*, „Aura”, nr 7, 1995, s. 30-31.

ten powstał wzorem zachodnich „badów”, takich jak Karlove Vary w Czechach czy Kudowa-Zdrój na Śląsku. Całość otoczona została parkową zielenią, wśród której znajdowały się inne zabudowania w rodzaju tzw. małej architektury, jak np. niewielkie budynki kryjące w swoim wnętrzu ujęcia solanek, popiersie Zubrzyckiego stojące niedaleko willi „Warszawa”, a także altana dla orkiestry, budynek dla ćwiczeń gimnastycznych, lodownia czy kaplica. W drugiej połowie XIX wieku powstały na skraju parku drewniane pensjonaty dla kuracjuszy, wśród których do najpiękniejszych należała, nieistniejąca już dzisiaj, willa „Pod Kazimierzem” (1864 r.), a także wille „Pod Opatrznością”, „Pogoń” oraz pensjonat „Pod Trzema Liliami” i „Pod Matką Boską”. W najbliższym otoczeniu parku znalazły się również cztery drewniane wille zachowane do dnia dzisiejszego: „Pod Aniołem” z 1870 r., „Liliana” (w 1880 r. przebudowana z wcześniejszej willi „Pod Sobieskim”) oraz „Warszawa” z 1864 r. i „Antonina” z 1890 r., a także obiekty murowane, jak np. dawne uzdrowskowe hotele: „Pod Trzema Różami” wybudowane w 1864 r. czy „Luboń” z 1880 r. W ich pobliżu zlokalizowano w 1870 r. słynącą z dobrej kuchni oraz dancingów restaurację „Pod Gwiazdą”.

Na przelomie wieków

W kolejnej fazie rozwoju parku zaczęto go rozbudowywać zajmując coraz większy obszar płasko ukształtowanego terenu pomiędzy źródłem a częścią starej (dolnej) Rabki. Miejsce to było wcześniej wykorzystywane rolniczo na potrzeby dworu, ale ze względu na coraz większe zainteresowanie Rabką, i tym samym wzrost liczby kuracjuszy w sezonie letnim, postanowiono powiększyć przestrzeń rekreacyjną kosztem pól uprawnych. W ciągu ostatniego dziesięciolecia XIX wieku (1890-1900) wyznaczono dwie równoległe aleje pomiędzy częścią Rabki zlokalizowaną w rejonie drewnianego kościoła pw. Marii Magdaleny a źródłem. Jedna z nich (dzisiejszy ciąg ulicy Orkana), zwana była Białą Aleją i prowadziła, praktycznie w linii prostej od dworca kolejowego (powstałego w 1885 roku) w stronę cmentarza parafialnego i dalej do uzdrowiska. Droga ta została obsadzona szpalerami lip (w latach 1900-14), których kora o jasnym odcieniu mogła być przyczyną nazwania jej białą. Drugą, równoległą do niej drogą była „Czarna Aleja” (znaczny fragment dzisiejszej al. Jordana), dla odmiany obsadzona świerkami, wytyczona w odległości około 200 metrów od pierwszej⁷.

Obie te promenady połączone były trzema poprzecznymi alejkami, obsadzonymi na przemian świerkami i lipami. Jedna z nich została dodatkowo przedłużona w kierunku południowym, prowadząc na skraj stromego brzegu opadającego do koryta rzeki Poniczanki. W wyniku tych zmian park, który w 1909 r. liczył 50 morgów, został powiększony do 80 morgów w roku 1912. Lekarz zakładowy dr Edmund Supiński, w przewodniku dla gości przybyłych do źródła, odnowiony park opisywał następująco: *Urządzono go więc na wyżynie ponad źródłami na przestrzeni 50 morgów, a drzewa już rosnące zostały pomnożone kilkoma tysiącami młodszych. Linia ścieżek przeszła 5 km długa, obstawiona ławkami, zapewniła bardziej osłabionym chorym miłą przechadzkę. Tam mieści się plac do krykieta, lawn tenisa, tu na suchych trawnikach w tym celu*

⁷ M. Holewiński, *Zagrożenia wartości kulturowych uzdrowiska Rabka*, Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Naukowych PAN O/Kraków. t. XLIV/2. (2000), s. 148.

urządzonych koziolkuje mała rzesza, gdy jej kąpiele zdrowia, a z niem i ochoty przysporzą. Kto wie, jak niesłychanie ważnym czynnikiem jest słońce w leczeniu rozmaitych chorób, a przedewszystkiem w leczeniu dzieci lymfatycznych, anemicznych i rachitycznych, ten przyzna, że taki park położony wśród lasów świerkowych i gór na płaskowzgórzu wzniesionem na 540 mtr. n. p. m., nie zacieniony zbyt drzewami, a przed wiatrem zakryty, w którym dzieci bawiąc się i biegając, kąpią się w promieniach dobroczynnego słońca, jest jedną z wielkich zalet Rabki⁸. Na równi z parkiem zadbano także o ogólny rozwój Rabki. Z końcem XIX wieku zmodernizowano część uzdrowiskową, która została skanalizowana, oświetlona elektrycznie w 1900 r. oraz wyposażona w wodociąg, co spowodowało, że stała się drugim (po Krynicy) tak nowoczesnym uzdrowiskiem w Galicji.

Tuż przy samym parku, równoległe do „Białej Alei” usytuowano duży drewniany budynek przeznaczony na potrzeby „Kolonii Lecznicznej Św. Józefa” Towarzystwa Opieki Szpitalnej dla Dzieci w Krakowie, która wcześniej mieściła się w willi u zbiegu dzisiejszej ulicy Nowy Świat i Parkowej. Była to, wybudowana w latach 1901-04 willa „Pod św. Józefem”, do której w 1910 r. doprowadzono niezależny rurociąg z solanką⁹. Kurację małych pacjentów oparto na wodolecznictwie oraz przebywaniu na świeżym powietrzu, co zapewniał znajdujący się o krok park zdrojowy.

Niczym w Baden Baden (okres międzywojenny)

Za sprawą balneologa Kazimierza Kadena juniora, będącego w latach 1928-1939 kierownikiem źródła z ramienia rodzinnej rady Kadetów, Wieczorkowskich i Hellerów, uzdrowisko, a z nim cała Rabka, rozwijało się w bardzo szybkim tempie¹⁰. Obok splecenia zaległych wierzytelności (ok. 3,5 mln złotych) rozbudowano sieć elektryczną obejmującą coraz większym zasięgiem okolice Rabki (Zaryte, Chabówkę, Mszanę Dolną). W związku z dużym zapotrzebowaniem na solankę dokonano nowego odwiertu. Wiercenie, poprzedzone badaniami geologicznymi, odbyło się na działce usytuowanej przy „Białej Alei”, naprzeciwko budynku poczty. Przebieg prac nie był wolny od problemów, które Jan Szadurski, administrator Zakładu Kąpielowego, wspomina następująco: *Źródło nosi nazwę „Na Wyrzyskach” i ma głębokość ok. 270 metrów. Kosztowało ok. 1 miliona złotych i było wyposażone w agregat firmy „Ingensol” z Nowego Jorku. W trakcie wiercenia, nastąpiła komplikacja. Przebito warstwę solankonośną i wiercono dalej. Brak solanki spowodował, że dalsze wiercenie zostało zahamowane i rozpoczęto demontaż urządzeń, bo wszystkie rury były miedziane, a więc stanowiły dużą wartość. W trakcie demontażu, gdy zmalała ostrożność robotników, nastąpił wybuch od niedopałka papierosa. Solanka buchnęła z ogromną siłą na wysokość kilkudziesięciu metrów. Trzeba było szybko zrobić odpowiednie urządzenia ochronne*¹¹.

⁸ E. Supiński, *Rabka Zakład Zdrojowo-Kąpielowy, Solanka jodo-bromowa*, Kraków 1909, s. 10.

⁹ *Kolonia Lecznicza św. Józefa*, www.historiarabki.blog.pl

¹⁰ E. Trybowska, M. Olszowska, *Słownik Biograficzny Rabki*, Kraków-Rabka 2007, s. 85.

¹¹ J. Szadurski, *Wspomnienia inż. Jana Szadurskiego*, www.historiarabki.blogspot.com



*Klomb przed domem zdrojowym, lata 30.
(archiwum M. Krasuskiej)*

Kazimierz Kaden zadbał także o uatrakcyjnienie pobytu kuracjuszy w Rabce i rozbudował znajdujące się w parku korty tenisowe. W 1932 r. w miejscu dwóch, stworzono kompleks: cztery korty tenisowe dodatkowo wyposażone w szatnie, prysznice, punkt naprawy i naciągana rakiety oraz kawiarenkę usytuowaną w tak zwanym domku klubowym. W porze zimowej korty zamieniały się w lodowisko (dbał o to Józef Makuła, masażysta zatrudniony w łazienkach zdrojowych). Dodatkowo, propagując sporty zimowe, na skraju parku, budowano tor saneczkowy, a w centrum lodowisko. Te urządzenia znalazły uznanie w prasie uzdrowskiej, gdzie można było przeczytać: *Ślizgawka wzorowo urządzona na kortach tenisowych w centrum parku gromadzi całą młodzież gimnazjalną i dorosłych amatorów łyżew. Na torze saneczkowym cały dzień nieustanny ruch. Amatorzy nart mają do dyspozycji idealne tereny narciarskie bezpośrednio przy Zakładzie*¹². Latem funkcjonował w parku ogródek jordanowski dla gimnastyki i gier na wolnym powietrzu (...) z urządzeniami gimnastycznymi i dużym boiskiem¹³.

W sezonie dbano o stan zieleni parkowej wykonując wszystkie niezbędne ogrodnicze czynności w nocy, tak aby nie przeszkadzać spacerującym w dzień kuracjom. Obok dbałości o drzewa i krzewy rokrocznie wśród alei parkowych oraz przed najważniejszymi budynkami uzdrowiska sadzono różnokolorowe kwiaty tworząc wspaniałe klomby i rabaty. Dla przykładu przed willą „Luboń” kwitło 2000 kolorowych dali. Jak wspomina Szadurski: *Osobnym działem [w Zakładzie – przyp. K.C.] było ogrodnictwo kwiatowe. Prowadził je Leon Golonka. Utrzymanie terenu zakładu i parku zdrojowego w idealnym stanie należało do nas. Przygotowanie kwiatów do wsadzenia odbywało się w szklarniach i oranżeriach. Zmiany kwiatów robiliśmy w nocy, przy specjalnym oświetleniu, aby w dzień nie robić zamętu wśród kuracjuszy. (...) Cały park*

¹² *W rabczańskim „królestwie” dzieci*, „Echo Zdrojów Podhala i Karpat”, 8:1932, nr 1-2, luty, s. 7.

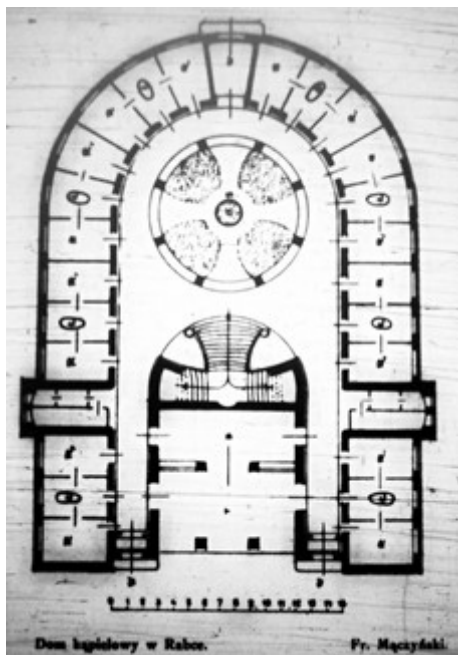
¹³ E. Nawratil, C. Trybowski, *Rabka i okolice oraz krótki przewodnik po Beskidzie Wyspowym i Gorcach*, Kraków 1938, s. 48-9.

i otoczenie Zakładu codziennie, o świcie, było doprowadzane do idealnego porządku przez specjalną grupę kilkunastu umundurowanych wyrostków, pod nadzorem starszego pracownika. W ciągu dnia były pełnione dyżury porządkowe na terenie całego obiektu¹⁴.



*Rośliny egzotyczne na klombach przed domem zdrojowym i w parku
(archiwum M. Krasuskiej)*

Inżynier ogrodnictwa Leon Golonka, kierujący zielenią w Zakładzie Kąpielowym w latach 1932-1939, przybył do Rabki mając nie tylko wykształcenie, ale także ogromne doświadczenie w ogrodnictwie, zdobyte podczas pracy w Wiśniowcu na Kresach Wschodnich, gdzie prowadził park przy zamku, cztery sady, ogrody warzywne oraz szkółkę drzew owocowych i dekoracyjnych. Nic więc dziwnego, że pod jego ręką rabczański park mógł konkurować z innymi uzdrowiskami zdobywając zawsze najwyższe uznanie wśród gości. Ogrzewane szklarnie i oranżerie, królestwo Leona Golonki, znajdowały się za willą „Pod Kazimierzem”. Hodowano w nich begonie, dalie, goździki, bratki, tulipany, rozsadzano krzewy róż, bzy, jaśminy i forsycje oraz wiele innych roślin ozdobnych. Tam również, po sezonie, przetrzymywano rośliny egzotyczne i ciepłolubne jak agawy, palmy czy juki, które w lecie stawiano przed wejściem do łazienek lub jako oryginalne zwieńczenie klombów w parku i na deptakach.



Na skraju parku, w okresie międzywojennym, pojawiła się nowa architektura willowa, która reprezentowana jest do dzisiaj przez budyn-

skiego, www.historiarabki.blogspot.com

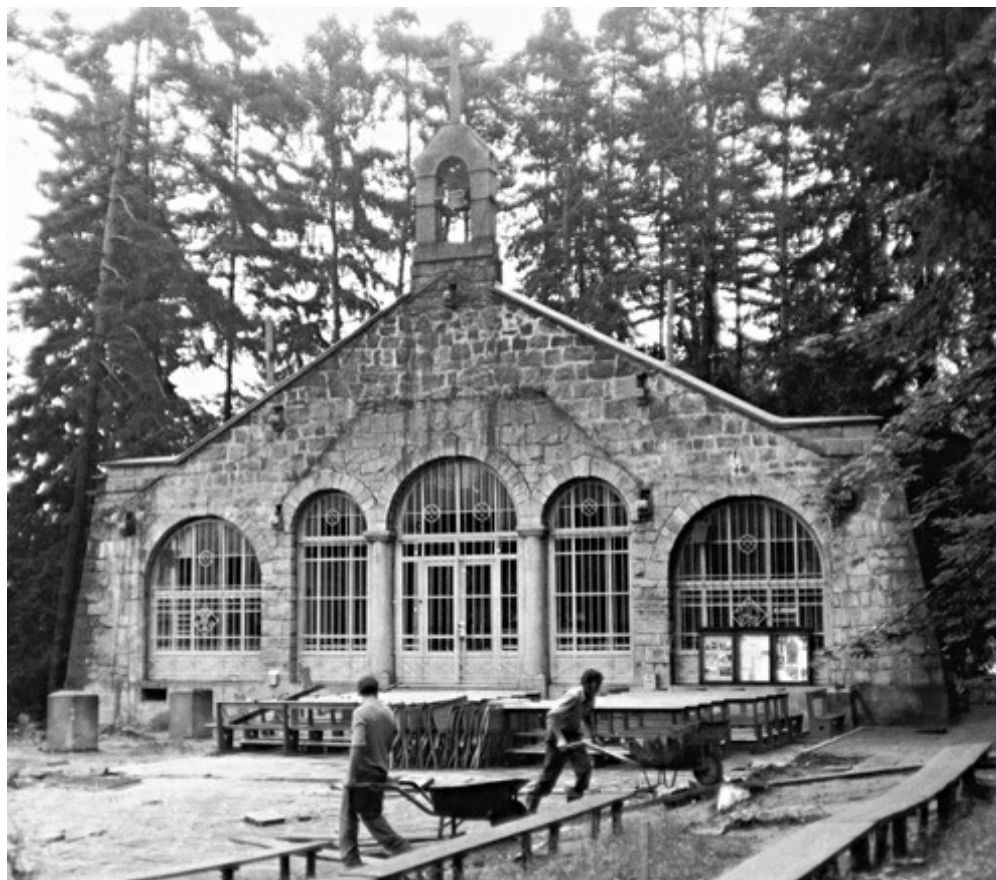
*Plan niezrealizowanego budynku nowych łazienek, projekt F. Mączyński,
(F. Mączyński, Rabka, Plan regulacyjny i nowe łazienki, „Architekt” 1924 r. z.1, s.3, tab.3.)*

ki murowane, takie jak: „Biały Dworek”, budynek poczty, „Świt” czy „Łowiczanka”. Przykładem drewnianej willi modernistycznej, łączącej w sobie elementy budownictwa huculskiego i zakopiańskiego, jest „Kadenówka” wybudowana według projektu Adama Kadena na wschodnim krańcu parku w 1933 r.¹⁵ W ramach nowej mody w architekturze planowano także, zgodnie z planem regulacyjnym opracowanym przez Ministerstwo Zdrowia Publicznego, wybudować gmach nowych łazienek zlokalizowany naprzeciwko willi „Pod św. Józefem”, po drugiej stronie „Białej Alei”. Miał to być dwupiętrowy, nowoczesny budynek, którego centrum stanowiłby obszerny, otwarty hol z ujęciem wody mineralnej. Projekt tego budynku wykonał w 1924 r. architekt Franciszek Mączyński, jednak nigdy nie został on zrealizowany¹⁶. Jak pisał autor projektu: *Załączony plan wskazuje na ukształtowanie budowli w około okrągłego, otwartego z góry arkadowego podwórza, koło którego biegnie korytarz dający dostęp do kabin i leżalni. System kombinowania i intensywnego używania kabin z wannami uzyskany jest przez dodanie do każdej łazienki dwóch leżalni, bezpośrednio z nią połączonych. Leżalnia pierwsza służy do rozebrania się, a po kąpielu do odpoczynku dla pacjentów, zaś leżalnia druga służy dla tychże celów dla drugiego pacjenta bez wzajemnego czekania i straty czasu. Przyziom i piętro mieści łazienki, II piętro hydroterapię, płaski dach służy na kąpiele słoneczne, prócz tego budynek mieści pokoje ordynacyjne doktora, fryzjernie, czytelnię, salonik, wreszcie na dole kawiarnię letnią. Budowa ta usytuowana na otwartym miejscu w parku zakładowym osiągnąć może w lecie maksimum oświetlenia słonecznego. (...) Łazienki otwarte w sezonie letnim pozwolą na wykorzystanie otwartego podwórza arkadowego z zielenią i studnią w środku na wydawanie wody słonej do picia¹⁷.*

¹⁵ Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Rozwój przestrzenny i architektura Rabki*, w: Teka KUiA, PAN o/Kraków, t. XVI (1982), s. 133.

¹⁶ Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Rozwój przestrzenny ...*, s. 128.

¹⁷ F. Mączyński, *Rabka, plan regulacyjny i nowe łazienki*, w: Ekielski W. (red.), w: „Architekt”, 19: 1924, z.1, s. 3.



*Kaplica zdrojowa stan z 1927 r.
(archiwum Urzędu Miejskiego w Rabce)*

Z innych inwestycji lat 30. udało się za to przebudować kaplicę zdrojową, której nowy projekt wykonał w 1927 roku Zdzisław Mączyński.

Zmiany planowano także na terenach pomiędzy parkowymi alejkami, gdzie Kazimierz Kaden wydzielił 25 działek budowlanych (o pow. ok. 800-900 m² każda) z myślą o sprzedaży pod zabudowę domów jednorodzinnych. Plany te nigdy nie zostały zrealizowane. Jan Wieczorkowski zapytany o projekt pradziadka stwierdził, że: *Nie wiem, w którym dokładnie roku przeprowadzono ten podział. Na pewno w hipotece znalazł się on zaraz po wojnie. Pomysł zrodził się więc tuż przed wojną albo w jej trakcie. Moim zdaniem był on od początku chybiony. Ale w tym czasie stary park (wschodnia część dzisiejszego) w zupełności wystarczał i był atrakcyjny dla gości więc nie dziwi mnie, że zachodnia część dzisiejszego parku miała mieć inne przeznaczenie. Szczególnie, że w owych czasach zakład zdrojowy posiadał inne tereny przeznaczone na swój rozwój. Przykładowo miejsce gdzie dzisiaj jest [fontanna – przyp. K.C.] „nerka” przeznaczone zostało na potrzeby rekreacji i rozbudowy kortów¹⁸.*

¹⁸ J. Wieczorkowski, wywiad 20 grudnia 2010 r.



Mapa parku z wyznaczonymi działkami (archiwum J. Wieczorkowskiego)



Leon Golonka (w białym garniturze) w towarzystwie ks. Justyna Bulandy z bukietem dali w ręce (archiwum M. Krasuskiej)

Powojenne zmiany

Czas II wojny światowej zmienił oblicze uzdrowiska. Niemcy, zajmując Rabkę widzieli w niej azyl dla rekonwalescentów z frontu. Nakazali uruchomić łaźienki kąpielowe i wraz z zabudowaniami uzdrowskowymi zaanektowali na własne potrzeby. Rodzina Kadenów wyjechała z okupowanego kraju do Włoch, a następnie do Francji,

administrator zakładu, Jan Szadurski, został aresztowany za działalność konspiracyjną i był więziony w zakopiańskim „Palace”.

W tej sytuacji rabczańskim parkiem zajął się Leon Golonka, który będąc jednocześnie żołnierzem AK zorganizował w Rabce Publiczną Szkołę Ogrodniczą, gdzie: *Zajęcia praktyczne odbywały się w ogrodach zdrojowych, przedmioty ogólne prowadzili nauczyciele tajnego nauczania. Siedziba szkoły była w willi „Maria”. Uczniowie nie podlegali wywozowi na roboty do Niemiec*¹⁹. I w ten właśnie sposób, rękami uczniów, ogrody utrzymywane były na przyzwoitym poziomie, a w parku systematycznie wykonywano niezbędne zabiegi pielęgnacyjne.

Po wojnie funkcję dyrektora uzdrowiska pełnił Jan Wiczorkowski junior (prawnik i leśnik), który kierował nim aż do upaństwowienia rodzinnego majątku, rozporządzeniem Ministra Zdrowia z 23 marca 1948 roku, wyznaczającym do objęcia zarządu nad majątkiem rodziny Kadenów i Wiczorkowskich Przedsiębiorstwo Państwowe Polskie Uzdrowiska. Taki stan rzeczy utrzymał się do lutego 1953 roku, w którym Ministerstwo Zdrowia powołało do życia Przedsiębiorstwo Państwowe Przedsiębiorstwo Uzdrowskie (PPU) z siedzibą w Rabce-Zdroju. W ten sposób wiele willi, park, ciągi deptaków, czyli najbardziej reprezentacyjne części uzdrowiska znalazły się pod nowym zarządem.



*Helena Romanowska z bukietem frezji
(archiwum J. Romanowskiego)*

Ożywienie w rabczańskim parku nastąpiło pod koniec lat 50. kiedy do pracy w ogrodach powrócił Leon Golonka prowadząc je w ramach pracy w Państwowym Przedsiębiorstwie Uzdrowskim.

W 1961 r. kierownikiem szklarni oraz rabczańskiej zieleni została inżynier Helena Romanowska, która wraz z ogrodnikiem Stanisławem Szpakiem oraz innymi współpracownikami wprowadziła ogromne zmiany w parku, a szczególnie w jego części zachodniej (okolice dzisiejszej tężni), gdzie wykonano zupełnie nowe alejki, kwietniki i skwery. Jak wspomina sama ogrodniczka: *W roku 1947, gdy osiedliliśmy się z mężem w Rabce, na terenie parku rosły... ziemniaki i kapusta. Pod koniec lat pięćdziesiątych zespół projektantów z Krakowa opracował plan urządzenia parku po obu stronach Alei Lipowej. Z Kurnika sprowadziłam srebrne świerki, kosodrzewinę, która rozrosła się jak w Tatrach, jarzębinę,*

¹⁹ K.S., *Leon Golonka (1896-1978)*, „Wiadomości Rabczańskie”, nr 28, czerwiec 1992, s. 13.

buki i klony. Zbudowaliśmy sadzawkę [fontannę „nerkę” – przyp. K.C.], w której wśród nenufarów pływały złote rybki. Sadziliśmy – w miejsce umierających świerków – modrzewie. Klomby kwiatowe prezentowały się pięknie, bo z zamięłowaniem programował je Stanisław Szpak...²⁰

Klomby te obsadzone były barwnymi kwiatami hodowanymi przez cały rok w szklarniach. Rozsadzano goździki, frezje, cyklameny, róże, fiołki, bratki, tulipany i wiele innych kwiatów, z których korzystali również mieszkańcy Rabki kupując rozsadki do swoich ogrodów.



*Prace remontowe na deptaku
(archiwum K. Ceklarz)*

Zamięłowaniem Heleny Romanowskiej stały się, modne w tamtych czasach, goździki będące znakiem rozpoznawczym rabczańskich ogrodów. W jej wspomnieniach zawartych w liście do redakcji „Wiadomości Rabczańskie” można przeczytać: *»Ogród przylegający z jednej strony do domu SS Nazaretanek, z drugiej do starego zabytkowego domu „Pod Kazimierzem” przy ul. Nowy Świat nie posiadał ogrodzenia – dwie małe szklarnie – pozostałość po właścicielach Rabki - Kadenach nie gwarantowały produkcji roślin, całe gospodarstwo przypominało pogorzelnisko.« Ale zły początek nie przerażał nowej ogrodniczki. Oszklono dwie duże szklarnie, nawieziono ziemię torfową z Czarnego Dunajca, postawiono na hodowlę goździków »ponieważ Rabka nie posiadała sklepu z kwiatami i mieszkańcy musieli się zaopatrywać w Zakopanem, Nowym Targu i Mszanie...« Pani Romanowska organizuje swoje gospodarstwo, szklarnie, zdobywa sadzonki – tu goździki tam frezje, „w małych szklarniach cyklameny i rozsady roślin ozdobnych do parku.« »Pracowałam z załogą od 6 rano, żeby na 30 czerwca zakończyć obsadzanie parku. Nawiązałam kontakty z NOT w Krakowie, wyjeżdżałam na kwiatowe sympozja do Polczyna-Zdroju, Poznania, Torunia, Łodzi, Katowic...(…) Ogrodnik*

²⁰ J. Kujawa, *Lasy nie płoną, żaluję róż*, „Wiadomości Rabczańskie”, nr 6, sierpień 1990, s. 10.

Stanisław Szpak ukończył kurs mistrzowski w Krakowie... Centralny Zarząd Uzdrawisk w Warszawie brał od nas sadzonki goździków i frezji do szklarni w Konstancinie. Nasze goździki zrobiły furorę na wystawie kwiatów w „Domu Turysty” w Krakowie – otrzymaliśmy nagrodę „srebrnego goździka” zaczęliśmy sprzedawać fiołki alpejskie, goździki, rozsady kwiatów. Odsyłaliśmy co tydzień setki goździków i frezji do kwiaciarni „Krokus” w Zakopanem i sklepu w Nowym Targu... „Aż się wierzyć nie chce, że można było! Plan roczny wypracowywaliśmy do 300% - uroczu stwierdza w liście nasza Ogrodniczka i dodaje »nie byłoby parku gdyby nie gospodarstwo ogrodnicze«.



*Fontanna „nerka” z nenufarami
(archiwum M. Wieczorkowskiej)*

Za czasów Heleny Romanowskiej w parku prowadzono nie tylko hodowlę i nasadzanie kwiatów, ale również akcje zalesiania, o której „Gazeta Krakowska” dumnie donosiła, na swoich łamach: *Pracownicy dyrektury uzdrowiska w Rabce przodują w realizacji zobowiązań, dotyczących zadrzewienia miasta. Od 14 do 27 kwietnia 187 osób pracowało przy sadzeniu drzewek. Łącznie przepracowano 1092 roboczogodziny i posadzono 2796 drzewek. Wartość czynu – 23 923 zł. Dyrekcja uzdrowiska stwierdza, że realizacja zobowiązań przebiega sprawnie dzięki współzawodnictwu między grupami pracowniczymi oraz pomocy Referatu Leśnictwa prezydium PRN w Nowym Targu, który terminowo dostarcza drzewka²¹. Jednocześnie uporządkowano starą, wschodnią część parku, w której wyasfaltowano*

ścieżki spacerowe, wstawiono nowe ławki oraz zreorganizowano i unowocześniono plac zabaw dla dzieci.

W 1969 r. zarówno park, jak i gospodarstwo ogrodnicze zmieniło zarządcę z PPU na Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej (MPGK) podlegające Urzędowi Miasta. Niestety, z roku na rok malały fundusze na utrzymanie miejskiej zieleni, brakowało odpowiednich ludzi do pracy oraz fachowego kierownictwa. Helena Romanowska przeszła na emeryturę w 1972 r. Z biegiem lat zaprzestano hodowli kwiatów w gospodarstwie przy ul. Nowy Świat przenosząc ją do nowych szklarni usytuowanych nieopodal siedziby MPGK na Zaborni. Hodowlą rozsad kwiatowych na potrzeby ukwiecenia miasta (głównie gerber, róż, frezji i tulipanów) oraz produkcją kwiatów doniczkowych w tych szklarniach zajmowała się Maria Nowacka.

Zmian czy też inwestycji było w tym czasie w parku coraz mniej. Mimo to, z początkiem lat 70., uporządkowano teren w centrum uzdrowiska (przed Zakładem Przyrodolecznictwem) oraz wykonano nasyp wzdłuż potoku Słonka, na którym powstał deptak i dodatkowe tereny zielone.

²¹ ol., *Porządki w uzdrowisku*, „Gazeta Krakowska”, wycinek prasowy w archiwum M. Wieczorkowskiej.



*Hodowla kwiatów w szklarniach MPGK
(fot. J. Sierosławski, archiwum Urzędu Miejskiego)*

W samym parku wykonano, niezwykle potrzebny, ukryty pod ziemią budynek miejskich toalet. Zakład Zieleni Miejskiej MPGK zajmujący się parkową zielenią realizował corocznie następujące zadania: odśnieżanie alejek w zimie, utrzymanie w należytym stanie schodów i chodników, przycinanie i pielęgnacja drzew i krzewów, wiosenna obsada rabatek (stokrotkami i bratkami wypełniano ok. 1000 m² powierzchni), letnia obsada rabatek (2200 m²), koszenie i grabienie trawy, zabezpieczanie krzewów róż na zimę, a także systematycznie sprzątanie całego terenu i utrzymanie wspomnianych toalet²².

W ramach czynu społecznego przywrócono także do użytkowania korty tenisowe, zamienione w latach 60. w ogródek jordanowski. Członkowie TKKF Carlina własnymi siłami doprowadzili korty do porządku, ściągając z nich ponad 50 ton nawiezionej tam piasku oraz nakładając mieszaninę mączki ceglanej z gliną. Prace trwały 8 miesięcy i zakończyły się jesienią 1978 r. Od 1980 r. corocznie rozgrywane są na nich zawody tenisowe o „Puchar Rabki”²³.

²² *Plan Działania MPGK na 1988 r.*, w: *Plan techniczno-ekonomiczny na 1988*, archiwum MPGK.

²³ M. Szarawarki, *Tenis w Rabce*, „Gazeta Rabczańska”, nr 12, czerwiec 2004, s. 9.



*Odnowa kortów tenisowych w parku w 1978 r.
(fot. J. Sierostawski, archiwum Urzędu Miejskiego)*

Lata 90.

Od 1991 r. na zlecenie Urzędu Miasta zielenią parkową zajmowała się firma Konrada Białowąsa, która intensywnie zabrała się prac porządkowych. Ostre przycinanie i przeredzanie krzewów parkowych wywołały nawet niepokój wśród mieszkańców Rabki. *Sam słyszałem – mówił ogrodnik Konrad Białowás w wywiadzie dla „Wiadomości Rabczańskich” - że Białowás niszczy krzewy. Nic podobnego! Zgodnie z zasadami sztuki ogrodniczej rozpocząłem odmladzanie krzewów. Nasze suchodrzewy, derenie, jaśminy i tawuły od lat czekały na takie zabiegi, bo nie były pielęgnowane. Zapewniam, że jeszcze w tym roku krzewy odrosną, część z nich będzie kwitnąć, a w przyszłym sezonie – dają głowę – wszystkie odwdzięczą się wspaniałymi kwiatami. Nie tylko pielęgnuję stare krzewy. Przed Wielkanocą zasadzę w parku sto nowych krzewów, wśród nich takie atrakcyjne gatunki, jak żylistek czerwony, kalina, irga wielokwiatowa, żarnowiec czerwony²⁴.*

Przeprowadzono również dendrologiczną ocenę drzewostanu, w wyniku której trzeba było dokonać cięć sanitarnych i kosmetycznych. Wiosną nasadzono wiele nowych kwiatów, w szczególności tulipanów (ok. 3 tys. sztuk) i krzewów różanych (1,2 tys. sztuk) odświeżając w ten sposób stare klomby. Dosiewano trawę w miejscach zadeptanych lub wyjałowionych. Systematycznie grabiono i wywożono liście. Do prac porządkowych na parkowych alejkach zaproszono młodzież licealną, która zarobione w ten sposób pieniądze chciała przeznaczyć na atrakcyjną wycieczkę. *To początek dużej roboty – opowiadał Konrad Białowás – sam muszę być bardzo cierpliwy i o cierpliwość proszę wszystkich. W najbliższych kilku latach będę systematycznie odnawiał trawniki i alejki parkowe. Konieczna jest wymiana nawierzchni i obrzeży trawników, Kapitalnego remontu*

²⁴ M. Szreniawa, *Wiosenny spacer po parku*, „Wiadomości Rabczańskie”, nr 26 kwiecień 1992, s.10.

wymaga sadzawka „nerka” i cała sieć parkowych hydrantów. (...) Proszę więc o cierpliwość, efekty będą na pewno cieszyły wszystkich²⁵. Zastanawiano się także, co zrobić z nieczynną fontanną w samym centrum parku (już nieistniejąca, znajdowała się kiedyś przed dzisiejszym pomnikiem Jana Pawła II), znaną z charakterystycznych, wyciętych z blachy postaci dwóch górali pompujących wodę. Fontanna została zlikwidowana i zastąpiona gazonem kwiatowym.

W kolejnych latach (1994-2010) coroczny przetarg na utrzymanie parku wygrywała firma Stanisława Kośmidra. Umowa obejmowała „utrzymanie substancji zastanej” poprzez koszenie trawników, nasadzanie kwiatów w istniejących kwietnikach i gazonach, pielęgnację żywopłotów, utrzymanie czystości, grabienie i wywóz liści oraz coroczne odnawianie 100 m² zniszczonej murawy. Zimą osobny przetarg ogłaszany był na odsnieżanie alejek parkowych.



Fontanna z góralami
(fot. J. Sierosławski, archiwum Urzędu Miejskiego)

Koniec lat 90. i pierwsze lata XXI wieku to czas niewielkich zmian w parku. Fontannę „nerkę” wyposażono w kilka ozdobnych blaszanych rybek, które jednak nie wytrzymały niszczącej siły wandalii, podobnie jak multimedialna „studnia wiedzy o Rabce” wybudowana wraz z kawiarnią „Parkową” naprzeciwko budynku poczty. Kawiarnia „Parkowa” powstała w 1999 roku jako swoista brama prowadząca w głąb parku. Jest to parterowy murowany budynek z podcieniami oraz tarasem od strony głównego deptaku, zaprojektowany przez rabczańskiego projektanta Witolda Gunię. Ogólna bryła budynku, jak również architektoniczne detale i wykończenia wzorowane były na historycznej architekturze uzdrowiskowej. W myśl pierwotnego planu, kawiarnia wchodziła w skład szerszego projektu, zakładającego stworzenia trzech, utrzymanych w podobnym stylu, bram na obrzeżach parku. Dwa pozostałe wejścia miały powstać przy ul. Nowy Świat (naprzeciwko kina „Śnieżka”) oraz przy skrzyżowaniu ul. Orkana z ul. Chopina.

W 2005 r. w samym centrum parku stanął pomnik bł. Jana Pawła II, przedstawionego jako turystę wyruszającego w góry, w otoczeniu gołębi. Pomnik wykonany ze stopu metali, został zaprojektowany przez Michała Batkiewicza i usytuowany na trasie „Szlaku Papieskiego” prowadzącego w Gorce i Beskid Wyspowy. Miejsce to corocznie, w rocznicę śmierci Papieża Polaka, skupia wielu ludzi składających kwiaty i zapalających znicze.

²⁵ M. Szreniawa, *Wiosenny spacer ...*, s.10.

Rewitalizacja parku – powrót do świetności

Wraz z upływem czasu stało się jasne, że rabczański park, żeby wrócić do lat świetności, wymaga znacznie większych zmian, a co za tym idzie ogromnych nakładów finansowych. Alarm w tej sprawie wielokrotnie podnosiła nowotarska delegatura Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków. Mirosław Holewiński zaznaczał: *Postępująca degradacja zabytkowej substancji, zarówno budowlanej, jak i przede wszystkim układu kompozycyjnego i tworzywa dendrologicznego, grozi nieodwracalnymi zmianami uzdrowskiego parku w Rabce*²⁶. Ta i wiele innych opinii utrzymanych w podobnym tonie spowodowały, że rabczański samorząd zaczął starać się o pozyskanie zewnętrznych środków na poprawę wizerunku i atrakcyjności Rabki, w tym stawiając na pierwszym miejscu rewitalizację parku²⁷. Przygotowanie niezbędnej dokumentacji, procedury administracyjne, a także wykonanie projektu rewitalizacji trwało ponad pięć lat. W efekcie tych działań w 2009 r. rozpoczęły się prace w zachodniej części parku, gdzie w pobliżu źródła solanki jodkowo-bromowej „Helena” powstała teżnia wraz z pijalnią wody mineralnej. Koszt całej inwestycji (wraz z okalającymi tęźnię alejkami, stylowym oświetleniem, wiedeńskimi ławkami, założeniem nowych trawników i posadzeniem krzewów ozdobnych) wyniósł 2,5 mln złotych. Uroczyste otwarcie obiektu dla kuracjuszy nastąpiło w czerwcu 2009 r. i od samego początku spotkało się z licznymi słowami uznania, zarówno mieszkańców Rabki, jak i gości sezonowych. Unoszący się nad tęźnią aerosol, powstały z rozpylonej solanki, działa leczniczo na tarczycę oraz górne drogi oddechowe.

Kolejny etap kompleksowej rewitalizacji rozpoczął się w 2010 r. Równolegle prowadzone były prace w wielu miejscach parku. Obok tęźni wybudowano nowy pawilon wraz z kiwajką (pompą tłoczącą solankę do tęźni) otaczający źródło „Helena” oraz nowoczesny plac zabaw dla dzieci i sieć wybrukowanych alejek. Budynek kiwajki, przypominający baśniowy domek, został ze względów bezpieczeństwa otoczony, komponującym się z całością, żeliwnym płotem i obsadzony zielenią. Instalacja ogrodzenia była konieczna z powodu niewielkich ilości metanu, wydobywającego się ze źródła i uchodzących do atmosfery przez ażurową wieżyczkę budynku.

Równolegle w pozostałych częściach parku rozpoczęły się prace modernizacyjne na dużą skalę. W pierwszej kolejności wyremontowano alejki spacerowe i deptaki, wykonując drenaże, nową instalację oświetleniową oraz pokrywając ich powierzchnię drobną kostką brukową. Nasadzono również wiele nowych krzewów i kwiatów. W myśl projektu autorstwa Sylwii Myszkowskiej z Nowego Sącza, park został podzielony kompozycyjnie na dwie części o odmiennym charakterze i przeznaczeniu. Część zachodnia to tzw. strefa słońca, gdzie swobodnie poprowadzone alejki, duża ilość różnorodnych krzewów oraz odnowione trawniki zachęcają do spacerów i kąpieli słonecznych. W strefie tej powstało 10 ogrodów tematycznych z odmienną roślinnością. Już wczesną wiosną można podziwiać, ciągnącą się przez kilkadziesiąt metrów w centrum

²⁶ M. Holewiński, *Zagrożenia wartości kulturowych uzdrowskiego parku w Rabce*, Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Naukowych PAN O/Kraków. t. XLIV/2. (2000), s. 150.

²⁷ *Pozyskiwanie zewnętrznych środków pomocowych i planowanie inwestycji*, „Roczny Rabczański Informator Samorządowy”, 1: 2003, nr 1, s. 5.

parku, kwitnącą „wstęgę wiosenną”, w ramach której nasadzono tulipany, żonkile, bratki i szafirki. W czerwcu przychodzi czas, gdy rozkwita wielokolorowy „ogród kwiatowy” (komponowany corocznie w rozmaite wzory). Warto także odwiedzić „ogród różany”, „ogród azalii i różaneczników” oraz „ogród skalny”, gdzie między naturalnymi kamieniami nasadzono iglaki oraz inne rośliny typowe dla skalniaków (rozchodniki, pierwiosnki, skalnice, rojniki itp.). Powodzeniem wśród kuracjuszy i mieszkańców miasta cieszy się romantyczny „ogród pnący”, w którym rosną róże, wiciokrzewy, powojniki i bluszcze. Późnym latem na największą uwagę zasługuje kolorowy „ogród traw ozdobnych” w pobliżu fontanny „nerki” i „ogród owocowy”, zwabiający przeróżne gatunki ptaków. Jesienią wzrok przyciąga „wrzosowisko” w odcieniach fioletu, różu i bieli, a także „wstęga jesienna” skomponowana z różnokolorowych astrów.

Strefa słońca oferuje więc wiele wrażeń wzrokowych i zapachowych. W tej części znajdują się także największe atrakcje parku, takie jak tężnia solankowa wraz z kiwajką, pomnik bł. Jana Pawła II, korty tenisowe, place zabaw dla dzieci, kawiarnia i wspomniane ogrody. Druga (wschodnia) część parku to tzw. strefa cienia mająca charakter refleksyjno-spacerowy nawiązujący do atmosfery parków angielskich. Alejki w tej części poprowadzone są w większości po linii prostej pośród wysokich, starych drzew i krzewów. W miejscach najbardziej zacienionych trawniki zostały zastąpione roślinami runa leśnego, takimi jak: krokusy, czosnek niedźwiedzi, parzydło leśne, konwalie, przebiśniegi czy bodziszki, które znacznie urozmaicają i rozweselają zakątki parku. W tej części usytuowane zostały kolejne dwa ogrody tematyczne. Jednym z nich jest nostalgicznie nastrajający ogród różnorodnych bylin, zorganizowany w pobliżu cmentarza żołnierzy radzieckich z czasów II wojny światowej, a drugim odurzający „ogród zapachowy”, w którym woń jaśminu, hortensji, róż, berberysów i lilaków daje, w okresie ich kwitnienia, wyjątkowy efekt i ucztę dla zmysłów.

Modernizując park zadbano również o remont lub wymianę wielu parkowych urządzeń i elementów architektonicznych. Korty tenisowe zyskały nową nawierzchnię, stałe trybuny dla kibiców oraz pełne wyposażenie sportowe (dwa stanowiska sędziowskie, siatki do tenisa). W ich bezpośrednim sąsiedztwie wyremontowano obszerny plac wraz z, cieszącą się w sezonie letnim dużym powodzeniem, drewnianą altaną koncertową („Grzybkiem”). W północno-wschodniej części parku generalnemu remontowi poddano schody prowadzące od cmentarza żołnierzy radzieckich w stronę willi „Pod Trzema Różami”. Modernizacji poddano także okrągłą fontannę znajdującą się w ich otoczeniu. Dodatkowo, po rewitalizacji, rabczańska „strefa cienia” oferuje wiele urządzeń dla dzieci i osób czynnie uprawiających sport. W miejscu dawnego Ogródka Jordanowskiego powstał nowoczesny kompleks rekreacyjno-sportowy dla najmłodszych. Wokół drewnianej altany zorganizowano piaskownice, karuzele, ruchomy trap, lokomotywę z wagonami, wielokąty sprawnościowe i przeróżne huśtawki. Obok nich znajduje się wielofunkcyjne boisko do gry w piłkę, wyposażone w bramki oraz kosze do koszykówki. Tuż obok postawiono stoły do gry w ping-ponga. Dla bardziej wymagających sportowców zorganizowano ścieżki zdrowia, z pełnymi zespołami urządzeń sportowych. Do dyspozycji ćwiczących oddano belki i płotki do przeskoków, drabinki do wykonywania przewrotów, poręczce gimnastyczne, słupki do slalomu, wielokąty sprawnościowe oraz ruchome pomosty, a także siłownię na świeżym powietrzu.

Dla ułatwienia poruszania się alejkami wykonano liczne słupy informacyjne oraz tablice zawierające mapy i opis poszczególnych miejsc. Wymieniono wszystkie parkowe ławki oraz kosze na śmieci i lampy. Remont spotkał także, dyskretnie ukryte pod ziemią, miejskie toalety. Ostatnią rzeczą było zainstalowanie stałego monitoringu.

Zmiany poczynione w parku niewątpliwie wpłynęły na poprawę atrakcyjności Rabki jako uzdrowiska oraz „Miasta Dzieci Świata”. Efekty tych zmian są widoczne na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim park, jak za dawnych lat, znów tętni życiem, ciesząc oko kolorami kwiatów i liści. Liczba kuracjuszy oraz mieszkańców miasta, wybierających go na miejsce, w którym chcą spędzić wolne chwile, znacznie wzrosła. Pojawiło się również wiele pochlebnych opinii w prasie i na licznych portalach internetowych promujących Rabkę jako miejsce relaksu i odpoczynku w otoczeniu pięknej parkowej zieleni. Z czasem, gdy nowo posadzone krzewy i drzewa urosną, park odśloni kolejne swoje oblicze i zachwyci dojrzałością formy.

Autorka dziękuje Katarzynie Chrustek, Józefowi Gawłowi, Witoldowi Guni, Mirosławowi Holewińskiemu, Małgorzacie Krasuskiej, Piotrowi Kuczajowi, Janowi Romanowskiemu, Janowi Wieczorkowskiemu i Marii Wieczorkowskiej oraz Urzędowi Miejskiemu i MPGK za udostępnienie materiałów archiwalnych.

Jan Ceklarz

Przedmowa do wspomnień Stanisława Dąbrowy-Kostki

*Pośród nas żyją ci, co przeżyli,
Choć przeżyć przecież nie mieli prawa,
I jeszcze cieszą się z każdej chwili,
Którą ich los im zostawia. (...)*

*Prawem kaduka, w drodze wyjątku,
Niepowtarzalni, jak starodruki,
Żyją co dzień, dzień w dzień - od początku,
I troszczą się o prawnuki.*

Życiorys płk. Stanisława Dąbrowy-Kostki kojarzyć się może z powyżej cytowanymi fragmentami „Dębów” Jacka Kaczmarskiego. Poznaliśmy się, gdy współorganizowałem jubileusz 80-lecia PTTK w Rabce w 2008 r. Wysoki, prosto się trzymający starszy pan, niezwykle ciepły i pogodny. Później spotkaliśmy się w jego mieszkaniu przypominającym archiwum, gdzie podczas kilkugodzinnej rozmowy udało mi się nakłonić Pułkownika do spisania wspomnień z jego powojennych losów związanych z Rabką. Nie było to łatwe z tego względu, że dla niego najbardziej liczą się wydarzenia wojenne, kiedy był żołnierzem AK i Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Mniej chętnie i z większą zadumą opowiadał o WiN-ie i ubeckich więzieniach. Stwierdziłem wtedy, że wspomnienia Stanisława Dąbrowy-Kostki trzeba opublikować z dwóch zasadniczych względów. Po pierwsze, jest to kapitalny opis epoki, w jakiej przyszło mu żyć. A po wtóre, swoje wspomnienia opowiadał w piękny sposób, z dużą swadą i humorem, ale bez patosu i upiększeń. Mówił o swojej bezkompromisowej postawie, za którą przyszło mu drogo zapłacić, ale jednocześnie akcentował, że sytuacje życiowe były wielowymiarowe. Później spotykaliśmy się jeszcze parokrotnie, za każdym razem dyskutując przez wiele godzin. Pan pułkownik zaproponował, bym zwracał się do niego „Wujku”, co jest dla mnie zaszczytem. Jednoznacznie negatywnie oceniał PRL, co nie przeszkadzało mu wydać dobrej opinii o znajomym sekretarzu PZPR. Przyznawał się do silnych związków z Kościołem, ale mówił też o swoim kryzysie wiary. Jest człowiekiem z krwi i kości, który radził sobie w bardzo trudnych sytuacjach nie rezygnując ze swoich zasad; realistą precyzyjnie oceniającym rzeczywistość, ale bez wrogości do ludzi i zdarzeń.

Nasze rozmowy prowadzone były w formie wywiadu. Jednak w trakcie redakcji tekstu stwierdziłem, że wypowiedź Pułkownika jest pełnym przekazem jego poglądów i spójnym opisem życia. Dlatego wspólnie zredagowaliśmy tekst w formie pierwszoosobowej pt. „Człowiek »nikt«. Opowieść o dwudziestu latach z życia Stanisława Dąbrowy-Kostki”. Do tego dołączony został drugi artykuł zatytułowany „Moje trudne CV” opisujący jego lata wojenne i powojenne do momentu wyjścia z więzienia. Jak twierdzi Wujek, aby zrozumieć wydarzenia, trzeba znać szczegóły, które je poprzedzały, bo to właśnie szczegóły składają się na bieg historii. Pewnie ma rację.

**Stanisław Dąbrowa-Kostka
Jan Ceklarz**

Człowiek „nikt”.

Opowieść o dwudziestu latach z życia Stanisława Dąbrowy-Kostki

Wysiadłem z pociągu w Rabce – człowiek nikt. Podobnie jak przed tygodniem wysiadłem z pociągu w Nowym Sączu i tam, nie mając absolutnie żadnych kontaktów, próbowałem znaleźć jakąś pracę. To mi się nie udało. Wobec tego wcześniej zaplanowałem, że będę jechał z Nowego Sącza do Chabówki i będę wysiadał we wszystkich większych miejscowościach po drodze, by tam szukać pracy.

Ja nie tylko byłem nikim, gdy przyjechałem do Rabki, ale ja bardzo starałem się być nikim. Bardzo mi na tym zależało, gdyż wiozłem ze sobą „garb” swojej przeszłości, wybitnie niewygodny w Polsce Ludowej.

W drodze do Rabki

Wyrok skończył się 5 września 1949 r. Siedziałem za nie w pełni udowodnioną działalność w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość (WiN) oraz okupacyjną walkę konspiracyjną w rzeszowskim Podokręgu Armii Krajowej (AK). Władza ludowa nie wiedziała o jednym fakcie z mojego życiorysu. W 1945 r., pod pseudonimem „Dzierżyński”, dowodziłem na Podkarpaciu oddziałem partyzanckim, podlegającym Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj¹. Gdyby o tym wiedziała, nie uszedłbym z życiem. Przez wiele lat musiałem ukrywać moją akowską przeszłość. Natomiast o „Dzierżyńskim” absolutnie nikt nie mógł się wtedy dowiedzieć!

Więzienny ubol² wręczył mi świstek papieru potwierdzający zwolnienie, zanotował podany mu adres w Przemyślu i kategorycznie nakazał meldowanie się w terminie dwutygodniowym w tamtejszych komendach milicji i bezpieki³. Na formularzu zwolnienia figurował tylko nakaz meldowania się na Milicji Obywatelskiej (MO).

¹ Formacja wojskowa podlegała Rządowi RP na uchodźstwie, która powstała w 1945 r. w wyniku reorganizacji polskich struktur wojskowych po rozwiązaniu Armii Krajowej.

² Ubol, ubek – potocznie funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa.

³ Bezpieka – potocznie o Urzędach Bezpieczeństwa Publicznego, na które było podzielone Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Nazwa ta stosowana jest w szerszym znaczeniu do do totalitarnych policji politycznych w ogóle.

- Na zwolnieniu nie ma nic o meldowaniu w Urzędzie Bezpieczeństwa (UB)
- stwierdziłem półgłosem.
- Na milicji i w urzędzie powiedziałem! – ryknął ubol.

W moich warunkach wyjazd do Przemyśla byłby samobójstwem. Postanowiliśmy razem z moją żoną Haneczką (tak ją nazywałem), która czekała na mnie pod więzienną bramą, pojechać do Zakopanego, gdzie wtedy pracowała. Tam, mając dwa tygodnie czasu, zamierzałem rozpoznać sytuację, a następnie podjąć jakieś dalsze decyzje. Niewątpliwie, zresztą nie pierwszy raz w życiu, interweniował mój niezawodny Anioł Stróż, gdyż w zatłoczonym pociągu do Zakopanego, najzupelniej nieoczekiwanie spotkaliśmy kuzynkę mojej żony, Ewę Bartmańską. Po gorącym przywitaniu, typowym dla pań, Ewa spytała:

- Gdzie jedziesz?
- Wiozę męża z kryminału i oboje nie wiemy gdzie jechać...
- Do nas! – bez chwili wahania odrzekła Ewa. – Czekamy na was w Szymiszowie.

W Zakopanem, po tymczasowym zameldowaniu się w urzędzie gminnym i krótkim wypoczynku, znalazłem jakiś peryferyjny posterunek milicji. Przyjął mnie nie wyglądający na intelektualistę podoficer.

- Czego? – spytał.
- Mam się u was zgłosić – odparłem.
- Po co? – on na to zdziwiony.
- Nie wiem po co, kazali, to się zgłaszam – i wręczyłem mu zwolnienie z Wroniek. Długą chwilę oglądał papierek.

- Siedzieliście?
- Siedzieliśmy – odpowiedziałem.

Milicjant najwyraźniej nie wiedział co zrobić ze zwolnionym kryminalistą. Przyglądał mi się spode łba i w końcu wyciągnął w moim kierunku rękę z dokumentem.

- No dobra – powiedział – możecie iść.
- Nie, obywatelu sierżancie – awansowałem go – obywatel sierżant musi potwierdzić, że zgłosiłem się na posterunku.
- Jak potwierdzić? – wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany.
- Napisać na odwrocie kartki – wyjaśniłem i dyktowałem – ...potwierdzam, że drugostronnie wymieniony Stanisław Kostka dopełnił obowiązku meldowania się na tutejszym posterunku Milicji Obywatelskiej.

Przedstawiciel ludowej władzy, popluwając na chemiczny ołówek, grzecznie nagryzmołił co trzeba, potem jeszcze na moje życzenie podpisał się, przybił pieczętkę i w dzienniku wydarzeń odnotował sprawę. Tym sposobem wypełniłem obowiązek meldowania się w MO.

Do administracji więzienia we Wronkach wysłałem listem poleconym stosowne zawiadomienie i niezwłocznie pojechaliliśmy na Śląsk do Szymiszowa do Ewy i Andrzeja Bartmańskich. Tam, podobnie jak w Zakopanem, zameldowałem się tymczasowo w urzędzie gminnym. Andrzej, korzystając z dobrych układów w dyrekcji Państwowego Gospodarstwa Rolniczego (PGR), postarał się dla mnie o posadę księgowego w majątku Błotnica Strzelecka. Tam również meldowałem się tymczasowo.



Góry. Linoryt autorstwa S. Dąbrowy-Kostki (archiwum autora)

Z uwagi na poważną obawę, że ktoś może odkryć cudem zagubiony w śledztwie okres mojej służby w czasie od zakończenia okupacji niemieckiej do niemalże końca 1945 roku, a w szczególności partyzantkę „Dzierżyńskiego”, postanowiłem konsekwentnie unikać absolutnie wszystkich kontaktów nie tylko z ludźmi związanymi z konspiracją, ale nawet z przyjaciółmi i rodziną (wyjątkiem była moja mama). Taki tryb życia oczywiście odbił się fatalnie na naszych warunkach bytowych. Zaczynaliśmy od zera. Jediną materialną wartość stanowił podarowany mi przez ojca i nie wiadomo dlaczego nie skradziony przez bezpiekę, srebrny kieszonkowy zegarek marki Omega. Pieniądze uzyskane z jego sprzedaży wystarczyły na kupno siennika, garnka, dwóch talerzy, widelców, noży i łyżek oraz kilku jeszcze najkonieczniejszych drobiazgów. Stolik i dwa stołeczki dostaliśmy od Bartmańskich. Zatrudniony w majątku stelmach, gdy przy jakiejś okazji zobaczył, że śpiemy na podłodze sklecił nam mocną drewnianą pryczę. Za pierwsze zarobione pieniądze zafundowaliśmy sobie prymitywny, ale odbierający BBC radioodbiornik. Mieszkaliśmy w pokoiku na poddaszu małego domku, w pobliżu majątku. Tam 20 sierpnia 1950 r. urodził się Pawełek.

Niedługo potem otrzymałem wezwanie do stawienia się przed jakąś komisją wojskową w Zabrzcu. Stałem przed areopagiem złożonym z pułkowników w uniformach różnych rodzajów formacji wojskowych.

- Byliście w wojsku? – spytał jeden z nich.
- Byłem.
- W jakim wojsku?
- W Armii Krajowej – odpowiedziałem.
- To nie było wojsko – oświadczył przestuchujący mnie oficer i pokazał drzwi.

Krótko potem otrzymałem wezwanie do stawienia się w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień w Opolu. Przyjął mnie starszy wiekiem kapitan.

- Panie poruczniku, tak mi przykro... odebrano panu stopień...
- Panie kapitanie – odrzekłem – dwadzieścia sześć lat temu zostałem ochrzczony i nikt, z wyjątkiem Pana Boga, nie może mnie odchrzcić. Stopień odebrać może mi ten, kto go nadał.

Po tych wydarzeniach instynktownie odczuwałem narastające zagrożenie. Gdy podszedł do mnie człowiek powszechnie uważany za „opiekującego się” majątkiem utajonego ubola i zaczął zadawać podejrzane pytania, uznałem, że nadszedł czas na szybką zmianę miejsca pobytu. Dyskretnie postarałem się w dyrekcji o urlop. Haneczkę z kilkumiesięcznym Pawelkiem wyekspediowałem w grudniu do mamy, sam pojechałem bez żadnych znajomości i kontaktów szukać pracy w Gliwicach. Tam trafiłem do spółdzielni stolarzy. Przedstawiłem się jako artysta malarz i zaproponowałem uruchomienie zakładu produkującego zabawki z odpadów drzewnych, sprzedawanych dotąd na opał. W rozmowie podparłem się autorytetem sowieckiego wynalazcy Korabielnikowa, chociaż nie wiedziałem, czy taki w ogóle istnieje. Naszkicowałem kilka doraźnie wymyślonych modeli i zostałem zaangażowany. W dyrekcji PGR – dbając o zachowanie formalności – złożyłem wypowiedzenie.



Projekt ruchomej zabawki autorstwa S. Dąbrowy-Kostki (archiwum autora)

Gliwicka spółdzielnia obiecała mi mieszkanie. Na początku jednak otrzymałem półsuterynę z małym okienkiem wychodzącym na podwórzowy śmietnik. Lokal był nieużywaną i od wielu chyba lat niesprzątaną graciarnią warsztatu tapicerskiego. Na podłodze, w kilkucentymetrowej warstwie kurzu kłębiły się odpady drzewne, sprężyny, szmaty i najrozmaitsze inne śmiecie. Wynajęty „na fuchę” szofer z PGR-u przetransportował nocą nasz nędzny majątek, zrzucił wszystko na hałdę brudnych gratów, zainkasował wynagrodzenie i szybko odjechał. Byłem bardzo zmęczony. Nie wiedziałem co począć... Machinalnie, wspinając się po rupiecicach, rozpiąłem spiralną antenę radiową i z nastawionego na Londyn aparatu, zabrzmiała piosenka z tekstem Hemara (cytuje z pamięci):

*Dziś zaśpiewam wam jak skradli jabłko z drzewa,
Towaryszcz Jadam i towarzyszcza Jewa,
Ale na szczęście, w tym Niebieskim Raju
Czuwał Anioł Stróż rajskiego czerezwyczaju...*

Śmieszny tekst na tle skocznej melodii, w zderzeniu z moją sytuacją, podziałał mobilizująco. Tej samej jeszcze nocy rozpocząłem sprzątanie i wkrótce już mogłem sprowadzić Haneczkę z Pawełkiem.

Zaangażowano mnie na etacie „pracownika fizycznego”, gdyż spółdzielnia nie dysponowała wolnym „umysłowym”. Niewielki warsztat zabawkarski, wyposażony w potrzebne urządzenia i odpowiednią załogę udało mi się uruchomić dosyć szybko. Po jakimś czasie zgodziłem się na przyjęcie zaproponowanej mi funkcji przewodniczącego związku zawodowego w spółdzielni. Liczyłem na to, że zarówno status pracownika fizycznego, jak też funkcja związkowa będą niezłym kamuflażem. Warsztat funkcjonował, projektowane przeze mnie zabawki miały powodzenie. Nawiązałem dobre koleżeńskie kontakty. W kwietniu otrzymałem wiadomość o aresztowaniu mojej mamy pod zarzutem działalności w WiN. W lipcu mama, po uprzednim skazaniu na 5 lat więzienia, na podstawie amnestii została zwolniona. 21 stycznia 1952 r. urodził się Maciuś. Na razie, zdawać by się mogło, nie było żadnych powodów do niepokoju.

Z początkiem lipca 1952 r. referent personalny gliwickiej spółdzielni dyskretnie poinformował mnie o wizycie uboli.

- Zażądali twojej teczki – powiedział.
- Dałeś? – spytałem z niepokojem.
- Jakoś nie mogłem znaleźć... Ale zapowiedzieli, że przyjdą znowu za dwa tygodnie.

Personalny załatwił mi urlop i zaliczkę na pobory za przyszły miesiąc. Haneczkę z niespełna dwuletnim Pawełkiem i sześciomiesięcznym Maciusiem wysłałem do ciotki Ewy Wołkowickiej do Krakowa, oddając jej prawie wszystkie podjęte w spółdzielni pieniądze. Tam już następnego dnia zjawił się po nich ubol. Z jego wizyty wywiązała się zresztą śmieszna sytuacja. U ciotki pracowała służąca, niepiśmienna Rusinka, ale moim zdaniem o bardzo wysokim stopniu inteligencji, którą nazywaliśmy nianią Hanią. Gdy w drzwiach pokazał się ubek, dobrze zbudowany mężczyzna i spytał:

- Kostkowa tu mieszka?
- Ona w swoim języku zaczęła krzyczeć:
- *A ty idź w czortyji, j... twoju mać!*
- I tak dalej przez parę minut. On zbaraniał i odszedł.

Dla siebie zostawiłem kwotę konieczną na bilety kolejowe oraz tygodniowe zakwaterowanie i wyżywienie. Planowałem, podobnie jak poprzednio, szukać pracy „w ciemno”, tym razem w górach. Szukałem bez efektu w Nowym i Starym Sączu, potem kolejno w Limanowej, Tymbarku, Mszanie Dolnej... Po tygodniu o zmroku dotarłem do Rabki.

Rabka

- *Ka jedziemy panocku* – spytał stojący przy stacji PKP dorożkarz.
- Szukam taniego noclegu – odparłem zmęczony.
- *Siadajcie!*

Jechaliśmy długo. W końcu dorożka stanęła. Góral zainkasował wynagrodzenie czyszcząc niemal zupełnie moją kieszeń z pieniędzy. Rankiem właściciel schroniska, jak się później okazało Władysław Klempka, zagadnął mnie troskliwie.

- Czemu pan jest smutny?
- Szukam pracy – powiedziałem i spytałem – jak stąd trafię na stację kolejową?
- Łatwo – odrzekł, wskazując przez okno dworzec oddzielony, ku mojemu zdziwieniu, od schroniska torem kolejowym i dodał – organizują u nas dyrekcję Miejskiego Handlu Detalicznego (MHD), mającą zarządzać sklepami na całym Podhalu. Kompletują personel, na pewno przyjmą pana.

Dyrektorowi MHD, który nazywał się Babral, powiedziałem, licząc znowu na etat pracownika fizycznego, że jestem artystą malarzem szukającym pracy w charakterze dekoratora wystaw sklepowych. Niemalże ucieszył się takim nabytkiem i oświadczył, że mogę zacząć od zaraz. Poprosiłem o kilka dni na załatwienie formalności w poprzednim miejscu pracy. Nie mając już pieniędzy, dojechałem do Gliwic „na gapę” i natychmiast spotkałem się z moim personalnym.

- Byli? – spytałem krótko.
- Byli - odrzekł.
- Dałeś teczkę?
- Jakoś nadal nie mogłem odszukać... Ale zapowiedzieli, że jeżeli nie znajdę, to za dwa tygodnie zabrają mnie.



Projekty reklam handlowych autorstwa S. Dąbrowy-Kostki (archiwum autora)

Ten, jak na tamte wredne czasy, zupełnie nietypowy personalny zasługiwał na wyrazy najwyższego uznania. Działał najzupełniej bezinteresownie. Dopomógł bez kłopotów załatwić wszystkie sprawy związane ze zwolnieniem z pracy i wystosował opatrzoną podpisami pieczęciami opinię, świadczącą o mojej poprawności politycznej. Jeżeli nawet potem bezpieka dostała moją teczkę, to z dokumentów tam złożonych – cieniutkiego życiorysiku bez żadnego AK i więzienia oraz ankiety „dla fizycznych” zawierającej zaledwie kilka podstawowych pytań – nie dowiedzieli się niczego. Postarałem się, by opinia z Gliwic trafiła na biurko dyrektora przed moim powrotem.

W Rabce niestety nie udało się manewr z ankietą pracownika fizycznego. Przyjęty zostałem na stanowisko referenta sekcji techniki i organizacji handlu. W ankiecie, bogatej w niewygodne dla mnie pytania, jak wszędzie przedtem, zataiłem swoją wojenno-więzienną przeszłość. Wynająłem mieszkanie i sprowadziłem Haneczkę z maluchami. W MHD starałem się wykonywać swoje obowiązki bez zarzutu. Z końcem listopada 1952 r. oddelegowany zostałem do Słupska na miesięczny kurs dyrektorów przedsiębiorstw MHD. Awans przytrafił mi się niespodziewanie po nagłym zniknięciu poprzedniego dyrektora handlowego, który handel poznał jeszcze przed wojną podobno prowadząc stragan na „Kiercelaku” w Warszawie⁴. W scentralizowanym systemie dystrybucyjnym pewnie gdzieś popełnił błąd. Nie ucieszyłem się tym wyróżnieniem, gdyż przy takiej okazji czerwona władza zawsze grzebała w życiorysach. Nie miałem jednak wyjścia. Po powrocie podszedł do mnie personalny.

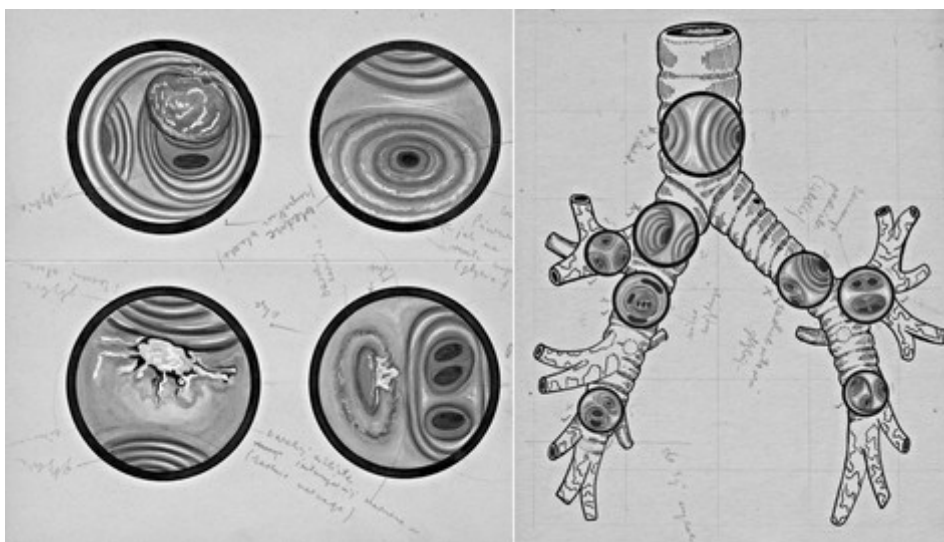
- Towarzyszu – zagaił – obserwujemy was... Złóżcie podanie o przyjęcie do partii.
- Jestem uhonorowany waszą propozycją, ale sądzę że to chyba za wcześnie...
- Dlaczego? – spytał zdziwiony.
- Nie jestem jeszcze przygotowany. Właśnie studiuje „WKP(b)”⁵ i jestem dopiero w połowie tego dzieła. Jak dojrzeję, to się zgłoszę...

Niedługo po tej rozmowie władze MHD wystąpiły do mnie z pretensjami, że nie ujawniłem więzienia. W pierwszej chwili byłem przekonany, że trafili na ślad „Dzierżyńskiego”. Przez pewien czas, może nie taki długi, ale dla mnie ciągnął się on niemiłosiernie, myślałem intensywnie, co dalej robić. Żona, dwoje maluchów... Okazało się jednak, że chodziło im o to, iż nie przyznałem się do więzienia i do WiN-u. Zostałem przeniesiony na stanowisko rewidenta kontrolującego sklepy. Było to zajęcie samo w sobie niebezpieczne. Prawdziwy handel wówczas nie istniał. Towar był odgórnie rozdzielany, więc kierownik sklepu, by zapewnić sobie jaki taki przydział, musiał dawać łapówki. By je dawać, musiał mieć nieksięgowane, zdobywane nielegalnymi sposobami pieniądze. Rewident znajdował się w bardzo trudnej sytuacji. Ujawniając niezgodne z prawem manipulacje krzywdził człowieka postawionego w sytuacji patowej, nie ujawniając narażał się na oskarżenie o współudział w przekrętach. W moich skomplikowanych warunkach mogłem nawet liczyć się z prowokacją. Złożyłem więc podanie o zwolnienie i w grudniu przestałem być pracownikiem MHD. W niewielkiej Rabce nie mogłem znaleźć stałego zatrudnienia. Hanka z chłopcami pojechała do mojej mamy. Ja do Przemysła jechać nie mogłem.

Rok 1953 zaczął się niewesoło. Malowałem zamawiane od czasu do czasu portrety, wykonywałem okolicznościowe dekoracje, ustawiałem wystawy w sklepach znanych mi z zatrudnienia w MHD, wykonałem kilka trudnych ilustracji do pracy naukowej dr. Jana Rudnika, towarzysząc mu podczas bronchoskopii.

⁴ Potoczna nazwa Placu Kercelego, gdzie przed II wojną światową mieścił się w Warszawie największy plac targowy.

⁵ *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Krótki Kurs*. Mający wiele wydań i tłumaczeń podstawowy tekst ideologiczny stalinizmu, zredagowany w Związku Radzieckim w 1938 roku, przez Komitet Centralny WKP(b) i zaakceptowany przez Józefa Salina. Lektura obowiązkowa dla kandydatów do partii komunistycznych.



Ilustracje do publikacji dr. Jana Rudnika (rys. S. Dąbrowa-Kostka, archiwum autora)

Dr Rudnik ustawiał aparat na interesującą go zmianę w oskrzeli, po czym wskazywał mi ją przez wziernik, abym następnie ją narysował. W lipcu udało mi się dostać sezonowe 3-miesięczne zatrudnienie na stanowisku kierownika należących do Orbisu zespołu domów wczasowych w Szczawnicy. Podczas angażu do tej pracy miałem okazję przeżyć jeden z bardziej niesamowitych zbiegów okoliczności w moim życiu. Zgłosiłem się do dyrektora, który miał mnie przyjąć do pracy. Nazywał się Feliks Korczyński. Spotkaliśmy się w jakiejś ogromnej hali, było tam podium z biurkiem, przy którym on siedział. Bujna czarna fryzura, duże czarne brwi. Przed nim stało kilkanaście biurek, gdzie pracowały panie na maszynkach służących do obliczeń tzw. kręciołkach. On popatrzył na mnie i powiedział:

– Aparycję ma pan dobrą, da pan sobie tutaj radę.

Wskazał mi jedną osobę:

– Proszę zgłosić się do pani Grossowej i u niej dokonać formalności.

Mnie to nazwisko zelektryzowało, nie powinienem się wtedy tak zachować, ale odwróciłem się i spytałem:

– Czy jest pani krewną majora Grossa?

– Ach nie! W żadnym wypadku, nic podobnego! – bardzo się broniła przed pokrewieństwem z majorem Grosse.

Załatwiliśmy wszystkie sprawy formalne. Okazało się, że ta aparycja była potrzebna dlatego, że do sanatoriów przyjeżdżała elita artystyczna, głównie grająca i śpiewająca. Poprzednia kierowniczką pozwalała im wybierać pokoje i wtedy zaczynały się dzikie awantury, jakie tylko artyści potrafią robić. Jeszcze do tego wściekł się kucharz, kiedy zobaczył, że można sobie na wiele pozwolić. I na to wszystko posadzili tam mnie, abym opanował sytuację.

Minął tydzień, podeszła pani Grossowa i spytała:

– Czy znał pan majora Grossa?

– Znałem go, gdy byłem chłopcem, chociaż on mnie nie znał – odpowiedziałem wspominając jego pobyt w 5 PSP w Przemyślu. – W czasie okupacji zetknąłem się

- z majorem Grosem w kontaktach służbowych.
- I pan go nie poznał?
 - Nie!
 - To pan nie wie, że Korczyński to major Gross⁶?

Podobne przypadki, chociaż nie tak spektakularne, zdarzyły mi się jeszcze parokrotnie. W Rabce nie poznałem Stefana Tarnawskiego⁷, dyrektora sanatoriów dla dzieci chorych na gruźlicę, który w czasie wojny był szefem krakowskiego Kedywu, moim przełożonym. Drugą taką osobą w Rabce był dr Jezierski – lekarz rzeszowskiego ośrodka Kedywu, którego też znałem w czasie okupacji. Z nim się na szczęście po jakimś czasie porozumiałem.

Po powrocie do Rabki na krótko los znowu się uśmiechnął. Zaproponowano mi zdobienie ścian w salach kilku świeżo remontowanych sanatoriów dla dzieci.

- Mistrzu – powitał mnie wicedyrektor Myszor – zwiedzałem dziecięce sanatoria w Związku Radzieckim. Tam wszędzie na ścianach są piękne, barwne obrazki ze znanych bajek, chcielibyśmy powtórzyć to u nas.

Zamajaczyła wizja dużej i z pewnością dobrze płatnej pracy, lecz dyrektor nie wiedział, że nie byłem „mistrzem”. Nie studiowałem, więc zapewne nie miałem prawa wystawiać rachunków w oparciu o urzędowy cennik.

- Można zacząć zaraz – ciągnął – pewnie zastosuje pan technikę al fresco?
- Al secco – poprawiłem, popisując się profesjonalną znajomością rzeczy - al fresco to praca na mokrym tynku, a ściany zdążyły już wyschnąć.
- Oczywiście – potwierdził moją opinię i wręczając mi skoroszyt z dokumentami dotyczącymi zakresu prac, spytał – przyjmuje pan?
- Muszę porozmawiać o tym z żoną – odparłem. – Pozwoli pan dyrektor, że odpowiem jutro.

Następnego dnia wyraziłem zgodę, na wszelki wypadek proponując próbne wykonanie „pierwszej ściany” kopią Szancera ilustrującą wierszyk Jana Brzechwy dla dzieci. Spodobało się, więc następne obrazki wykonywałem już według własnych pomysłów. Malowałem po kolei sanatoria, mając przy tym różne przyjemne sytuacje. Raz padło pytanie:

- Czy panu nie będzie przeszkadzało, że już wstawili łóżka?
- Ależ wprost przeciwnie – odpowiedziałem.

Wszedłem na salę, a tam dzieciaki krzyczą:

- *O pan malorz!*
- Co wam namalować? - spytałem.
- Jak świnia kaczkę goni!

Więc malowałem świnię, kaczkę, górala jakiegoś z boku.

⁶ ppłk. Feliks Gross-Korczyński ps. „Lotka” m. in. kierował Kedywem mieleckiego Inspektoratu AK. Podczas pełnienia tej funkcji spotykał się służbowo z S. Dąbrową-Kostką

⁷ gen. Stefan Tarnawski ps. „Tarlo” m. in. dowódca Kedywu Okręgu Krakowskiego AK. Po II wojnie światowej do 1953 roku kierował Zespołem Sanatoriów dla Dzieci Chorych na Gruźlicę w Rabce.



S. Dąbrowa-Kostka podczas pracy nad dekoracjami sal (archiwum autora)

– Jeszcze góry! I słońeczko! – dzieci mi podpowiadały.

Było w Rabce kilku profesjonalnych plastyków po studiach, którzy pracowali w sanatoriach. Kiedyś któryś z nich przyszedł do mnie i spytał:

– Kolego, na której był pan uczelni?

Popatrzyłem na niego wymownie i nic nie powiedziałem.

– Pan nie chce mówić, ale - tu wymienił, kto gdzie studiował - nikt pana nie pamięta, a to były małe grupy.

– Wie pan, takie pytanie!

– Ja wiem, proszę pana – on na to – pan studiował za granicą, ale pan się nie chce przyznać do tego!

Popatrzyłem się na niego w taki sposób, żeby potwierdzić jego przypuszczenia i skończyłem rozmowę.

W czasie mojego pobytu w Rabce zaangażowałem się społecznie w PTTK, współuczestniczyłem w utworzeniu Rabczańskiej Grupy GOPR⁸, brałem udział w wyprawach ratunkowych i rajdach. Goprowska dyżurka mieściła się wtedy w naszym mieszkaniu przy ulicy Polnej w willi „Kłosa”. Pomysłodawcą GOPR-u w Rabce był Czesław Trybowski. Razem ze swoją żoną Elfrydą Trybowską byli ściśle ze sobą współpracującą parą, ale to on montował całą sprawę. Trybowscy byli w dobrych kontaktach z Emilem Węglorzem, którego pamiętam jako kapitalnego turystę-włóczęgę. Trybowski zebrał grupę swoich znajomych. Jego pupilem, którego znał jeszcze sprzed wojny, był jego uczeń Leszek Głębic-ki. Został on nawet pierwszym kierownikiem grupy. Głębic-ki był bardzo tajemniczą

⁸ por. K. Ceklarz, *Ratownictwo w Rabce w strukturach PTT-PTTK*, [w:] praca zbiorowa, *Karty z dziejów rabczańskiej turystyki. (W 80-lecie Oddziału PTT-PTTK w Rabce)*, Kraków 2008, s. 73-86.

postacią, szybko gdzieś zniknął. Miał wysoki stopień inteligencji, na jego ciele widziałem ranę wyglądającą jak po postrzale z pistoletu maszynowego. Podobno uciekł z Oświęcimia. Kiedyś zostawił u mnie jakieś dokumenty, po które ktoś potem przyszedł. Wtedy znalazłem jego legitymację policjanta pomocniczego w strefie amerykańskiej. Amerykanie w swojej strefie okupacyjnej w Niemczech tworzyli kompanie wartownicze z ludzi zbiegłych na Zachód.

GOPR rozwijał się fantastycznie, wszyscy byliśmy kolegami po imieniu. Staszek Data, który zawodowo był furmanem był kolegą doktora Jana Tobiczyka. Pierwsze, podstawowe szkolenie mieliśmy na Hali Gąsienicowej, byliśmy na nim ze Zbyszkim Jurczakiewiczem, Staszkiem Dobrzańskim i innymi. Instruktorami byli ludzie pamiętający czasy gen. Zaruskiego⁹.



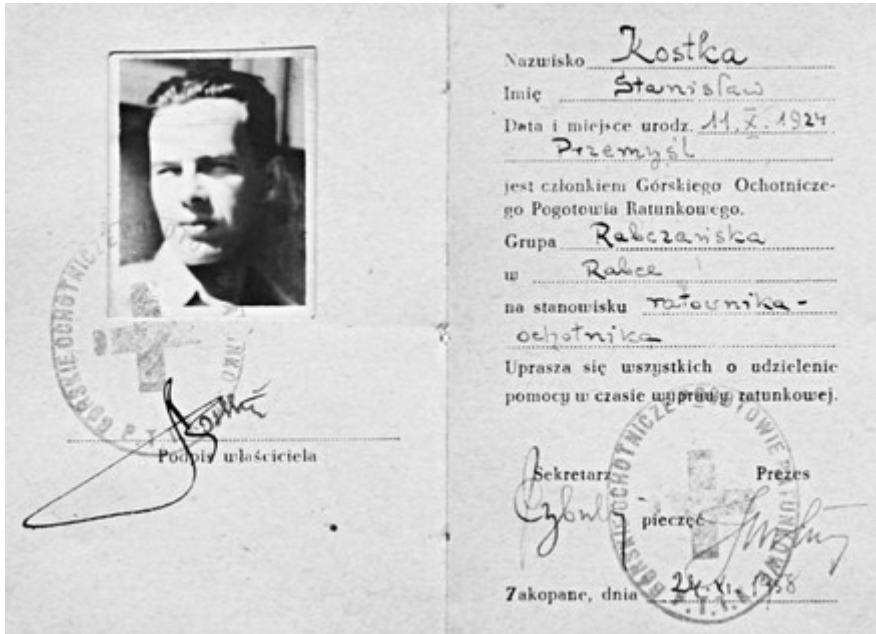
Ratownicy Rabczańskiej Grupy GOPR, od lewej: Józef Dobrzański, Zbigniew Jurczakiewicz, Stanisław Dąbrowa-Kostka (archiwum autora)

Spośród wielu akcji ratowniczych ciekawe pod wieloma względami było poszukiwanie pilota z nowotarskiego aeroklubu, którego szybowiec rozbił się gdzieś w Gorcach. Komendant lotniska zadzwonił do nas informując, że szybowiec miał wypadek.

- Gdzie? – spytałem.
- Nie wiem – odparł.
- Proszę wyciągnąć swoje mapy, ja wyciągnę swoje i uzgodnimy teren działania – zaproponowałem.
- Jakie mapy? – krzyczał przerażony – Ja nie mam żadnych map!

⁹ gen. Mariusz Zaruski był inicjatorem powstania w 1909 r. Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego i jego pierwszym naczelnikiem.

W tych czasach za posiadanie map można było zostać posądzonym o szpiegostwo. Ja miałem przedwojenne mapy sztabowe, zresztą na niektórych nabiłem pieczętki GOPR-u, żeby w razie czego móc się wytłumaczyć, że to nie moje, tylko służbowe. W tej sytuacji powiedziałem mu, żeby wysłał samolot nad przypuszczalne miejsce wypadku, który miał zrzucić tam rakiety wraz z instrukcją obsługi. Rozbitek, o ile jeszcze żył, miał wystrzeliwać jedną raketę co godzinę, a w nocy powinien zapalić ognisko. Okazało się, że wypadek był niedaleko Turbacza. Musiało być wtedy jakieś święto, bo gdy szliśmy pod górę, w mijanych chałupach trwały przyjęcia, a biesiadnicy starali się nas zaciągnąć do wspólnej zabawy. Pilot zanim przeczytał kartkę, wystrzelił wszystkie rakiety. Miał jednak szczęście, bo zauważyli go ratownicy z naszej stacji na Turbaczu.



Legitymacja członkowska GOPR S. Dąbrowy-Kostki

W 1950 roku, krótko przed urodzeniem Pawełka, uświadomiłem sobie, że ponad siedem lat nie byłem u spowiedzi i – mimo oporów wynikających z tak długiej przerwy – zdecydowałem się błąd ten naprawić. W konfesjonale w Krościenku, nie bardzo wiedząc od czego zacząć, powiedziałem księdzu, że przed spowiedzią chciałbym zadać ważne dla mnie pytanie.

- Słucham cię synu – odparł kapłan ciepłym głosem.
- Proszę mi wyjaśnić: jeżeli Bóg, widząc co dzieje się z nami Polakami, nie reaguje, to albo jest niedobry, albo Go w ogóle nie ma?
- Proszę pana! – szorstko odpowiedział spowiednik. – W tej sytuacji nie mogę dać rozgrzeszenia, więc nie mamy już o czym rozmawiać.

I tak, do poprzednich lat, dołączyłem sporo kolejnych bez kontaktu z kościołem. Jak się okazało, nie uszło to uwagi ludowej władzy, która zrozumiała to po swojemu.

Kiedyś zadzwonił mój goprowski telefon.

- Czy towarzysz Kostka? – spytał kobiecy głos.
- Kostka – odpowiedziałem.
- Towarzysz pierwszy sekretarz chce z towarzyszem rozmawiać, łączę.
- Słucham
- Staszku, mówi Leszek – poznałem znajomy głos – musimy się spotkać.
- Kiedy? – spytałem.
- Najlepiej zaraz.

Nie miałem pojęcia, że Leszek, którego znałem z rajdów górskich, jest partyjny. Tym bardziej zaskoczyła mnie jego funkcja sekretarza PZPR. Szedłem spięty, spodziewając się kłopotów ze strony bezpieczeństwa. Leszek przyjął mnie w niewielkim, elegancko wyposażonym biurze, z fotelami klubowymi pod piękną palmą oraz portretami partyjnych władców na ścianie. Sekretarka wniosła kawę i herbatniki.

- Obaj nie mamy czasu, więc od razu przejdę do rzeczy – zagaił Leszek. - Organizujemy w Rabce stowarzyszenie ateistów. Będziesz prezesem.
- Ja? – spytałem zdumiony.
- Jesteś znakomitym kandydatem. Niewierzącym, bo przecież do kościoła nie chodzisz, szanowanym i lubianym przez ludzi.
- Nie nadaję się – oponowałem.
- Dlaczego?
- Mam trzy powody - mówiłem powoli, argumenty wymyślając na poczekaniu.
- Jakie?
- Po pierwsze, jestem demokratą i nienawidzę, gdy ktoś próbuje wciskać mi swoje własne poglądy na rzeczywistość. Wzajemnie, nie mam zwyczaju wymuszać na kimś zmiany jego poglądów. Taka postawa niewątpliwie dyskwalifikuje kandydata na przewodniczącego organizacji o radykalnym programie
- A przyczyna druga? – dociekał mój rozmówca.
- Moje dzieci niedługo pójną do szkoły na Słonem. Górale są bardzo pobożni, gdybym zmanifestował swoją bezbożność, dzieci mogłyby mieć kłopoty.
- A trzecia?
- Trzecia jest chyba najważniejsza. Wierzę w zmartwychwstanie – odrzekłem i dodałem – oczywiście w socjalistyczne zmartwychwstanie!
- Chyba żartujesz? – Leszek spytał ze zdumieniem.
- Mówię poważnie, zresztą posłuchaj. Wyobraź sobie, że jest rok 3000. W obszernej, pustej i pięknej sali urzęduje Wysoka Komisja ds. Homo-Syntezy. Przewodniczący, dostojny starzec z siwą brodą otwiera obrady. Gestem ręki wywołuje znikąd trzy zawieszony w powietrzu ekrany. Kolejnym gestem uruchamia pierwszy, na którym widnieje kalendarz. Daty szybko biegną wstecz. Na rozkaz przewodniczącego zatrzymują się na dacie dzisiejszej – tu zerknąłem na kalendarz towarzysza sekretarza – 26 listopada 1958 r. Starzec aktywizuje ekran drugi. Kosmos i bardzo szybkie zbliżenie: nasz układ słoneczny, ziemia, Europa, Polska, Rabka i gabinet I sekretarza. Przy stoliku dwaj mężczyźni. Jeden – mówiłem opisując Leszka – sympatyczny, o pogodnych i budzących zaufanie rysach twarzy. Drugi to jakiś niewyraźny i podejrzany typ... Starzec, wskazując na pierwszego, uruchomił ekran trzeci. Na nim pojawia się uroczy i niesprawiający

kłopotów niemowlak, rośnie, jest zdolnym i pilnym uczeniem, studentem, dobrym obywatelem i troskliwym ojcem rodziny. Mignęło kilka wybranych szczegółów z jego pierwszego życia. Bardzo się spieszył, a mimo to przeprowadził niesprawną staruszkę przez ruchliwą ulicę. Znalazł ptaszka ze złamanym skrzydełkiem, wyleczył i zdrowego wypuścił. Starzec pytając ogarnął wzrokiem całe gremium. Wszyscy potakująco kiwnęli głowami. Przewodniczący podniósł obie ręce w górę, prosząc o akceptację Najwyższego. Na ekranie błysnęło zielone światło i nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się Leszek w kondycji z najlepszych lat swojego pierwszego życia. Retrospekcja tego drugiego wypadła negatywnie. Nieznośny, od urodzenia sprawiał rodzicom kłopoty, lekceważył szkołę, hulaka, niczego w życiu nie osiągnął. Babcię wtrącił pod tramwaj, ptaszka zadeptał. Najwyższy błysnął światelkiem czerwonym. Wiemy, co to analiza i synteza. W analizie jest śmierć, a w syntezie zmartwychwstanie. Rozsypane po śmierci w kosmicznej przestrzeni atomy i drobniejsze jeszcze cząstki ludzkiego ciała oraz, nazwijmy to w ten sposób, ludzkiej duszy, zostały zebrane i powołane do nowego życia, w nowym, znacznie piękniejszym świecie. Oto, do czego, dzięki socjalizmowi dojdzie kiedyś nauka! Widzisz, Leszku – dodałem na zakończenie – nasuwa się tutaj wniosek, że warto być przyzwoitym człowiekiem.

Towarzysz sekretarz nie komentował mojej opowieści... Może uznał, że ma do czynienia z wariatem? W każdym razie propozycja objęcia funkcji prezesa stowarzyszenia ateistów nie została wznowiona.

Z Kościołem pogodziłem się później, kiedy już mieszkałem w Krakowie. Chodziłem wtedy na msze akowskie oraz na pogrzeby kolegów. Któregoś dnia poszedłem do kościoła, który obecnie jest prawosławną cerkwią, vis-à-vis siedziby „Tygodnika Powszechnego” na ul. Wiślniej. Miał tam kazanie fajny młody ksiądz. Mnie już byle co wtedy nie zachwycało, ale on mówił naprawdę dobrze. Po mszy poszedłem do zakrystii i spytałem o niego. Zakonnica powiedziała, że nazywa się Czuchra i dała mi jego numer telefonu. Zadzwoeniłem do niego i w rozmowie okazało się, że miał krewnych w Krośnie. Spytałem go o Józefa Czuchrę, ps. „Orski” z AK. Odparł, że to był jego wujek. Zaprosiłem go do domu i po parogodzinnej rozmowie, przeszliśmy na „ty”. Wtedy zaproponował mi spowiedź. Moje wcześniejsze doświadczenia skomentował następująco:

– Trafiłeś na księdza, który zrobił krzywdę i tobie i Kościołowi. Ale nie można mierzyć całej wiary i Kościoła, wiarą pojedynczego człowieka. Prawdopodobnie tamten ksiądz w Krościenku doznał szoku słysząc Twoje pytanie. Nie wiemy zresztą, jaka była jego przeszłość.

Rok 1955 przyniósł dwa dobre wydarzenia. W marcu podjąłem niełatwe, ale zakończone sukcesem starania o utworzenie w Rabce spółdzielni produkującej drewniane zabawki. Pod nazwą „Smrek”, w klimacie nieustannych kłopotów i przeszkód, funkcjonowała do sierpnia 1961 roku, zatrudniając kilkunastu pracowników stałych i kilkudziesięciu chałupników. Traktowana po macoszemu spółdzielnia borykała się z narastającymi trudnościami i w końcu przejęta została przez spółdzielnię „Zryw” z Jordanowa. W 1955 roku, 14 lipca, urodziła się nasza córka Haneczka.



Anna, Bogusław, Paweł i Maciej w Rabce (archiwum autora)

Niespełna cztery lata po śmierci Stalina, w październiku 1956 roku, w PRL-u nastąpił przełom, owocujący między innymi zmianą stosunku do byłych żołnierzy Armii Krajowej. Znowu, po sześciu latach, dostałem wezwanie do stawienia się w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień LWP w Nowym Targu. Tym razem jednak spotkanie z wojskiem odbyło się w zupełnie innym klimacie.

– Panie poruczniku - powitał mnie sympatyczny młody oficer - będziemy naprawiać krzywdy! Przywrócimy zabrane odznaczenia i stopnie wojskowe... Proszę dostarczyć zaświadczenia wystawione przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD). Uruchomimy procedurę!

W Rabce ZBoWiD-u nie było. Wspólnie z Janem Sosenką, byłym żołnierzem ZWZ i długoletnim więźniem Oświęcimia, i Leonem Golnką założyliśmy tę organizację, w której, co ciekawe chyba ponad połowa członków wywodziła się z oddziałów „Ognia”. Wkrótce jednak, gdy dotarło do nas zarządzenie o wykluczeniu kombatantów karanych za "przestępstwa" o charakterze politycznym, legitymację ZBoWiD-owską rzuciłem.

19 listopada 1957 r. urodził się Boguś.

W 1961 r. w charakterze projektanta zaangażowany zostałem w krakowskiej spółdzielni „Radość”, produkującej drewniane zabawki. Z Rabki do Krakowa kilka razy w tygodniu dojeżdżałem motocyklem. Kraków był wówczas miastem „zamkniętym”. Nie można było uzyskać zameldowania nie mając pracy i nie można było dostać pracy bez zameldowania. Gdy więc, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, z końcem grudnia dostałem klucz od opróżnionego właśnie wielkiego pokoju, zamieszkałem tam nielegalnie i sprowadziłem żonę z czworgiem dzieci.

W „Radości” pracowałem przez siedem lat. Na bazie jednoosobowego stanowiska projektanta powstało Laboratorium Wzornictwa Zabawkarskiego z odpowiednim personelem, dysponujące modelarnią wyposażoną w wysokiej klasy urządzenia do obróbki drewna i nowoczesną malarnią. Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy,

w 1969 r. widząc zainteresowanie innych zakładów naszymi wzorami, postanowił przekształcić laboratorium w samodzielną placówkę. W 1970 r. uzyskałem uprawnienia inwalidy wojennego.

Po wielu latach powracam wspomnieniami do mojego pobytu w Rabce. Był to dla mnie i mojej rodziny trudny czas, naznaczony ciągłym zagrożeniem ze strony UB. Śledczy w każdej chwili mogli odkryć, że partyzant Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj o pseudonimie „Dzierżyński” z 1945 roku to ja. W Rabce razem z żoną i dziećmi żyliśmy skromnie, a nawet w biedzie.

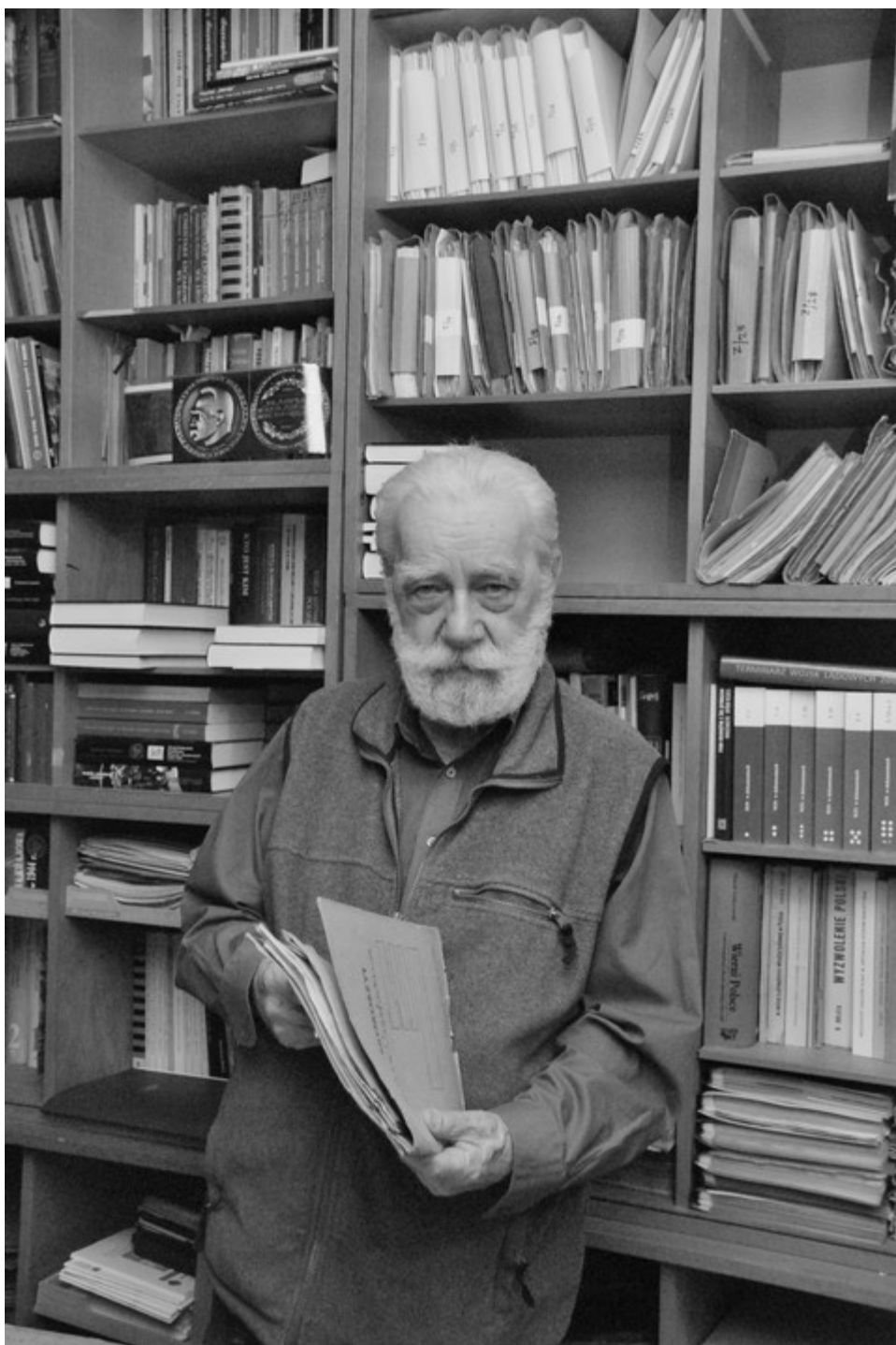


*Stary kościół w w Rabce. Linoryt autorstwa
S. Dąbrowy-Kostki (archiwum autora)*

kim Armię Krajową. Nie miałem czasu na własne powojenne wspomnienia. Dobrze się stało, że dzięki współpracy z Janem Ceklarem udało się je przelać na papier, gdyż jak się okazało w czasie pracy nad tekstem, jest to opis solidnego kawałka czasu, który także wymaga swojego dokumentu.

Jest to jeden z obrazów Rabki w mojej pamięci. Jest także inny, ten jasny i przyjemny. Dzięki temu, że przeciwności raczej mnie mobilizują do działania niż osłabiają, nasze trudne warunki życia przewycięzałem możliwościami, jakie wtedy Rabka dawała. Spotkałem fantastycznych ludzi w GOPR-ze i PTTK-u. Uczestniczyłem w ratowniczych szkoleniach czy PTTK-owskich rajdach; spotykaliśmy się w górach czasami śpiewając nawet akowskie piosenki. Miałem swoich kolegów, z których najbliższy był Jasiu Tobiczek. Udało mi się współpracować z wieloma pozytywnymi ludźmi i być uczestnikiem licznych ciekawych wydarzeń, dlatego Rabkę wspominam dobrze, jako miejsce względnego spokoju, gdzie miałem możliwość w miarę normalnego życia. I nawet ten fiaker, który tak mnie fatalnie oszukał w pierwszy wieczór mojego spotkania z Rabką, nie jest w stanie zepsuć mi moich dobrych wspomnień.

Przez wiele lat starałem się dokumentować coś tak ważnego, jak Polskie Państwo Podziemne, w tym przede wszystkim



Stanisław Dąbrowa-Kostka (fot. J. Ceklarsz 2013)

Stanisław Dąbrowa-Kostka

Moje trudne CV

Tak się zaczęło¹

Kilka dni przed wybuchem wojny objąłem, trwającą do 14 września, służbę łącznika w Komendzie Dzielnicy Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwczołgowej Przemysł-Zasanie. Tego dnia natarcie niemieckie zatrzymane zostało na rubieży rzeki San. W nocy ojciec z dyrektorem przemyskiego gimnazjum, Zygmuntem Weimerem, nie wiedząc, że jestem przypadkowym świadkiem ich tajemnej operacji, zakopali w ogrodzie swoje Brauningi kal.6.35 z zapasowymi magazynkami i niezłym zapasem amunicji. Kilkanaście minut potem wydobyłem ów skarb. Następnego dnia, gdy jeszcze trwała walka o prawobrzeżny Przemysł, z kilkoma kolegami, na zalesionych wzgórzach przedmieścia Lipowica, zbierałem broń porzuconą w zaroślach przez żołnierzy broniących tego odcinka i zaskoczonych skutkiem zdrady.

„Dąbrowa”

W 1939 roku miałem dopiero 15 lat (urodziłem się 11.10.1924 r.), ale tak się jakoś samo złożyło, chociaż nikt mnie nie mianował i nie czyniłem żadnych starań w tym kierunku, że zostałem komendantem naszej konspiracyjnej grupki, którą nazwaliśmy „Lipowica”. Zgromadziliśmy trochę broni, amunicji i granatów ręcznych, rozmaitego sprzętu wojskowego, map i literatury wojskowej. Gorliwie szukałem kontaktu z jakąś „dorosłą” organizacją, jak to ją wtedy określałem, która podobnie jak Polska Organizacja Wojskowa (POW) w latach I wojny światowej musiała przecież istnieć! Gdy wreszcie trafiłem na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), zaprzysięgnięto tylko mnie i mojego kolegę Romka Łabę, odmawiając zgody na przyjęcie całej mojej grupy. Wkrótce jednak pojawił się kontakt na Polską Organizację Zbrojną (POZ), która przygarnęła „Lipowicę” z całym majątkiem, nadając jej status plutonu dywersyjnego.

¹ S. Dąbrowa-Kostka jest autorem licznych publikacji książkowych i prasowych, wybrana bibliografia obejmuje: S. Dąbrowa-Kostka, *W okupowanym Krakowie*, Warszawa 1972, S. Dąbrowa-Kostka, *Hitlerowskie afisze śmierci*, Kraków 1983, S. Dąbrowa-Kostka, S.M. Jankowski, *Rozkaz: zdobyć więzienie*, Kraków 1988, wspomnienia S. Dąbrowy-Kostki w: H. Auderska, Z. Ziółek, *Akcja N. Wspomnienia 1939-1945*, Warszawa 1972, katalog wystawy *Rysunki więzienne Stanisława Dąbrowy-Kostki* w Muzeum Armii Krajowej im. gen. Augusta Fieldorfa „Nila” w Krakowie, Kraków 2003 (przyp. red.).

Latem 1942 roku, po scaleniu POZ z Armią Krajową (AK) mój pluton został zreorganizowany i przez rok pod kryptonimem „Dyweryja-Wywiad” (DW) funkcjonował jako oddział specjalny w pionie wywiadu i kontrwywiadu Komendy Obwodu AK Przemyśl. W tym czasie, prócz działalności zasadniczej, wydawałem tajne czasopismo pod tytułem „Placówka” i kierowałem w swoim obwodzie akcją „N”². W listopadzie 1942 r. otrzymałem pierwszy awans na stopień starszego strzelca. W maju 1943 r., po zakończonym egzaminem Konspiracyjnym Kursie Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty, awansowałem na stopień kaprała z tytułem podchorążego. W czerwcu 1943 r. doszło w Przemyślu do spowodowanej zdradą, tragicznej w skutkach wyspy³. Gestapowcy ujęli, między innymi, komendanta mjr. Jana Gołdasza „Szczyta”, mojego dowódcę – szefa wywiadu i kontrwywiadu inż. Kazimierza Wołańskiego „Gada”, szefa propagandy ppor. Bernarda Zarembę „Smętka”. Sztab Komendy Obwodu został niemalże zupełnie rozbity. Ogólna liczba strat wynosiła ponad stu oficerów i żołnierzy oraz zaangażowanych w różny sposób osób cywilnych. Nieliczni tylko spośród wówczas aresztowanych, po zakończeniu wojny, wrócili z obozów koncentracyjnych. Mój liczący już wtedy ponad osiemdziesięciu ludzi oddział „DW” przestał istnieć. Z kilkunastoma żołnierzami przeniesiony zostałem do Kedywu. Reszta oddziału wpadła w ręce niemieckie lub rozproszyła się. Straciliśmy nasze magazyny z bronią, radioodbiornikami i powielaczem, mundurami niemieckimi oraz innymi skarbami tamtego czasu.

W lipcu 1943 r. opuściłem mój Przemyśl i przeniesiony na Podkarpacie wziąłem udział w udanej akcji rozbitcia więzienia w Jaśle, po której, przy notowaniu przez dowódcę personaliów do wniosku awansowego i odznaczeniowego, dodałem sobie 3 lata do roku urodzenia. Do końca 1943 r. byłem adiutantem szefa Podkarpackiego Ośrodka Kedywu. W wigilię Bożego Narodzenia zostałem wezwany do Rzeszowa na stanowisko adiutanta szefa Kedywu Podokręgu AK Rzeszów por. Zenona Soboty „Świdu”. Od marca do pierwszych dni czerwca 1944 r. uczestniczyłem w kierowanym przez „Świdę” przygotowaniu odbicia aresztowanego komendanta Okręgu AK Kraków cichociemnego płk. Józefa Spychalskiego „Lutego”.

6 czerwca 1944 r. rozpoczęło się lądowanie aliantów w Normandii. Wiadomo było, że wkrótce ruszy sowiecki front wschodni i nasza akowska operacja „Burza”. „Świda” ze swoimi zespołami dywersyjnymi odwołany został do Rzeszowa i wkrótce objął stanowisko szefa Sztabu Podokręgu. Nocą z 1 na 2 sierpnia oddziały sowieckie i akowskie wyparły Niemców z Rzeszowa i nastąpiła zamiana okupacji niemieckiej na sowiecką. Równocześnie zaistniała gwałtowna potrzeba masowego wystawiania fałszywych dokumentów, nie tylko dla ujawnionych podczas „Burzy” i zagrożonych aresztowaniem lub nawet śmiercią żołnierzy własnych, ale też napływających licznie z terenów Obszaru AK Lwów. Podokręg nie miał własnej komórki legalizacyjnej i dotąd korzystał z działającej w Okręgu, lecz stabilizacja frontu uniemożliwiła bezpośrednią łączność z Krakowem. W tej sytuacji, na rozkaz komendanta Podokręgu płk. dypl. Kazimierza Putka „Zwornego” zorganizowałem brakującą dotąd w strukturze Sztabu „legalizację”.

² Element zaawansowanej działalności konspiracyjnej ZWZ-AK o charakterze dywersyjno-propagandowym, w tym m. in. tzw. wojna psychologiczna (przyp. red.).

³ Żargonowo rozpracowanie przez nieprzyjaciela, aresztowanie.

Miałem luksusowe warunki. Szybko udało mi się skompletować prawie pełną kolekcję potrzebnych pieczęci, dysponowałem dostępem do każdej ilości aktualnych blankietów i druków. Prócz realizacji potrzeb bieżących, sporządziłem dla inspektoratów podokręgu „pakiety legalizacyjne” mieszczące zestaw pieczętek i najważniejszych formularzy. Podszkoliłem dobrany zespół specjalistów i kierowałem nim do czasu, gdy z początkiem listopada postrzeliłem się w nogę. Zlekceważyłem ranę, wywiązało się zakażenie, nieprzytomnego przewieziono mnie do Przemyśla, gdzie po kilkunastu dniach, pod rygorystyczną opieką akowskich lekarzy, mogłem już chodzić z laską.

Pod koniec drugiej dekady grudnia łączniczka z Rzeszowa przywiozła mi tzw. pocztę, z miłą informacją o spóźnionym awansie na pierwszy stopień oficerski i dramatyczną o aresztowaniu przez sowiecki kontrwywiad wojskowy „Smiersz” niemal całego sztabu Komendy Podokręgu AK Rzeszów. Mój zespół „legalizatorów” zdołał zbiec, ale „warsztat” wpadł w łapy „Smiersza”. Na razie nie mogłem tam wracać.

„Dzierżyński”

Korzystając ze starych kontaktów szybko trafiłem do komendanta przemyskiego Inspektoratu AK mjr. Bronisława Wochanki „Ludwika”, prosząc o jakiś tymczasowy przydział.

- Sowietci aresztowali i wywieźli oficera dywersji przemyskiego Obwodu por. „Gniewosza”. Może na razie, dopóki to wszystko się nie wyjaśni, obejmie pan tę funkcję – zaproponował „Ludwik”
- Chętnie – odpowiedziałem.
- No to sprawa załatwiona – oświadczył major – ale po rzeszowskich aresztowaniach „Dąbrowa” z całą pewnością jest w ewidencji enkawudowskiej. Trzeba zmienić pseudonim.
- Myślę, że w obecnych warunkach byłby dobry „Dzierżyński”⁴ – zażartowałem.

„Ludwik” jednak zareagował na mój pomysł entuzjastycznie. Poinformował mnie o aktualnej sytuacji oraz nakreślił najpilniejsze zadania. Miałem nawiązać zerwane kontakty organizacyjne, kompletować rozproszoną broń i czynić przygotowania do rozbicia enkawudowskiego więzienia przy ulicy Czarneckiego i obozu w Bakończech, w którym Sowietci przed deportacją do łagrów przetrzymywali oficerów i żołnierzy AK.

Inspektor nie krył, że stan organizacyjny obwodu jest bardzo zły. Brakowało komendanta i zastępcy, adiutanta, kwatermistrza, oficerów łączności i wyszkolenia. Przez szefa wywiadu i kontrwywiadu por. Adama Wohańskiego „Dunkę” dostałem kontakty na oficerów broni ppor. Tomasza Czekierdę „Tygrysa” i propagandy Tadeusza Millera „Tamira” oraz referenta cywilnego Jana Wojasa „Selera”. Komendantką Wojskowej Służby Kobiet była moja matka Barbara Kostkova „Starża”.

Zamęt wzmagał, niestety, aktywność paramilitarnych konspiracyjnych ugrupowań nieakowskich o polityczno-partyjnej proveniencji. Złej kondycji organizacyjnej towarzyszyły aresztowania. Sowietci dysponowali niezłym agenturalnym rozpoznaniem,

⁴ Feliks Dzierżyński (1877-1926), twórca i symbol państwowego aparatu terroru w ZSRR (przyp. red.).

resztę dopełniła dekonspiracja w trakcie operacji „Burza” oraz nieprzemysłane działania po jej zakończeniu, w rodzaju demonstracyjnych pogrzebów „Wilgi” i „Kibica”, podczas których obfotografowano szczegółowo maszerujących w kondukcje akowców.

W stałej łączności z inspektorem „Ludwikiem” podjąłem żmudną pracę nad rekonstrukcją mojego pionu organizacyjnego i przygotowaniem nakazanych mi zadań. Prowadziłem rozpoznanie obozu w Bakończycach, mimo że był to obiekt, o zdobyciu którego na razie nie mogłem nawet marzyć. Znacznie lepiej wyglądała sprawa więzienia. Zaplanowałem i przygotowywałem tam dwa warianty akcji: klasyczny przy użyciu siły i zapasowy, polegający na samouwolnieniu w korzystnych warunkach, jeżeli takie się pojawią. Zbierałem siły. W jednym z przysiółków na obrzeżu przemyskich lasów założyłem bazę, początkowo lokując w niej kilkunastu zdekonspirowanych w Przemysłu żołnierzy AK. W kwietniu sprowadziłem kilku moich podkomendnych z czasów służby w Rzeszowie. Przywieźli dwa erkaemy, kilka pistoletów maszynowych oraz spory zapas innej broni i amunicji. Wkrótce rosnąca szybko załoga bazy liczyła ponad dwudziestu dobrze uzbrojonych i zaprawionych już w walce żołnierzy.

18 stycznia 1945 r. ruszyła sowiecka ofensywa i niebawem obóz w Bakończycach został zlikwidowany, więc sprawa ta przestała dla mnie istnieć. Skupiłem się na więzieniu. Dzięki por. „Dunce” udało się przemycić tam kilka sztuk broni krótkiej oraz wytyczne do wariantu zapasowego, objaśniające plan samouwolnienia, sposób bezkonfliktowego przejścia przez miasto i dotarcia do mojej bazy leśnej. Kontakt na bazę, ze zrozumiałych względów bezpieczeństwa, prowadził przez dwie odpowiednio zabezpieczone „skrzynki” znane tylko nielicznym, podporządkowane „Selerowi”. Nie licząc zbytnio na wariant zapasowy, intensywnie sposobiełem się do uderzenia siłą. Tymczasem, najzupełniej niespodziewanie, dzięki sprzyjającym warunkom, doszło do samouwolnienia.

9 maja 1945 r. Sowieci wódką i strzelaniną w niebo świętowali kapitulację III Rzeszy. Pili i strzelali wszyscy. Straż więzienna też. W tym chaosie więzienie opanowane zostało łatwo. Kolumna więźniów, otoczona przez umundurowanych konwojentów z bagnetami na karabinach, nie budziła niczyjego zdziwienia, gdyż taki widok był wówczas czymś zupełnie zwyczajnym. Uciekinierzy, po krótkim zamieszaniu przy pilnowanej przez sowieckie posterunki kładce obok wysadzanego mostu, w rozproszeniu, różnymi sposobami przepawili się przez San. Podjęli kontakt na „Selera”, od niego na Romana Kuźnika „Barana” w Żurawicy, a stamtąd na moją bazę. Dotarło do mnie kilkudziesięciu, skutkiem czego stan „spalonych” poważnie się zwiększył. Pozostawienie któregokolwiek spośród uwolnionych własnemu losowi równało się ze skazaniem go na ujęcie przez bezpiekę lub Sowieców i represje, a nawet śmierć. W większości pochodzili spoza linii Curzona i nie mieli absolutnie żadnego oparcia na tym terenie. W rejonie bazy nie było możliwości zakwaterowania i karmienia tak wielkiej grupy, więc mjr. „Ludwik” zdecydował o wymarszu zwartym oddziałem w las.

Stan oddziału partyzanckiego kompanii leśnej 1/38 pp AK przekroczył w szczytowym okresie liczbę stu żołnierzy. Moim zastępcą był NN ppor. „Piotr”, adiutantem ppor. Zbigniew Romanowski „Orlicz”. Oddział operował na terenach lewobrzeżnych rzeki San, między Przemysłem a Dynowem. Działał w obronie ludności polskiej przed napadami ze strony Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz rabunkowych band sowieckich, oraz niestety także i polskich. Stosowałem się do

kategorycznych rozkazów: nieprowadzenia żadnych akcji zaczepnych i ograniczenia się jedynie, w razie ostatecznej konieczności, do obrony. Dążyłem do utrzymania kompanii w pełnej gotowości bojowej, licząc na wybuch III wojny światowej. Miałem wtedy nadzieję, że mój oddział jako jeden z pierwszych dotrze do Lwowa. Do pierwszych dni czerwca 1945 r., na tych terenach, siły polskich oddziałów partyzanckich, łącznie z moją kompanią podlegającą przemyskiemu Inspektoratowi Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj przekraczały liczbę tysiąca partyzantów. Nieliczne posterunki Milicji Obywatelskiej, w znacznej mierze zresztą obsadzone przez naszych ludzi, zachowywały się zupełnie lojalnie. Prawobrzeżne tereny Sanu opanowane były wówczas przez oddziały UPA z centralą w Birczy. Bezpieka na razie nie sięgała poza Przemyśl.

Radykalna zmiana nastąpiła w połowie czerwca, gdy w sukurs czerwonej władzy nadeszły jednostki Ludowego Wojska Polskiego (LWP), zwolnione z frontu po kapitulacji Niemiec. Kompletnie niezorientowanych żołnierzy poinformowano, że po zwycięstwie nad III Rzeszą kierowani są do szczytnych zadań w obronie ludności polskiej, przed reakcyjnymi bandami złożonymi z niedobitków gestapowskich i byłych kolaborantów z Niemcami oraz również nazywanych bandami, barbarzyńskich oddziałów UPA.

W połowie czerwca mjr. „Ludwik” poinformował o spodziewanym nadejściu bliżej nieokreślonych formacji regularnego wojska i w związku z tym wydał stosowne polecenia. Przypominał o zakazie działań zaczepnych i zezwoleniu na obronę. Nie wiedzieliśmy, jakie zamiary ma przeciwnik. Nie wierzyłem, że polscy żołnierze zechcą z nami walczyć. Miałem świadomość, że jak wielokrotnie w czasach niemieckiej okupacji trzeba będzie improwizować uniki i czekać na dalszy bieg wydarzeń. Oddział stacjonował we wsi Drohobyczka koło Dubiecka. Tam, wkrótce po odprawie z mjr. „Ludwikiem” doniesiono mi, że w naszym kierunku idzie wojsko. Zarządziłem alarm i gotowość marszową. Ze wzgórza przez lornetkę widziałem długie szeregi, ciągnące się kilkoma drogami w naszym kierunku. Byli blisko. Uświadomiłem sobie, że być może nie uda się odskoczyć bez walki. Ukryci w leśnych zaroślach, w pełnym pogotowiu bojowym, doczekaliśmy zmroku i pod osłoną ciemności, plutonami, wymknęliśmy się z matni, zostawiając pod opieką żołnierzy dubieckiej Placówki zamelinowany nasz tabor, złożony z dwóch podwó⁵ konnych, wyładowanych zapasową bronią i amunicją, sprzętem i żywnością. Następnego nocy kilku śmiałkom udało się ten tabor wyciągnąć i przyprowadzić do oddziału, biwakującego w lesie nieopodal wsi Szklary koło Dynowa.

Odcięty od dowództwa, nie wiedząc na jak długi czas, zdany byłem całkowicie na samego siebie. Wtedy, chociaż jeszcze nie całkiem, ale zachwiała się moja wiara w III wojnę i marsz na odsiecz Lwowa. Dotkliwie poczułem ciężar odpowiedzialności za ponad setkę ludzi, którzy nie mając pojęcia o tym w jakiej byliśmy sytuacji, nadal wierzyli w słuszność moich rozkazów i karnie je wykonywali. W obawie przed bardzo niebezpieczną paniczną reakcją nie mogłem z nikim konsultować problemu. Szybką decyzję musiałem podjąć i podjąłem samotnie.

Podczas porannego apelu przemówiłem do żołnierzy nie kryjąc, że nie wiadomo, co nas czeka w najbliższej przyszłości. Apelowaliśmy, by odszedł z oddziału każdy, kto tylko

⁵ Cywilny wóz zajęty czasowo na użytek wojska.

ma jakąś szansę w miarę bezpiecznego zaczepienia się w życiu cywilnym i jeżeli tylko może, zabrał ze sobą i otoczył opieką kolegę pochodzącego spoza obecnej wschodniej granicy i nie mającego nikogo po tej stronie. Z liczby ponad stu udało mi się zredukować stan osobowy oddziału do około czterdziestu. Odchodzących zaopatrzyłem w niewielkie kwoty pieniężne z naszej bardzo skromnej kasy, potrzebującym, korzystając z przesłanego do Przemysła „pakietu legalizacyjnego”, wyrobiłem fałszywe dokumenty. Pożegnanie było smutne...

Zamierzałem przejść z oddziałem w Bieszczady oraz, jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie, zamelinować tam broń i zwolnić resztę partyzantów, z wyjątkiem kilku o mocnej kondycji psychofizycznej. Liczyłem na to, że z małym, dobrze uzbrojonym i zdeterminowanym zespołem zdołamy przedrzeć się przez Czechy do amerykańskiej strefy okupacyjnej i tam przy pomocy aliantów szukać sposobu na kontynuowanie walki. Ze Szklar wzięliśmy kilkanaście podwód z furmanami i ruszyliśmy na południe. Poprzedzeni konną szpicą, w kolumnie wozów bez pośpiechu i ze śpiewem przejeżdżaliśmy po północy przez Dynów. Noc była jasna i piękna. Tu i ówdzie w domach błysło światło, w oknach pojawiali się ludzie. Partyzanckiej piosence wtórował turkot kół i stukot końskich kopyt po ulicznym bruku. Ten sielankowy obrazek odstawał jednak drastycznie od malującej się przede mną rzeczywistości i był cukierkowym tłem do nurtujących mnie ponurych myśli.

Co dalej? Za Dynowem droga biegła blisko koryta Sanu. Nagle za rzeką, na rysującym się w ciemnościach masywie górskim, dostrzegłem migocące światełka. Zatrzymałem oddział. W całkowitej ciszy wyraźnie słychać było śpiewy. Podjechał do mnie żołnierz ze szpicy:

– Noc świętojańska – powiedział – banderowcy⁶ świętują przy ogniskach.

Po chwili kolumna ruszyła. Nad ranem zwolniłem wozaków, dalej oddział przemieszczał się już pieszo. Podczas wielodniowego przejścia parokrotnie przyszło interweniować w obronie ludności przed bandami rabunkowymi własnego chowu i sowieckimi maruderami. Upowców na razie nie było widać.

W połowie lipca, po uciążliwym marszu nocnym w deszczu i śliskim gliniastym błocie, zatrzymałem oddział w opuszczonej i z punktu widzenia naszych potrzeb doskonale usytuowanej leśniczówce. Spałem krótko. Zbudził mnie dowódca wart w towarzystwie trzech partyzantów:

- Panie komendancie – meldował – banderowcy zatrzymali i rozbroili nasz patrol.
- Opowiadajcie!
- Wyszliśmy na wieś – relacjonował jeden z żołnierzy – by na życzenie kucharza zakupić jajka, masło, ser i inne wiktuały. W trzeciej z kolei chałupie otoczyli nas Ukraińcy z gotowymi do strzału karabinami, rozbroili i poprowadzili do osobnika nazywanego „prowydnykiem”.

Przesłuchanie w języku ukraińskim tłumaczone były na polski.

- Kim jesteście – zapytał „prowydnyk”.
- Polskimi partyzantami.

⁶ Tu w szerokim znaczeniu: zwolennicy i członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i UPA

– Jak się nazywa dowódca?

– „Dzierżyński”.

Po chwili milczenia padło kolejne pytanie:

– Ilu was jest?

– Tylu – odpowiedział rezolutny chłopiec – że jak nam nie oddacie broni i nie wypuścicie, to jeszcze wasze prawnuki będą pamiętać, że tędy przeszedł „Dzierżyński”!



Autokarykatura S. Dąbrowy-Kostki jako Don Kichota

Nie wiadomo, jakimi racjami kierował się „prowydnyk”. Zatrzymanych zwolnił, zwrócił broń i za ich pośrednictwem zaproponował mi spotkanie, na ściśle określonych warunkach. Życzył sobie, by w spotkaniu po każdej ze stron uczestniczyły tylko dwie osoby bez broni. Określił miejsce i wyznaczył krótki termin „na jutro”. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, lecz zgodziłem się na rozmowę. Proponowanym, pozornie bezpiecznym dla obu stron miejscem była mała chałupka z równie niewielką stodołą, położona samotnie w samym prawie środku wielkiego pola. Teoretycznie więc nie było to miejsce odpowiednie na zasadzkę. Ponieważ jednak „strzeżonego Pan Bóg strzeże”, postawiłem oddział w pełnej gotowości do ewentualnej interwencji.

Towarzyszył mi adiutant „Orlicz”. Nasze kabury na pasach były puste, z ostentacyjnie odgiętymi klapami. Pistolety i granaty ukryliśmy starannie. Najprawdopodobniej nasi rozmówcy byli bezbronni w taki sam sposób. Podjechalśmy konno. W chałupce czekało dwóch wyglądających diametralnie różnie mężczyzn. Jeden

z nich, wysoki i barczysty w ciemno-granatowym mundurze ukraińskiego policjanta z czasu niemieckiej okupacji i dużym złotym „trójzębem” na pasie robił wrażenie prymitywnego troglodyty. Drugi, delikatny elegant w dobrze skrojonym garniturze i czystej koszuli z krawatem wyglądał na inteligenta. Po chłodnym przywitaniu i wzajemnej prezentacji, zabrał głos ten z „trójzębem”. Mówił po polsku.

– Panowie pewnie nie chcecie rozmawiać po ukraińsku a pan „prowydyk” nie chce po polsku. Proponuje angielski lub francuski?

Niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi, ale wtedy z trudem utrzymałem spokój. Ten zna francuski, angielski i najprawdopodobniej jeszcze niemiecki i rosyjski?! Ja znałem ledwie niemiecki.

– Jestem u siebie – powiedziałem po chwili – i będę mówił po polsku.

– Dobrze – odparł barczysty – będę tłumaczył.

Zabrał głos „prowydyk”. Długo przekonywał mnie o potrzebie wspólnej walki przeciw „czerwonym”. Używał zresztą sensownych argumentów. Monologował, gdyż nie wtrącałem się. Gdy skończył, wyraziłem swoje oburzenie z powodu zatrzymania i rozbrojenia moich żołnierzy, a w sprawie współdziałania zasłoniłem się brakiem kompetencji.

– Jestem żołnierzem – oświadczyłem – i obowiązuje mnie droga służbowa. Mam swoje dowództwo w kraju i rząd, na razie na emigracji. Jeżeli tą drogą dostanę rozkaz współpracy, to rozkaz ten wykonam. Teraz jednak ostrzegam przed takimi incydentami, jak wczorajsze zatrzymanie moich ludzi. Na razie proponuję coś w rodzaju wzajemnego zawieszenia broni. Gdyby jednak zaszła taka konieczność, spokój potrafimy wymusić i w razie potrzeby zdecydowanie wystąpimy w obronie ludności polskiej.

„Prowydyk” zapewnił, że dopilnuje, by ze strony ukraińskiej nie było żadnych wrogich zachowań. Na pożegnanie spytałem go o stanowisko w sprawie granicy polsko-ukraińskiej?

– Ten problem – odparł wykrętnie – rozwiązany zostanie w trakcie powojennych układów pokojowych.

– Nie pytałem o układy, lecz o pana osobiste stanowisko. Było to zresztą pytanie retoryczne, gdyż swoją opinię wyraził pan przecież zaraz na początku naszego spotkania, demonstracyjnie odżegnując się od języka polskiego

Minęła połowa lipca. Oddział wegetował dzięki kontaktom z niedobitkami placówki AK w Grabownicy Starzeńskiej. Przedłużający się, wbrew partyzanckim zasadom, postój w jednym miejscu był bardzo niebezpieczny. Musiałem jak najszybciej nawiązać zerwany kontakt z dowództwem, lecz wysłani kolejno dwaj łącznicy nie wracali. Nieomal tragicznie nie skończyła się próba przetransportowania do Przemyśla nadwyżek sprzętu i broni, gdyż ze sporym transportem wpadliśmy w Dynowie w sam środek postoju dowództwa pułku Ludowego Wojska Polskiego (LWP), realizującego akcję likwidacji „reakcyjnego zbrojnego podziemia”. Krótco potem dotarły do nas ulotki datowane 27 maja 1945 r., sygnowane podpisem Delegata Sił Zbrojnych na Kraj, nawołujące do opuszczenia oddziałów partyzanckich i włączenia się „do twórczej pracy obywatelskiej nad odbudową Kraju”. Partyzanci potraktowali je jako enkawudowsko-ubowską prowokację. Ponura rzeczywistość utwierdziła mnie w przekonaniu, że w kraju nie mam już żadnych szans na walkę, a nawet przetrwanie. Rozważałem, gdzie i jak

bezpiecznie zwolnić ludzi, solidnie zabezpieczyć broń i sprzęt oraz uzyskać jak najwięcej informacji o zupełnie mi nieznannej trasie przez Czechy, kiedy pojawił się, nieoczekiwany już, łącznik od mjr. „Ludwika”, z rozkazem natychmiastowego rozwiązania oddziału. Nie dostałem żadnej recepty na sposób wykonania tego rozkazu. Musiałem znowu kierować się instynktem i nadzieją na pomoc ze strony niezawodnego Anioła Stróża, który w ubiegłych sześciu latach wielokrotnie ratował mnie w sytuacjach beznadziejnych. Znowu pomogły stare kontakty z czasu okupacji niemieckiej. Nocą opuściliśmy naszą wygodną leśniczówkę. Rankiem oddział z dwoma wyładowanymi bronią i sprzętem dwukonnymi wozami dotarł na Łupaną Górę koło Komborni, do schowanego w lesie domku Jacka Koszarskiego „Węża”. Tam uzyskałem cenne informacje dotyczące stanu zagrożenia w okolicy. Okazało się, że spośród wspólnych znajomych z czasu mojej służby na Podkarpaciu szczęśliwie przeżył wojnę Eliaz Kowalski „Eli”, kierownik szkoły w Czarnorzekach koło Korczyny. Liczyłem na jego pomoc w zamelinowaniu broni. 5 sierpnia rozwiązałem oddział we wsi Krasna. Podobnie jak przy pierwszej demobilizacji koło Dynowa, żołnierze dostali zaświadczenia o służbie z „pakietu legalizacyjnego”, tj. dokumenty na prawdziwe lub fałszywe nazwiska oraz niewielkie kwoty pieniężne. Wtedy także było bardzo smutno...

Nocą, z kilkoma wybranymi i specjalnie do tej sprawy zaprzysiężonymi żołnierzami, podwoziłem broń i sprzęt do „Eliego”. Zajęcia związane z ulokowaniem i konserwacją broni, porządkowaniem dokumentacji i wieloma innymi czynnościami dotyczącymi ostatecznego rozwiązania oddziału trwały jeszcze kilkanaście dni. Pod koniec września zameldowałem wykonanie rozkazu. Mjr. „Ludwik” poinformował mnie o rozwiązaniu Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj.

- Teraz kolego pojedziecie do Krakowa – oświadczył, przekazując mi adres, znaki rozpoznawcze i komplet haseł.
- W jakim charakterze? – spytałem.
- Tam panu wszystko wyjaśnią.

"Aleksander"

Do Krakowa przyjechałem w mundurze wojskowym, z pistoletem na pasie i legitymacją oficera Wojewódzkiej Komendy Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie, wystawionej na nazwisko Stefana Kuleszy. Pod wskazanym adresem okazało się, że znaki rozpoznawcze i hasła nie są potrzebne, gdyż przyjął mnie por. Zbigniew Zawila „Rawa”, dobry znajomy ze służby w latach 1942-43.

- No to zaczynamy od nowa – rzekł na wstępie – ale teraz to już nie jest wojsko, lecz organizacja cywilna o nazwie Zrzeszenie Wolność i Niepodległość.
- Mnie cywilna organizacją nie interesuje – odpowiedziałem.
- Mamy dla pana działkę o charakterze wojskowym – oświadczył „Rawa” – proponujemy rejonowe kierownictwo „informacji i bezpieczeństwa” oraz zespołów straży przeznaczonej do ochrony organizacji. „Informacja i bezpieczeństwo” to dobrze panu znany wywiad i kontrwywiad. Rejon obejmuje obecne województwo krakowskie.

Nie bardzo mi się to podobało, wolałem partyzantkę, ale poczucie obowiązku przeważyło i z nadzieją na rychłe zmiany wyraziłem zgodę. Kwaterowałem na zmianę

u Zygmunta Okulskiego „Taty” i Leszka Plesnara „Motyla”. Sądziłem, że przejmę sprawne poakowskie siatki wywiadowcze, ale szybko okazało się, że stare struktury albo już nie istnieją, albo są do tego stopnia rozproszone, że na razie nie można na nie liczyć. Dostałem zaledwie kilka kontaktów, wśród nich dobrze mi znaną z „Operacji Luty” rekwizytornię teatru im. Juliusza Słowackiego. Jej szef Franciszek Mizia „Ryś” był „złotą rączką”, potrafił naprawić i naprawiał na „fuchę” wszystko, skutkiem czego roiło się tam od rozmaitych interesantów, wśród których gubiły się nasze spotkania. Była więc idealnym punktem kontaktowym. Kraków w tamtym czasie, obok Lublina, był miastem, do którego garnęła się masowo młodzież akademicka. Liczyłem na to, że zgubię się w tym tłumie, lecz któregoś dnia na plantach głośno i z otwartymi rękami powitał mnie kolega z przemyskiego gimnazjum:

– Staszek Kostka! To ty żyjesz?

Chwilę rozmawialiśmy, na jego pytania odpowiadałem wykrętnie, starając się jak najszybciej pozbyć przemyślanina. Gdy podobne spotkanie powtórzyło się jeszcze dwukrotnie, doszedłem do wniosku, że należy wrócić do własnego nazwiska. Pomogła mi w tym „Komisja Likwidacyjna byłego AK”. Podejrzewając ubecką prowokację, zebrałem na jej temat trochę informacji. Ktoś straszył, że zarejestrowanych oficerów aresztują i wywożą „na białe niedźwiedzie”. Mimo to postanowiłem zaryzykować, nie ujawniając jednak stopnia oficerskiego. W ogromnej sali, przy stolikach pracowali akowcy. Wśród nich zauważyłem kilku znajomych. Poznał mnie por. Henryk Gallas „Hańcza”, którego stolik właśnie się zwolnił.

– „Dąbrowa” – zawołał – siadaj przy mnie!

Zadawał pytania wydrukowane na jakimś formularzu. Odpowiadając, uważałem na każde słowo.

– Od kiedy byłeś w AK?

– W AK? Od lutego 1942 roku – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo przecież przedtem należałem do ZWZ i POZ, o które nie pytał.

– Co robiłeś od stycznia 1945, po rozwiązaniu AK?

– Ciężko chorowałem na rozstrój nerwowy i leczę się nadal... Wiesz przecież, że byłem w Kedywie i w jakich akcjach uczestniczyłem... Tamte lata poważnie zaciążyły na moim zdrowiu.

– Stopień wojskowy?

– Kapral podchorąży.

– Mianujemy cię podporucznikiem. Jakie masz odznaczenia?

– Nie mam żadnych.

– Komisja przyznaje ci Krzyż Walecznych i Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami.

Przy innym już stoliku, tam w obecności obserwatora z UB, otrzymałem zaświadczenie o rejestracji w Komisji Likwidacyjnej.

– Czy ma pan broń? – spytał nagle ubol.

– Nie mam – odpowiedziałem, a on na skraju dokumentu zapisał moją odpowiedź.

Wróciłem do rodzowego nazwiska i trudnych obowiązków „Aleksandra”. Kilkakrotnie w celu ustawienia powiatowych kierowników mojego pionu organizacyjnego wyjeżdżałem w teren. Miałem wtedy już ludzi w Służbie Ochrony Kolei (SOK) i na posterunku kolejowym MO przy krakowskim dworcu głównym. Poczęły napływać pierwsze materiały ze stronnictw politycznych. Korzystając z małego pokoiku „Rysia” w rekwizy-

torni, rozpocząłem szkolenie przyjeżdżających pojedynczo powiatowych kierowników pionu Informacji i Bezpieczeństwa.

Annę Stahlównę poznałem latem 1945 r. w Przemyślu. Potem spotkałem ją przypadkowo w Krakowie. Nowy rok 1946 witaliśmy wspólnie na przyjęciu u hrabiny Marii Konarskiej na zamku w Dubiecku. Tam zdecydowaliśmy o dalszym wspólnym życiu. 5 marca, wczesnym rankiem, wstąpiłem na kilka minut do narzeczonej, by umówić się na popołudnie. Tego dnia przyjechać miał człowiek z Żywca. W rekwizytorni spytałem o pana Franka.

– Majstra wezwano do dyrekcji – powiedział któryś z pracowników.

Portier, przy wejściu służbowym do teatru, potwierdził, że Mizia jest u dyrektora.

– Może poczeka pan u mnie – zaprosił i uchylił drzwi.

Nie spodobał mi się jednak siedzący za nim mężczyzna, zerkający sponad rozłożonej do czytania gazety.

– Pospaceruję – odpowiedziałem i wyszedłem.

Tuż za mną, z pistoletami w rękach i wrzaskiem wyskoczyli dwaj ubole.

– Stój!!! Ręce do góry... stój!!!

Ja, niestety, tego dnia nie miałem broni przy sobie. Ruszyłem biegiem przez plac Świętego Ducha ku ulicy Świętego Marka, Floriańską skręciłem w kierunku Rynku i przy kościele Mariackim wsiadłem do wlokącego się tramwaju. Wyskoczyłem przy skręcie na Sławkowską, gdy ubole dopadli wozu. Biegłem w kierunku Świętej Anny, zamierzając zgubić natrętów w labiryncie krótkich uliczek przy Rynku. „Pod Baranami” jednak zastąpił mi drogę sowiecki żołdat z wycelowaną w mój brzuch pepeszą. Ubole dopadli mnie, obmacali szukając broni i bardzo ostrożnie konwojującym doprowadzili do siedziby krakowskiej Komendy Wojewódzkiej UB, mieszczącej się przy placu Inwalidów, nazwanym wówczas placem Wolności.

Krakowska bezpieka i więzienia na Senackiej i na Montelupich

Zacząło się od rewizji, podczas której zabrano mi wszystko, łącznie z materiałami szkoleniowymi, które akurat miałem przy sobie. Każdą kartkę i karteczkę opatrzyć musiałem notatką: „znaleziono przy mnie” oraz datą i podpisem. Potem nastąpiło przesłuchanie trwające bez przerwy przez trzy lub cztery dni i noce – trudno mi zresztą określić to dokładnie, gdyż rachubę czasu traci się zwykle po około dwóch dobach.

W swoich sąsiadujących ze sobą gabinetach oglądali mnie ubowscy dygnitarze: szef krakowskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego mjr. Jan Frey-Bielecki i jego sowiecki „doradca”, również major, o nazwisku Złobin lub Żłobin. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się skąd taki zaszczyt? Otóż ubole, być może na podstawie zarekwirowanych dokumentów i z nadzieją na odznaczenie za ujęcie ważnej figury, w raportach dotyczących aresztowań „awansowali” mnie na szefa sztabu Komendy Podokręgu AK Rzeszów.

W piwnicznych kazamatach bezpieki siedziałem do pierwszych dni czerwca. O różnych porach dnia i nocy prowadzono mnie na kilkugodzinne przesłuchania. Pilnowałem, by zeznania w najmniejszym nawet stopniu nie różniły się od tego, co zadeklarowałem w Komisji Likwidacyjnej AK.

Przeczyłem przynależności do WiN-u, utrzymując twardo, że bardzo krótko należałem do organizacji o nazwie „Zrzeszenie”, będącej niezalegalizowaną na razie grupą zwolenników Mikołajczyka. Na pytanie o przychwycone przy mnie dokumenty oświadczyłem, że dostałem je wieczorem w dniu poprzedzającym aresztowanie i nawet nie zdążyłem do nich zajrzeć. Pytany o nazwiska i adresy odpowiadałem, iż w „Zrzeszeniu” panują stare nawyki konspiracyjne, więc nazwisk nigdy nie używano. Korzystałem z każdej okazji, by uboli wprowadzać w błąd, nie zawsze jednak z powodzeniem.

Gdy wyjeżdżałem z Przemysła do Krakowa, mama zapisała mi na kartce adres swojej przyjaciółki z przed-wojennych lat, emerytowanej dyrektorki gimnazjum w Bochni, pani Jarzębińskiej.

– Bochnia niedaleko od Krakowa – powiedziała wtedy. – Pamięta ciebie jako 6-letniego chłopczyka. Gdyby zaszła jakaś nagła potrzeba, możesz na nią liczyć.

W Bochni byłem na spotkaniu z Wiktoorem Gawrylarzem „Borutą”, kierownikiem tamtejszego powiatowego oddziału Informacji i Bezpieczeństwa WiN. W znalezionych przy mnie dokumentach zaplątało się wykorzystane wtedy przeze mnie zaświadczenie, drukowane zresztą w językach polskim i rosyjskim, wystawione przez Okręgową Dyрекcję Kolei.

Śledź⁷ skojarzył mój wyjazd do Bochni z nazwiskiem na karteczce mamy.

– Podajcie nazwisko „Boruty” – zażądał.

– Nie znam tego nazwiska.

– A ja znam – zakomunikował mi tryumfalnie – to Jarzębińska! Potwierdzacie?

– Nie pamiętam... – odpowiedziałem po chwili udawanego zastanowienia – może..?

Pomyślałem, że powszechnie szanowaną i znaną całej Bochni staruszkę pozostawią w spokoju, a jeżeli nawet przymkną, to sprawa szybko się wyjaśni, a wcześniej wiadomość o tym rozejdzie się po niewielkim mieście i zaalarmuje mojego „Borutę”, który dotąd mógł nie wiedzieć o wyspie. Na następne pytania o „Borutę” odpowiadałem bałamutnie. Następnego dnia, przed biurkiem mojego śledzia stały dwa krzesła. Na jednym posadzano mnie. Po chwili wprowadzono podpierającą się laseczką panią Jarzębińską. Przerażona, mignęła wzrokiem w moim kierunku i na rozkaz usiadła.

Śledź groźnie wpatrywał się w nas...

– Znacie ją!? – krzyknął do mnie po chwili.

– Znam – odpowiedziałem.

– Czy ona to jest „Boruta”?

– Tak, ona jest „Borutą” – potwierdziłem.

Zanim śledź zdążył zadać kolejne pytanie, staruszka zwróciła się w moim kierunku i powiedziała błagalnym tonem.

– Panie Stasiu... Niech pan mi się dobrze przypatrzy... Czy ja jestem „Borutą”?

– Zwróciłem się ku niej, długo przypatrywałem i oświadczyłem dobitnie:

– Rzeczywiście... pani nie jest „Borutą”.

Śledź poderwał się spoza biurka i wygrażając mi pięściami coś wykrzykiwał. Jarzębińską wyprowadzono. Mnie wepchano do karcera.

⁷ Żargonowo o oficerze śledczym UB.

Karcer w ubeckiej siedzibie przy Placu Wolności był ciasną, odpowiednio przystosowaną komórką, pod schodami w piwnicach. Chyba nigdy niesprzątany cuchnął kałem i moczem. Tam także, w zupełnych ciemnościach, po mniej więcej dwóch dobach, traciło się rachubę czasu. Skulonemu więźniowi, gdyż nie było jak się wyprostować, wrzucano tak zwaną pajdkę gliniastego chleba. Po trudnym do określenia czasie zostałem wyciągnięty i doprowadzony do eleganckiego gabinetu. Brudny, śmierdzący i zarośnięty znalazłem się w gronie pięknie umundurowanych oficerów. Przy biurku siedziała kobieta w otoczeniu kilku mężczyzn, wszyscy w stopniach poruczników i podporuczników. W pokrytym skórą fotelu klubowym, przy okrągłym stoliku, siedział kapitan. Czerwony otok na leżącej obok czapce dowodził, że był oficerem Służby Sprawiedliwości.

– Proszę – odezwał się kapitan i gestem ręki wskazał wolny fotel.

Milcząc usiadłem, zakładając nogę za nogę.

– Chciałbym z panem porozmawiać.

– O czym? - spytałem.

– Jakie pan ma poglądy polityczne?

Dotąd nigdy się nad tym nie zastanawiałem, więc zareagowałem spontanicznie.

– Jestem demokratą.

– Ja też – ucieszył się – więc dlaczego jesteśmy po dwóch stronach barykady?

– Pewnie dlatego panie kapitanie, że istnieją kolosalne różnice między naszymi wizjami demokracji.

Oficer pytał dalej:

– A czym według pana jest faszyzm?

– Trudno krótko odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie – odrzekłem – więc chyba zacznę od początku. Cesarze rzymscy mieli asystę...

Przy biurku, w spokojnie dotąd słuchającej grupce, zawrzało. Uznali chyba, że moje nawiązanie do czasów rzymskich jest kpina? Kapitan jednak uspokoił ich ruchem ręki.

– Proszę mówić - zwrócił się do mnie.

– Otóż rzymscy cesarze mieli w swojej świcie asystę złożoną z liktorów, którzy podczas uroczystości nosili tzw. fasce, czyli wiązanki różeg z toporami symbolizujące władzę. Stąd pochodzi nazwa i pojęcie faszyzmu. Wtedy były to rządy różgi i topora, dzisiaj są rządy szubienicy i kuli w potylicę.

– A jakie państwa, pana zdaniem, w naszych czasach były lub są faszystowskie?

– Faszystowskie były Włochy i Niemcy – mówiłem powoli – a obecnie jest Rosja Sowiecka.

– Zapanowała długa chwila ciszy, po czym gwałtownie zerwała się z krzesła ubolka

– A Hiszpania nie?! – wrzasnęła.

– Dziękuję pani porucznik – odpowiedziałem uprzejmie – rzeczywiście zapomniałem o Hiszpanii, ale proszę się nie dziwić. Hiszpania daleko, a Rosja Sowiecka blisko. Zresztą niech się pani przypatrzy jak wyglądam...

Więcej pytań nie było. Odprowadzono mnie z powrotem do karceru, ale już na krótko. Przesłuchania bywały teraz rzadziej, natomiast pojawiły się prymitywne prowokacje. Od pierwszych dni po aresztowaniu bezskutecznie szukałem okazji do ucieczki. Orientując się w realiach obecnego podziemia, niestety w niewielkim tylko stopniu liczyć mogłem na pomoc z zewnątrz. Po zakończeniu śledztwa, w pierwszych dniach czerwca, przewieziono mnie do więzienia przy ulicy Senackiej, potocznie zwanego

„Świętym Michałem”. Ulokowany w bloku kwarantanny na krótko przebywałem w celi zapelnionej, z nielicznymi wyjątkami, więźniami osadzonymi za przestępstwa pospolite. Potem trafiłem na celę nazwaną „akademicką”, przeznaczoną dla wyselekcjonowanych do rozprawy sądowej studentów aresztowanych za udział w manifestacji 3 maja, do których z czasem dokooptowano innych uwięzionych studentów. Kilkunastu więźniów stłoczono na powierzchni nie większej niż 20 metrów kwadratowych. Spaliśmy na podłodze obrócenia bokiem, gdyż położenie na wznak nie było możliwe. Upalne lato powodowało, że panował tam potworny zaduch. Wychodzące na dziedziniec okienko, właściwie tunel w starych klasztornych murach dawał niewiele powietrza. Nie wiedziałem wtedy, że w sąsiedniej celi jest mój kolega z pierwszej klasy szkoły powszechnej w Przemyślu, cichociemny ppor. Przemysław Bystrzycki „Kreda”. Czasem z dziedzińca wykorzystywanego na ogół na tzw. spacerownik padał rozkaz wzmocniony przez megafon:

– Nie wyglądać przez okna, bo będziemy strzelać bez ostrzeżenia!!!

Oczywiście zaglądałem ostrożnie. Widziałem strażników montujących składaną z belek szubienicę, widziałem jak doprowadzali skazańca. Egzekucji nie oglądałem... Kim byli skazani? Nie wiadomo.

11 lipca, jako główny oskarżony, stanąłem przed Wojskowym Sądem Rejonowym w towarzystwie sześciu osób, spośród których znałem tylko Barbarę Wiktor i Franciszka Mizię. Zagrożony byłem paragrafami 86. i 88. Wojskowego Kodeksu Prawnego, przewidującymi kary w granicach od 5 lat więzienia do kary śmierci. Twardo utrzymywałem, że bardzo krótko należałem do „Zrzeszenia”, nigdy nawet nie słyszałem o organizacji „Wolność i Niepodległość”. Utrzymywałem, że nazwisk i adresów nie znam, bo w „Zrzeszeniu”, na razie działającym nieoficjalnie, panowały nawyki wojennej konspiracji, więc kontaktowano się tylko na ulicy i operowano wyłącznie pseudonimami. Chociaż w porównaniu z innymi więźniami moje śledztwo przebiegało stosunkowo łagodnie, skarżyłem się na wymuszanie zeznań przemocą. W rezultacie sąd „wycenił” mnie na 7 lat więzienia, po czym wróciłem znowu na Senacką.

U „Michała”, w porównaniu z innymi więźniami tamtego czasu, panował dosyć liberalny rygor, co było niewątpliwą zasługą naczelnika. Skorzystała z tego moja narzeczona, uzyskując zezwolenie na nasz ślub kościelny. Ceremonia, celebrowana przez kapłana z kościoła parafialnego pod wezwaniem Wszystkich Świętych, odbyła się 6 sierpnia w nieużywanej od wybuchu wojny kaplicy więziennej. Wkrótce potem, razem ze skazanymi już wyrokiem sądowym „trzeciomajowcami” Józefem i Andrzejem Morawskimi, przeniesiony zostałem z „kwarantanny” do dużej celi w budynku głównym. Zastałem tam kilku nieznanym mi mężczyznom oraz Józefa Szlachetkę „Wraka”, uczestnika zamachu na gubernatora Hansa Franka. Dwa dni później nastąpiło wydarzenie mogące nam zwrócić wolność.



*Anna Kostka – żona S. Dąbrowy-Kostki
(archiwum autora)*

Zbiorowa ucieczka z więzienia planowana była o wiele wcześniej przez Edwarda Czarneckiego „Murzyna” i Antoniego Szczyrka „Stefana”, którzy zdołali porozumieć się w tej sprawie z kolegami siedzącymi w innych celach. Pozyskano przychylność i pomoc ze strony funkcjonariuszy straży więziennej Ireny Odrzywołek i Stanisława Krejczy, dzięki którym udało się nawiązać kontakt z Janem Januszem „Siekierą”, podkomendnym Józefa Kurasia „Ognia”, dowodzącego partyzanckim zgrupowaniem w Gorcach. „Siekiera” obiecał zbrojną obstawę z zewnątrz i podstawienie samochodu do ewakuacji uwolnionych. Przemyciono do więzienia kilka pistoletów i granatów. 14 sierpnia o planowanej akcji dowiedział się i przejął inicjatywę Bolesław Pronobis „Ikar”. W niedzielę 18 sierpnia, wczesnym przedpołudniem, z korytarza słychać było nietypowy dla więziennych zwyczajów tupot nóg i trudne do zrozumienia okrzyki. Ktoś podbiegł do naszych drzwi.

– Więzienie jest opanowane przez naszych – zawołał – nie mogę do was znaleźć klucza!!!



Autoportret rysowany z odbicia w szybie okiennej (więzienie przy ul. Montelupich 7.01.1947 r., archiwum autora)

Bezskutecznie, ciężką ławą z grubych desek, próbowaliśmy staranować przeszkodę, lecz masywne dębowe odrzwia nie puściły. Nieznajomy raz jeszcze podbiegł i powiadomił nas, że niestety nie udało mu się znaleźć zagubionego klucza. Wkrótce odgłosy z korytarza ucichły.

Przez kilka następnych dni we więzieniu szalała bezpieka. 27 sierpnia wszystkich więźniów, którym z różnych powodów nie udało się odzyskać wolności, pod silną eskortą Korpusu Bezpieczeństwa Wojskowego (KBW) przewieziono do więzienia przy ulicy Montelupich. Siedmiomiesięczny pobyt „na Monte”, bo tak potocznie nazywano to więzienie osnute złą sławą z lat niemieckiej okupacji, urozmaicałem sobie portretowaniem współwięźniów, pracując ułamkiem grafitu z ołówka na skrawkach kradzionego przy każdej okazji papieru. Portreciki przeważnie rozdawałem, lecz większość niszczona była podczas rewizji zwanych kipiszami.

Rawicz – Wronki

W połowie marca 1947 r. sformowana na dziedzińcu „Monte” kolumna kilkudziesięciu więźniów pod silnym konwojem funkcjonariuszy KBW doprowadzona została na dworzec przy ulicy Kamiennej. Wcześniej podstawiony, złożony ze zwyczajnych wagonów osobowych, specjalny pociąg z pozoru wyglądał normalnie. Tylko z pozoru, bo odpowiednio dostosowane przedziały były czymś w rodzaju klatek, ze

szczelnie obitymi żelazną blachą ścianami i zaślepienymi oknami, z drzwiami opatrzonymi w stalowe zasuwki i zamki. Na korytarzu roilo się od uzbrojonych kabewiaków⁸, którzy chamskimi drwinami kwitowali prośby słabszych więźniów o wodę czy papierosa. Na zewnątrz był mróz, w nieogrzewanym wagonie panowało przeraźliwe zimno, tym dokuczliwsze, że nie mieliśmy żadnych ciepłych okryć. Pociąg, kilkakrotnie odstawiany na jakieś boczne tory, snuł się przez około dwie doby. Na specjalną, jak sądzę, więzienną bocznice w Rawiczu, dojechał o świcie 16 marca. Po opuszczeniu wagonów, długo stojąc na śniegu, czekaliśmy na zwanego tam „krwawym Kaziem” naczelnika, kapitana służby więziennej Kazimierza Szymonowicza, który powitał nas złowróbnym przemówieniem i poinformował, że na jego więziennej bramie figuruje napis „wchodzisz przestępcą, a wychodzisz obywatelem”, ale nas to nie dotyczy, bo on się postara, żebyśmy stamtąd w ogóle nie wyszli.



Więzienny karcer w Rawiczu, rys. S. Kostka-Dąbrowa (archiwum autora)

W ogromnym gmachu nazywanym „białym pawilonem” po szczegółowej rewizji odebrano mi wszystkie rzeczy osobiste i z kilkoma współwięźniami umieszczono w piwnicznej celi, na tak zwanej kwarantannie. Pawilon tętnił życiem. Słychać było szcęk zasuw i zamków, jakieś rozkazy, krzyki, tupot nóg i inne jeszcze dźwięki, wtedy na razie trudne do zidentyfikowania. Kalifaktorzy⁹, nazywani oficjalnie starszymi

⁸ Żargonowo o żołnierzach Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW).

⁹ Żargonowo o więźniu wyznaczonym do prac porządkowych.

porządkowymi, w asyście klawichów¹⁰, spisywali nasze dane osobiste. Nasze ubrania zabrano do dezynfekcji, zwracając po jakimś czasie zupełnie zniszczone parą wodną lachmany.

W ciągu następnej doby dwukrotnie słychać było ruch na podwórku koło pawilonu, po czym kolejno, w krótkich odstępach czasu, dołączyli do nas dwaj więźniowie, jakoby przywiezieni właśnie transportami z Poznania i jakiejś innej miejscowości. Sprawiali wrażenie spanikowanych, ale mimo to dużo i wylewnie opowiadali o sobie i odważnie prezentowali swe radykalne postawy antykomunistyczne, wypytujac nas przy tym o reżim więzienny w Rawiczu i rozmaite sprawy osobiste. Niestety, nie zorientowałem się wtedy, że obaj byli kapusiami. Nie znali się wzajemnie. Jeden z nich debiutował, drugi doświadczony kontrolował go, przy tym oczywiście kapując na nas. Szczęściem, mając za sobą długoletnią szkołę aktywnej konspiracji, wzbogaconą doświadczeniami z krakowskich kazamatów przy placu Wolności, u „Michała” i na „Monte”, zaraz po aresztowaniu wyznaczyłem sobie nieprzekraczalną granicę zaufania i prócz kilku negatywnych uwag na temat „najlepszego sowieckiego ustroju” nie powiedziałem nic, co mogłoby interesować spec¹¹.

Po dwutygodniowej kwarantannie przeniesiono mnie do zwykłej celi w „czerwonym pawilonie”, lecz nie zagrzałem tam długo miejsca, gdyż niemal zaraz ulokowany zostałem w obszernej sali nazywanej szpitalką. Była to sala ogrzewana, z dużymi jasnymi oknami, łózkami więziennymi i prawdziwą pościelą oraz różnymi przedmiotami służącymi potrzebom sanitarnym, która – gdyby nie kraty w oknach i zamykane z zewnątrz drzwi – rzeczywiście przypominała salę szpitalną. Wśród zaledwie kilku lokatorów tego luksusu poczułem się nieswojo. Nie wyglądali na chorych, patrzyli na mnie spode łba, sprawiali wrażenie bliżej nieokreślonych prominentów i zapewne czymś z tego gatunku byli. Dysponowali książkami, gazetami i przyborami piśmiennymi, mieli niezłe zaopatrzone spiżarenki. Od razu więc nasunęła się wątpliwość – skąd ja wziąłem się w takim miejscu? Nie zgłaszałem nikomu żadnych dolegliwości, nikogo o nic nie prosiłem, więc w rachubę wchodzić mogła tylko jakaś ubecka prowokacja.

W szpitalce przez dwa tygodnie stopniowo mnie oswajano. Ktoś zaczął od jakiegoś zupełnie nic nie znaczącego pytania, potem w szerszym już gronie dochodziło do równie neutralnych dyskusji. W połowie kwietnia, gdy klawich wydał mi przesłaną przez żonę, nierewidowaną paczkę żywnościową, pomyślałem sobie, że może w tych warunkach zdołam jakoś doczekać spodziewanej amnestii. Paczki jednak nie zdążyłem nawet napocząć, gdyż przyszedł uśmiechnięty klawich Łukasiewicz i jakoby celem dokonania jakiejś drobnej formalności poprosił mnie, abym na chwilę poszedł z nim do biura.

W dobrze ogrzewanej szpitalnej sali, nie mając jak inni „pacjenci” piżamy, nosiłem tylko spodenki kąpielowe. Chciałem się ubrać, ale klawich oświadczył, że nie ma takiej potrzeby, bo zaraz wróć. Dla przyzwoitości jednak wciągnąłem spodnie. Pólnagiego, poprowadził mnie przez podwórzec z pawilonu „czerwonego” do „białego”. Tam bez słowa zamknął w nazywanej pojedynką lodowatej celi i zniknął. Nikt się mną nie interesował. Wieczorem rutynowo podjechał pod drzwi ciągnięty przez kalifaktora kocioł

¹⁰ Żargonowo o strażniku więziennym.

¹¹ Żargonowo o funkcjonariuszu prowadzącym rozpracowanie więźniów, w tym przesłuchania.

z ledwo letnią brudną wodą mającą imitować herbatę wlewaną półlitrową miarką do miski. Minęły trzy, może cztery doby, podczas których nic się nie działo, prócz porannej ćwiartki gliniastego „chleba” i tej niby „herbaty”, południowej półlitrowej porcji śmierdzącej zgnilizną zupy i „herbaty” wieczornej. Głodny i półnagi, marznąc w temperaturze na granicy przymrozku, przez dyżurnych klawichów wielokrotnie bezskutecznie dopominałem się o zostawione w szpitalce ubranie i pozostawioną tam paczkę. Po owym czasie już nie miałem wątpliwości co do tego, że celem rażącego kontrastu szpitalki z lodowatą pojedynką, jest zmiękczenie mnie przed czymś, czego wkrótce mogę się spodziewać. W grę wchodzić mogły trudne do przewidzenia, ale tylko mniej lub bardziej groźne wydarzenia. Na razie jednak należało uważnie śledzić sytuację bieżącą na miarę możliwości, zarówno w sprawach poważnych, jak i bagatelnych i wykorzystywać każdą pożyteczną okazję.

Do mojej pojedynki zaczęły dochodziły różne odgłosy mogące świadczyć o tzw. wypisce¹². Miałem na koncie pieniądze, przekazane mi przez żonę jeszcze w Krakowie. Wiedziałem, że jeżeli spece tego nie przeoczyli, to z pewnością skreślili mnie z wypiski. Widocznie jednak przeoczyli, gdyż klawich drzwi otworzył, a kalifaktor odnotował moje życzenia, wyczerpujące pełny limit wiktuałów w postaci, o ile dobrze pamiętam, dziesięciu jaj oraz półkilogramowych porcji sera i cukru. Zachodziła jeszcze obawa interwencji speców przy wydawaniu prowiantu, ale widocznie, co wielokrotnie w ekstremalnych sytuacjach przydarzało mi się przedtem i potem, czuwał mój Anioł Stróż. Zakupy otrzymałem, wymieszałem i pożarłem. Wściekły Łukasiewicz dopadł tylko resztek mojego pożywnego jajowo-serowo-cukrowego kogla-mogła, rozbabranego na krawędziach brudnej miski. Następnego dnia zabrał mnie z celi i poprowadził przed oblicze specy sierżanta Kuliga.

- Nie pamiętam, czy był jakiś wstęp, czy Kulig od razu przystąpił do rzeczy.
- Znacie Krystynę Okólską – spytał?
- Znam.
- No to napiszecie, że była waszą łączniczką w WiN-ie.
- Nie napiszę, bo nie była – odpowiedziałem spokojnie.
- A ja wam mówię, że napiszecie – zapewnił mnie Kulig i skinął głową na Łukasiewicza.

Klawich ten, o kondycji rosnącego i zdrowego parobczaka, odprowadził mnie na piwniczny poziom pawilonu do karceru i tam na wmurowanych pod sufitem żelaznych obręczach, z pomocą kilku innych strażników, przykuł kajdankami do ściany w takiej pozycji, że nie mogłem stanąć całymi stopami. Wychodząc zamknęli na zasuwy i zamki dzielącą wewnątrz karceru kratę i masywne żelazne drzwi od korytarza. Po chwili jednak jeden z nich wrócił, by chlusnąć na mnie wiadrem zimnej wody. W zupełnej ciemności szybko straciłem rachubę czasu, odmierzanego tylko porami „posiłków”, do których na kilka minut byłem rozkuwany. Nadal półnagi, wisiałem dwie, a może trzy doby? Gdy Łukasiewicz zdjął mnie ze ściany, dostatecznie - jak zapewne sądzili spece - „rozmiękczonego”, nie mogłem ustać na nogach. Kulig podsunął kartkę papieru, pióro i atrament.

- Napiszecie?

¹² Żargonowo o liście limitowanych zakupów za pieniądze więźnia znajdujące się w depozycie więziennym.

– Nie – odpowiedziałem.

Po tej krótkiej wymianie zdań osadzono mnie na którymś z pięter w pojedynce, tak samo zimnej jak poprzednia, lecz ponadto jeszcze niesamowicie zapluskwionej. Ponieważ jestem alergikiem uczulonym na jad insektów, pluskwy rzeczywiście były dla mnie koszmarem. Z okienka celi, przez które rzecz jasna nie było wolno wyglądać, obserwowałem dachy miasteczka. Któregoś dnia, kiedy na zamglonej oddechem szybie ukazały się jakieś zarysowane czymś twardym znaki, postanowiłem tam zostawić także mój ślad. Z wyszczerbionego muru wydłubałem skrawek ostrego i twardego krzemienia. Takim prymitywnym narzędziem i z nadzieją, że może kiedyś na szybę chuchnie ktoś potrzebujący właśnie moralnego wsparcia, w ciągu kilku dni wydrapałem fragment przemówienia Miltiadesa, z pięknego utworu „Maraton”, pióra poety Kornela Ujejskiego.

*Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje.
Niech sobie powróż ukręci na szyję,
niech własną wolę na wieki okielza,
pan niedaleko, niech do niego pełza,
a tam glaskany a potem wzgardzony,
niechaj na progach wybija pokłony,
niech jak pies głodny czołga się bez końca,
za pańską nogą, która go potrąca.
A my zostanmy,
my w nieszczęściu razem,
albo wytępiemy wroga tym żelazem,
lub za najświętszą wielkich bogów wolą,
w grobie się wolni schronimy przed niewolą.*

Kiedyś przy oknie, niewykluczone, że podczas drapania wiersza na szybie, dostrzegł mnie dyżurny strażnik Majcher. Za wykroczenie takie karano karcerem, ale ten klawich nie tylko nie powiedział złego słowa, lecz jeszcze na swój sposób począł mnie pocieszać. Z wyglądu straszny, dla mnie wtedy stary – około 50-letni, okazał się bardzo dobrym człowiekiem. Do Polski przyjechał z Francji w listopadzie 1945 roku, z żołnierzami komunistycznego zgrupowania „Dąbrowszczaków”, którymi prócz nielicznych wyjątków, po odpowiedniej indoktrynacji zasilono kadry bezpieczeństwa, milicji i straży więziennej. Czy Majcher był komunistą, tego nie wiem. W każdym razie na służbie w Rawiczu wyraźnie sprzyjał więźniom. Podrzucił mi do celi jakieś okrycie, przemycał papierosy i jedzenie, w najlepszej wierze dostarczał spore ilości proszku DDT, najpopularniejszego wówczas unrowskiego¹³ środka do zwalczania insektów, który wcierałem w skórę na całym ciele licząc na obronę przed pluskwami, nie znając przy tym szkodliwych ubocznych skutków jego stosowania. Z końcem maja przyszedł po mnie Łukasiewicz.

– Piszecie oświadczenie? – spytał Kulig, przed oblicze którego zostałem doprowadzony.

– Nie – odparłem.

¹³ UNRRA – międzynarodowa organizacja pomocowa, z przeważającym udziałem USA, dla ofiar II wojny światowej (przyp. red.).

Wróciłem na ścianę do karcera tym razem na dłużej. Dodatkowo ukarano mnie 24-godzinną głodówką, po której odpięty ze ściany upadłem na beton. Miałem już tylko tyle siły, by kopnąć podstawioną przy moich nogach miskę z zupą. Wiszącego odwiedził mnie naczelnik Szymonowicz. Rozkazał klawichowi uchylić na chwilę blaszaną osłonę okna, żebym mógł rozżalić się na widok pięknie rozświetlonego czerwcowego słońca. Pokazał z daleka list od mojej żony i bełkotał coś o możliwości zwolnienia, pod warunkiem posłuszeństwa wobec ludowej władzy.

Po raz drugi z „krwawym Kaziem” spotkałem się oko w oko w jego gabinecie, ozdobionym dywanami, palmami i jakimiś obrazami. Strażnicy późną nocą doprowadzili mnie tam skutego i dosyć sponiewieranego karcerem. Usadowiony za biurkiem Szymonowicz wskazał mi gestem piękny skórzany fotel klubowy i powitał zdawkowym, jak mi się zdawało, pytaniem:

– No i jak pan się czuje?

– Dziękuję – odpowiedziałem stereotypowo.

Moja odpowiedź doprowadziła „krwawego Kazia” do szału.

– On dziękuję! – ryknął i zerwał się z krzesła. – Zabrać! Wyprowadzić!!!

Po tej krótkiej audiencji znowu zawisłem na ścianie, z której rano zjął mnie Kulig, by ponowić próbę wymuszenia dokumentu, jak się potem dowiedziałem, mogącego, doprowadzić do aresztowań w zarządzie Bratniej Pomocy Studentów UJ, której prezesem był wtedy Jan Deszcz a wiceprezesami Karol Wojtyła i Krystyna Okólska. Znowu zapytał, czy napiszę. Tym razem wyraziłem zgodę i napisałem „Krystyna Okólska była w WiN moją łączniczką. Oświadczenie to piszę na żądanie sierżanta Kuliga, który takim fałszywym dokumentem chce zarobić oficerską gwiazdkę”.

Furia Kuliga i Łukasiewicza nie miała granic. Wyjąc rzucili się na mnie z pięściami. Potem zamknięty zostałem w celi na samym końcu piwnicznego korytarza, czekając w kolejce do karceru zwanego psią budą lub kanadą, na razie zajętego przez innego torturowanego więźnia. Czekałem ponad tydzień i nie doczekałem się, gdyż niewątpliwie znowu do akcji wkroczył mój Anioł Stróż i 20 czerwca 1947 r. w grupie kilkunastu skutych parami więźniów przetransportowany zostałem do Wronek. Pod strażą uzbrojonych w pepesze klawichów jechaliśmy na pace ciężarówki, pod eskortą sunącego tuż za nami samochodu z zamontowanym na szoferce karabinem maszynowym.

„Przywitania” nie opisuję, ale dodam tylko, że zabrano nam ubrania, wydając w zamian niemieckie mundury policyjne. Z powodu kategorycznej odmowy włożenia wrogiego munduru, swój trwający dwadzieścia sześć miesięcy pobyt we Wronkach rozpocząłem tygodniowym karcerem.

We więzieniu panował twardy reżym. Całkowicie izolowanych więźniów politycznych pozbawiono wszelkich kontaktów ze światem. Nie było żadnego dostępu do gazet. Listy i uważnie kontrolowane spotkania z członkami najbliższej rodziny, formalnie dozwolone raz w miesiącu, blokowane były jako kara za nie dość gorliwe respektowanie rygorystycznego regulaminu lub pod jakimkolwiek innym pretekstem. Limitowana zawartość paczek żywnościowych – kawałek chleba, trochę cukru, tytoń – złośliwie mieszana była przy wydawaniu adresatowi. W celach, zimą ledwo podgrzewanych, spało się na siennikach z niewielką ilością startej na proch słomy, rozkładanych na betonowej

podłozie. W ogromnym gmachu co jakiś czas dudniły podawane przez megafon rozkazy i komunikaty.

Uprawniony do napisania listu więźniów dostawał od strażnika kawałek papieru i ołówek. Kiedyś, korzystając z takiej okazji narysowałem portrecik. Odbierający list strażnik chwilę przyglądał się rysunkowi i spytał:

- Jesteście malarzem?
- Trochę tak – odpowiedziałem bez przekonania.
- A moglibyście „odrobić” coś takiego z fotografii?
- Oczywiście, ale nie mam odpowiedniego papieru i dobrego ołówka.

Następnego dnia klawich z ołówkiem i papierem dostarczył mi zdjęcie swojej narzeczonej. Potem przynosił kolejne fotografie i pilnował przed niepożądanymi wizytami innych klawichów. Takim sposobem, w małym na razie gronie, zyskałem status malarza. Liczyłem na dobrze ukrywanej karteczce przeraźliwie ciągnące się dni dzielące mnie od zakończenia wyroku. Czas ciągnął się niemiłosiernie powoli. W maju przez megafon zabrzmiał powtarzany kilkakrotnie komunikat:

- Potrzebni są malarze. Zgłaszać się u dyżurnego strażnika.

Ktoś z celi zwrócił się do mnie:

- Przecież pan jest malarzem... Co panu szkodzi zaryzykować? Może będzie łatwiej niż tutaj?

Powiadomiony strażnik polecił mi zabrać wszystkie moje rzeczy – blaszaną miskę, łyżkę i koc. Poprowadził do suteryny i dołączył do stojących, zgodnie z regulaminem, twarzami do ściany wcześniej przyprowadzonych więźniów. Ostrożnie zerknąłem w obie strony.

- Jest pan malarzem – spytałem szeptem sąsiada z lewej?
- Studentem medycyny.
- A pan jest malarzem – zwróciłem się do drugiego?
- Prawnikiem – szepnął.

Władze więzienne uruchomiły produkcję siewników, korzystając z amerykańskiego wzoru wystawionego na Międzynarodowych Targach Poznańskich i tam skradzionego. Warsztat mechaniczny i stolarnia już pracowały, teraz organizowano malarnię. Okazało się, że wśród „malarzy” jest tylko jeden autentyczny mistrz malarski i on objął fachową komendę. Nadzorował nas strażnik nazywany szefem. Mieliśmy do dyspozycji pędzle oraz lakiery koloru zielonego i czerwonego. Bardzo szybko ktoś, wzbogacając paletę barw wapnem i sadzą, namalował całkiem ładny obrazek. Posypały się zamówienia i w ciągu kilku tygodni, obok siewników, powstała nieźle wyposażona artystyczna pracownia malarska. Korzystali z niej już nie tylko szeregowi funkcjonariusze służby więziennej. Pojawiały się zamówienia dotyczące rozmaitych oficjalnych peerelowskich uroczystości. Z początkiem sierpnia zwrócono się do mnie w sprawie wykonania projektu dekoracji z okazji kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej. Nie był to temat dla mnie, lecz tym razem postanowiłem nie lawirować. Wyrok kończył się za niecały miesiąc i należało unikać najdrobniejszych nawet zakłóceń. Naszkicowałem projekt pełen sierpów, młotów i gwiazd, proponując popularną wtedy technikę „papieroplastyki”, Moje „dzieło” zostało zaaprobowane i z wyrazami uznania spytano, czy zdążę wykonać bardziej skomplikowane elementy dekoracji przed opuszczeniem więzienia.

– Oczywiście – oświadczyłem – ale muszę mieć odpowiednie warunki.

– Jakie?

– Obszerna i oświetlona cela z dosyć dużym stołem, karton brystol i klej, nożyczki i różnego rodzaju nożyki oraz inne jeszcze, w tej chwili trudne do wyliczenia, drobiazgi.

Podczas kilkukrotnych kontroli władze więzienia nie kryły zadowolenia, postanowiłem więc podjąć próbę wykorzystania nadarzającej się okazji do uratowania kilku wykonanych we Wronkach portrecików.

– Jestem studentem Akademii Sztuk Pięknych – zagadnąłem nadzorującego mnie strażnika pokazując mu rysunki – zamierzam wrócić na studia, ale po kilkuletniej przerwie mogą tam zażądać wykazania się jakimś dorobkiem. Może naczelnik wyrazi zgodę na zabranie tych rysunków?

– Napiszcie prośbę – odpowiedział strażnik.

Wkrótce wrócił z moim podaniem, na którym figurowała akceptacja z zamaszystym podpisem naczelnika.

4 września przekazałem pracownikowi kolejnemu „artyście”. Przez cały następny dzień, a był to ostatni dzień wyroku, bezskutecznie czekałem na zwolnienie. W nocy nie spałem. Nasłuchiwałem, czy nie idą po mnie z wiadomością, że w trybie dotyczącej „Dzierżyńskiego” tajnej rozprawy skazany zostałem na śmierć i wyrok za chwilę zostanie wykonany. Jednak nic takiego się nie stało. Po prostu, chyba skutkiem bałaganu, ukradziono mi jeden dzień. Po pełnej napięcia nocy, wczesnym przedpołudniem, w towarzystwie kilku innych zwalnianych tego dnia więźniów, stanąłem przed obliczem więziennego ubola, który powitał nas pełną inwektyw tyradą.

– Bandyci – wrzasnął – ojczyzna łaskawie zwraca wam wolność... Macie szansę powrotu do przyzwoitego społeczeństwa i skorzystajcie z tej szansy – ciągnął, wyliczając sposoby na taki powrót.

Po zakończeniu związanych ze zwolnieniem formalności zaprowadzono nas do magazynu depozytów. Kilka rysunków z Wronek i glejt naczelnika miałem przy sobie. Obsługujący magazyn klawich, posługując się pracującymi u niego więźniami, bez pośpiechu wydobywał worki z naszym dobytkiem, kładł przed każdym z nas, rozwiązywał i kolejno sprawdzał zawartość z wykazami. Moje zdumienie nie miało granic... Przedemną, na samym wierzchu otwartego worka, leżał plik rysunków z Montelupich, które uważałem za stracone. Korzystając z nieuwagi zajętego stojącymi przede mną więźniami magazyniera, rzuciłem na worek wronkowskie szkice. Zauważył ten gest i doskoczył do mnie z wrzaskiem.

– Co tam macie?

– Rysunki – odpowiedziałem spokojnie – i zezwolenie naczelnika.

Zebrałem wszystko i podsunąłem mu przed nos. Chwilę studiował moje pismo i figurującą na nim decyzję swojej władzy, potem starannie oglądał każdy z osobna rysunek i jednak kilka z nich zakwestionował. Nie protestowałem, by nie spowodować sytuacji, w której mogłyby przepaść wszystkie. Tak ocalała kolekcja złożona z 44 więziennych szkiców.

Wiele lat później, w 1969 r. pracowałem w Laboratorium Wzornictwa Zabawkarskiego w Krakowie. Przygotowywałem wtedy przekształcenie Laboratorium w samodzielną placówkę. Podczas tego zajęcia siedziałem biurko w biurko z przygotowującym potrzebną dokumentację Ludwikiem Muzyczką, pułkownikiem, współtwórcą Organizacji Orła Białego i oficerem Komendy Głównej AK.

Krótko przed zakończeniem pracy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę...

- Kostka?!
- Tak... Kostka – odpowiedziałem.
- Zgłosicie się dzisiaj o 17.00 na wartowni w komendzie!
- Jakiej komendzie?
- Komendzie przy placu Wolności.

Przy placu Wolności swoją siedzibę miała następczyni UB, Służba Bezpieczeństwa. Nie miałem już czasu na zawiadomienie Haneczki. Poprosiłem pułkownika, by poinformował ją o „zaproszeniu” i powiedział, że jeżeli nie wrócę do 9.00 wieczorem, to musi pamiętać o terminowym „wysłaniu lekarstwa dla wujaszka”.

„Lekarstwo dla wujaszka” było od dawna umówionym hasłem na wypadek mojego aresztowania. Uzgodniliśmy, że gdyby to się wydarzyło, w trybie alarmowym zabierze dzieci i ucieknie do ciotki Ewy Wołkowickiej, a potem jak najszybciej jeszcze dalej. Równocześnie wystąpi do sądu z pozwem o rozwód, opatrzonym mocnymi argumentami, ukazującymi mnie w najgorszym świetle.

Z wartowni odprowadzony zostałem na najwyższe piętro. W dużym pokoju czekali na mnie dwaj młodzi mężczyźni, wyglądem i sposobem bycia w najmniejszym stopniu nie przypominający znanych mi sprzed lat uboli. Witając się podaniem ręki, przy niewyraźnie powiedzianych nazwiskach, przedstawili się stopniami pułkowników. Usiedliśmy przy stole. Strażnik przyniósł kawę i herbatniki. Po dosyć długim milczeniu padło pytanie:

- Pan używał pseudonimu „Dzierżyński”?
 - Tak – potwierdziłem i dodałem, – a także „Dąbrowa”, „Roch”, „Gryf”, „Aleksander” i wiele innych.
 - Miał pan oddział?
 - Miałem.
 - Proszę o nim opowiedzieć.
 - Po wkroczeniu Niemców... – zacząłem i ponad godzinę snułem z najdrobniejszymi szczegółami opowieść o przemyskiej grupie „Lipowica”.
- Słuchali nie przerywając. Gdy skończyłem, padło kolejne pytanie.
- A był jeszcze jakiś oddział?
 - Był – i poczęstowałem ich również rozwlekłym opowiadaniem o plutonie dywersyjnym POZ. Nie wykazywali zniechęcenia...
 - A jeszcze jakiś?
 - Ten był najciekawszy – zapowiedziałem i znowu bardzo długo relacjonowałem historię mojego oddziału „DW” ze wszystkimi działaniami wywiadowczymi, akcją „N”, propagandą uliczną, drukowaniem „Placówki” i różnymi innymi szczegółami.

Miałem jeszcze w zapasie – choć trudno to nazwać oddziałami – zespół ochrony sztabu Kedywu w Rzeszowie i komórkę legalizacyjną, lecz pułkownicy nie wytrzymali.

- Tak długo szukaliśmy pana, a teraz nie chce pan z nami rozmawiać – powiedział jeden z nich z wyrzutem.
- Nie rozumiem – odpowiedziałem spokojnie – przesłuchujecie mnie ponad trzy godziny i odpowiadam na każde wasze pytanie. A szukać nie musieliście, bo przecież spędziłem w waszych kazamatach trzy i pół roku.
- To nie jest przesłuchanie. Nie piszemy przecież protokołu – odparł jeden z nich, wysypując z teczki na stół kilkadziesiąt fotografii legitymacyjnego formatu.
- Proszę przeglądnąć – mruknął.

Zdjęciom przypatrywałem się powoli udając skupienie. Były tam znane mi twarze. Przegląd co najmniej setki zajął znowu sporo czasu.

- Nikogo znajomego nie znalazłem – oświadczyłem w końcu

Jeden z nich podszedł do drzwi i zawołał stojącego tam uboła.

- Odprowadzić i zwolnić – rozkazał.

Byłem przy drzwiach, gdy któryś z pułkowników zawołał:

- Dlaczego pan przybrał sobie taki pseudonim?
- Panowie – odpowiedziałem – przesłuchiwaliście mnie ponad cztery godziny, odpowiadałem na każde wasze pytanie i usłyszałem, że nie chcę z wami rozmawiać. Więc teraz, gdy powiem, znowu mi nie uwierzycie.
- Pytam prywatnie...
- Skoro tak, to powiem. „Dzierżyński”, z rozmaitych powodów, jest dla mnie fascynującą postacią historyczną.

Coś się zmieniło. Elegancyjny panowie pytali już o „oddział Dzierżyńskiego”, nie o „bandę”. Feliks Dzierżyński, którego ponura sława budziła powszechną grozę, a w sferach bezpieczeństwa grozę i szacunek, był twórcą bolszewickich organów politycznego terroru Czeki i GPU, z których wywodziły się późniejsze NKWD, NKGB i „Smiersz”. Był też oczywiście patronem PRL-owskich uboli. Jego portret, między wizerunkami Bieruta i Gomółki, wisiał na ścianach gabinetów i w pokojach przesłuchań. Łatwo więc wyobrazić sobie można dyskomfort uboła, siedzącego pod Feliksem Dzierżyńskim i piszącego w raporcie o „bandzie Dzierżyńskiego”.

Katarzyna Ceklarz

25 lat Klubu Sportowego „Wierchy” (1941-1966) oczami Henryka Cieplińskiego



*Henryk Ciepliński
(archiwum J. Cieplińskiego)*

Otwierając granatową okładkę Kroniki KS „Wierchy”, którą spisał i wykonał Henryk Ciepliński, jeden z najaktywniejszych działaczy tego klubu (z zawodu introligator), nie sposób w niej nie zauważyć pasji, zaangażowania oraz miłości do sportu jej autora. Henryk Ciepliński obecny jest w historii rabczańskiego sportu od dawna. Już w czasie II wojny światowej, używając nazwiska Górzyński, organizował nielegalnie rozgrywki piłki nożnej na tzw. Kamieńcu nad rzeką Słonką (teren dzisiejszego marketu „Gazda” oraz siedziby firmy „Wojdyła Budownictwo”), narażając się na represje ze strony niemieckich władz okupacyjnych. Po wojnie przez kilkanaście lat był kapitanem drużyny piłkarskiej. Zakładał, a później kierował sekcją lekkiej atletyki oraz sekcją pływacką. Organizował Letnie Igrzyska Sportowe dla Dzieci. Był sekretarzem klubu od 1953 do 1980 r. oraz nieformalnym kierownikiem przebudowy stadionu w latach 1959-60. Pośród

licznych zasług sportowych i organizacyjnych Henryka Cieplińskiego dla rabczańskiego klubu szczególne miejsce zajmuje kronika jego autorstwa z opracowaną historią tej organizacji.

Dzisiaj, po upływie 70 lat od najdawniejszych wpisów, kronika, choć może w wielu miejscach niekompletna, stanowi źródło wiedzy na temat ludzi, bez których „Wierchy” współcześnie by nie istniały, a także atmosfery ostatnich lat wojny i okresu powojennego.

Pamiętać trzeba, że obraz klubu wyłaniający się z kroniki jest zapisem wspomnień i opinii jej autora. Choć bije z niej optymizm i ogromne zaangażowanie, to wydaje się, że zawarte w niej wydarzenia zostały opisane obiektywnie. Historia klubu nie jest ukazana jako pasmo niekończących się sukcesów (jak zapewne chciałby autor), ale jako złożona sieć wydarzeń zależnych od działań jej członków. Klub miał lepsze i gorsze lata, co opisano wielopłaszczyznowo. W tekście kroniki uwypuklone zostały przede wszystkim działania członków tej organizacji, co tylko potwierdza tezę, że do sukcesu potrzebny jest przede wszystkim zespół gotowych do poświęceń ludzi zgromadzonych wokół wspólnej idei.



Strona tytułowa Kroniki
KS „Wierchy”
(archiwum J. Ciepliński)

Poniższy tekst został opracowany na podstawie kronikarskich zapisów Henryka Cieplińskiego, obejmujących lata 1941-1964, i uzupełniony o informacje z innych źródeł pisanych oraz z wywiadów z członkami klubu z lat 40., 50. i 60. Kronika klubu autorstwa Henryka Cieplińskiego znajduje się obecnie w zbiorach archiwalnych jego syna Jana Cieplińskiego, któremu dziękuję za udostępnienie materiałów.

„Dzkie drużyny” – początki klubu

II wojna światowa i wprowadzony przez Niemców zakaz zrzeszania się młodzieży w jakichkolwiek organizacjach sportowych wybitnie utrudnił działalność sportową. Tym bardziej ciekawe jest, że właśnie w tych niesprzyjających warunkach, w 1941 r., powstała w Rabce „dzika drużyna” piłkarzy, będąca w dalszych latach załącznikiem klubu. Drużyna zbierała się najczęściej na tzw. Kamieńcu (dawne koryto Słonki) rozgrywając zacięte mecze z innymi podobnymi drużynami z poszczególnych rejonów Rabki. *Z dzisiejszego punktu widzenia, placu, który istniał nad rzeką, nikt nawet nie nazwałby boiskiem – wspomina Władysław Mlekođaj, jeden z ówczesnych piłkarzy juniorów. Był to kawałek w miarę płaskiego, kamienistego i bardzo nierównego terenu, który ze względu na swoje położenie traktowany był jako nieużytek, teren zalewowy i nie był uprawiany. Jeśli któryś z nas wywrócił się podczas rozgrywek, o co naprawdę nie było trudno, to kolana i łokcie miały całkowicie zdarte.*

Grano zupełnie innym systemem niż dzisiaj, najczęściej były to mecze rozgrywane, aż do uzyskania przez którąś z drużyn 12 lub 20 goli. Właściciel piłki do gry stawał się zazwyczaj kapitanem drużyny. Grano dla własnej przyjemności i satysfakcji, narażając się jednocześnie na gniew okupanta. Kilku zawodników, jak choćby Henryk Ciepliński (Górzyński) czy Tadeusz Rachański (Kiczela), brało udział w rozgrywkach pod konspiracyjnymi nazwiskami.

Jak wspomina autor kroniki, z tych samych powodów nie można było liczyć na kibiców, których na mecze przychodziło bardzo niewiele w obawie o swoje życie. Sytuacja polityczna w kraju odbijała się niekorzystnie na wyposażeniu takiej nieformalnej drużyny, która cały potrzebny sprzęt (buty, strój, piłki) oraz wyjazdy poza Rabkę pokrywała z własnej kieszeni i nielicznych wolnych datków uzyskanych od pasjonatów piłki nożnej. Datki te przeznaczano głównie na zakup piłek i łapówki dla niemieckiej żandarmerii, aby pozwoliła rozegrać mecz¹. Władysław Mlekođaj wspomina tamte lata w następujący sposób: *Adrenalinę i emocje sportowe dodatkowo podnosił fakt, że naprzeciwko naszego boiska, w willi „Zofia”, podczas wojny znajdował się komisariat niemieckiej żandarmerii. Aby odwrócić ich wzrok od nielegalnej wtedy gry w piłkę,*

¹ W. Nowak, *Jak dawniej w Rabce piłkę kopano*, www.rabka.pl., 5.01.2010.

zanosiliśmy im co jakiś czas łapówkę pochodzącą z zbieranych datków. Problemem mogła być również granatowa policja, ale jakoś tak wyszło, że sami zaczęli z nami grywać.



Pierwsza drużyna piłkarska KS „Wierchy” (archiwum J. Cieplińskiego)

Mimo wspomnianych trudności, w latach 1942-45 udało się rozegrać kilka meczy wyjazdowych z drużynami z Limanowej, Nowego Sącza, Nowego Targu i Zakopanego². Przejazdy do sąsiednich miejscowości odbywały się najczęściej towarowymi wagonami (tzw. węglarkami), co było możliwe dzięki temu, że na kolei pracowało kilku członków drużyny. Czasami wykorzystywano furmanki lub złapane „na okazję” samochody (po wojnie również auta należące do Armii Czerwonej, ponieważ radzieccy żołnierze byli chętni do gry w piłkę). Rywalizacja polsko-radziecka na murawie przyniosła również inne korzyści. Dzięki niej udało się pozyskać trotyl potrzebny do uporządkowania Kamieńca i stworzenia na nim lepszego boiska.

Modernizacja placu zaczęła się w 1945 r., tuż po zakończeniu działań wojennych. Porządkowanie terenu rozpoczęto od usunięcia betonowych pozostałości po starych fundamentach oraz dużych pniaków, do czego wykorzystano materiały wybuchowe. Członkowie klubu zbierali kamienie, a bracia Edward i Jan Balowie zaorali plac pod przyszlą murawę.

² E. Konieczny, *Historia KS „Wierchy” Rabka-Zdrój – kalendarium wydarzeń*, maszynopis w zbiorach autorki.



*Rozdanie nagród podczas pierwszych zawodów lekkoatletycznych w 1946 r.
(archiwum J. Cieplińskiego)*

Mając gotowe boisko, członkowie postanowili w 1946 r. oficjalnie zarejestrować drużynę, którą nazwano wspólną decyzją „Klub Sportowy Wierchy Rabka” i wpisano do rejestru pod numerem A-416. Zarząd klubu składał się z rady, której pierwszym prezesem został Jan Wiczorkowski, a w jej skład weszli: Józef Środa pełniący funkcję sekretarza, Edmund Dutkiewicz – skarbnik, Henryk Ciepliński, Władysław Czystocz, Władysław Klemпка, Michał Kozik, Edmund Praziński, Władysław Rojeki oraz Stanisław Wojdyła. Klub od początku dzielił się na dwie podstawowe sekcje: piłki nożnej, pod kierownictwem Antoniego Mrzygłoda, gdzie kapitanem drużyny, podobnie jak we wcześniejszych latach, był Henryk Ciepliński, oraz narciarską, której przewodził Władysław Czystocz oraz Władysław Kapłon.

Pierwszym ważnym problemem, którym rada postanowiła się zająć, było uregulowanie spraw własnościowych dotyczących boiska. Plac ten należał do 16 gospodarzy z roli Mlekołajówki³. W wyniku negocjacji teren został przekazany nieodpłatnie we władanie rady, co było dużym sukcesem i umocnieniem pozycji klubu w Rabce. Inną, fizyczną przeszkodą do usunięcia był tzw. 12. gracz, czyli drewniany słup sieci energetycznej, który stojąc na środku boiska znacznie utrudniał grę⁴. Była to na tyle kuriozalna sytuacja, że „Tygodnik Ilustrowany” w 1945 roku poświęcił jej krótką notatkę prasową: *Widziałem już przeróżne boiska sportowe; nie widziałem jednak dotąd boiska, gdzie na jednej stronie jest zawsze o jednego zawodnika drużyny broniącej więcej... mianowicie: słup telefoniczny. A tak jest właśnie w Rabce! Nie przeszkadza to jednak tamtejszym piłkarzom w rozgrywaniu zawodów, których poziom podniósłby się niechybnie, gdyby do Rabki zawitały od czasu do czasu krakowskie drużyny. Te bowiem, które „przedefiladowały” przez boisko niedaleko łaźienek rabczańskich (jeszcze*

³ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy” Rabka...*, s. 3.

⁴ W. Nowak, *Jak dawniej w Rabce...*

nieczynnych zresztą), ustępowały znacznie gospodarzom i odprawione zostały z pokaznym „bagażem” bramek do domu. Ostatnio nawet makowska „Skawa” – obawiając się, że nie będzie mogła unieść więcej już po 6-ciu bramkach opuściła boisko...⁵



Rozgrywki piłkarskie z „12 graczem” w tle (archiwum J. Cieplińskiego)

Ale i to udało się przezwyciężyć, gdyż jak podaje kronika: *Dzięki zrozumieniu prezesa mgr. Wieczorkowskiego Jana, kierownika sieci elektrycznej w Rabce, słup został usunięty, a fundusze zebrane z zabaw urządzanych wyłącznie przez KS „Wierchy”, jak i dobrowolnych datków obywateli Rabki, pozwoliły nam zakupić materiały na postawienie ogrodzenia i kasy, co było dużą zasługą ob. Środy Józefa i śp. Wojdyły Stanisława*⁶.

Uroczyste otwarcie obiektu odbyło się w czerwcu 1947 r., gromadząc tłumy mieszkańców Rabki i okolic. Zjawili się przede wszystkim miłośnicy sportu, byli także przedstawiciele władz powiatowych i wojewódzkich (m.in. przybył przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej – Bolesław Pirożyński). *Pamiętam jak przygotowując się do uroczystości otwarcia boiska, Heniek Ciepliński osobiście ufundował nam wszystkim nowe stroje sportowe – wspomina Władysław Mlekodaj. – Kostium składał się z zielonej koszulki z białym kołnierzem i białymi rękawkami, na której wyhaftowany był numer, białych spodenek oraz zielonych, robionych na drutach z wełny getrów z białym paskiem pod kolanem. Nigdy wcześniej drużyna nie prezentowała się tak okazale, jak w tym dniu. Nie zapomnę, jak patrzyły na nas wtedy dziewczyny. Stroje piłkarzy szyły Halina Szarawarska oraz Helena Cieplińska.*

Nowe boisko posłużyło m.in. do rozegrania zawodów piłkarskich o mistrzostwo Podokręgu Podhalańskiego PZPN, o którym Wiesław Nowak pisze: *Były to mecze cieszące się bardzo dużym zainteresowaniem sympatyków, twarde i zacięte, bo niemal*

⁵ 12:11, czyli co słycać w Rabce, „Tygodnik Ilustrowany”, 1:1945, z dn. 21 sierpnia.

⁶ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy” Rabka...*, s. 3.

każdy traktowany był, jako „święta wojna”, zaś szczególną zaciętością odznaczały się spotkania z drużyną „Podhala” Nowy Targ⁷.

Niestety, już w 1948 r. ogromna powódź, jaka w czerwcu nawiedziła Podhale, zabrała ¾ boiska, które, jak już wspomniano, usytuowane było na terenie zalewowym. Woda, pomimo wszelkich prób uratowania obiektu, zabrała także ogrodzenie i budynek kasy, żłobiąc sobie nowe koryto przez środek murawy. I choć smutek i gorycz były ogromne, to złość okazała się jeszcze większa. I to ona właśnie spowodowała, że niemal natychmiast, jak tylko woda opadła, przystąpiono do odbudowy stadionu. Przez trzy tygodnie członkowie klubu naprawili powstałe szkody. Udało się odbudować, nawierzchnię, ogrodzenie i kasy. Na kartach kroniki pod datą powodzi zanotowano: *Znaczącą rolę w odbudowie stadionu po powodzi odegrał długoletni wiceprezes inż. Witold Szaras. Jako leśniczy na terenach Rabki dostarczył materiały drzewne na realizację planowanych prac. W pracach ziemnych przy odbudowie boiska brali udział: Edward i Jan Balowie, Leszek Szarawarski, Józef Patraj, Edward Mglej, Antoni Leszczyński, dr [Kazimierz] Galanty. Wszelkimi pracami kierował długoletni piłkarz i działacz - Jan Mlekodaj⁸.*

Kolejna przebudowa boiska miała miejsce dopiero sześć lat później, w 1954 r., kiedy powiększono plac oraz wybudowano krytą widownię posiadającą 400 miejsc siedzących. Wówczas powstały ławki od strony rzeki, szatnie, nowy budynek kasy oraz 100-metrowa bieżnia i skocznie dla sekcji lekkiej atletyki.

Reorganizacje w klubie

Jak podaje Wiesław Nowak: *Na początku lat 50. ogólnym zarządzeniem nastąpiła reorganizacja sportu polskiego. Rozwiązano wszystkie kluby sportowe, zakazano używać ich tradycyjnych nazw. W ich miejsce powołano koła sportowe o nazwach poszczególnych branż związków zawodowych⁹.* Ogólnopolskie zmiany nie ominęły również KS „Wierchy”, który w kolejnych latach pięciokrotnie zmieniał nazwę i przynależność. Kolejno były to zrzeszenia: „Związkowiec”, „Ogniwo”, „Unia”, „Sparta” i w końcu w 1957 r. klub przeszedł pod auspicje Federacji Związków Zawodowych Pracowników Służby Zdrowia, jednocześnie powracając do swojej pierwotnej nazwy. Poszczególne reorganizacje były kłopotliwe, gdyż zmiany administracyjne wpływały na zmiany finansowania klubu. Dopiero ostatnia reorganizacja przyniosła poprawę kondycji materialnej, dzięki czemu, przełom lat 50. i 60. był bardzo dobrze wspomnianym okresem w historii „Wierchów”.

Rozbudowa stadionu

W momencie gdy opiekę nad klubem przejęła Federacja Związków Zawodowych Pracowników Służby Zdrowia, ówczesny prezes Antoni Matera, wraz z najbardziej

⁷ W. Nowak, *Jak dawniej w Rabce...*

⁸ W. Nowak, *Jak dawniej w Rabce...*

⁹ W. Nowak, *Jak dawniej w Rabce...*

zaangażowanymi członkami klubu, rozpoczął starania o kolejną przebudowę boiska. W wyniku tych działań, po rocznych zabiegach, otrzymano w 1958 r. zgodę Wydziału Architektoniczno-Budowlanego w Krakowie na rozbudowę stadionu z usytuowaniem nowej części w przedłużeniu już istniejącego boiska. Teren (tzw. dolna część Kamieńca) należał do kilku właścicieli. Jego część pod przyszły stadion przekazała klubowi dyrekcja rabczańskiego uzdrowiska, a także parafia św. Marii Magdaleny. Pozostała część należała do prywatnych właścicieli z Gawronówki (roli leżącej po przeciwnej stronie rzeki), którzy również zgodzili się odstąpić ją na rzecz klubu¹⁰. Plan oraz kosztorys przyszłej inwestycji wykonał zespół inżynierów z Krakowa, co było możliwe dzięki dotacji Prezydium Rady Narodowej z Nowego Targu, która wsparła projekt. Kolejne fundusze przekazał klubowi Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia (w kwocie 173 300 zł), co w roku 1959 pozwoliło na przystąpienie do wykonania projektu, szczególnie że kolejną dotację (125 000 zł) udało się uzyskać od Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej w Krakowie.



Prace przy rozbudowie stadionu w 1959 r. (archiwum J. Cieplińskiego)

Remont płyty stadionu przeprowadziła Spółdzielnia Remontowo-Budowlana z Rabki. Ze strony klubu, przez pierwsze kilka miesięcy, formalnie, nie była nikogo, kto by nadzorował inwestycję. Nieformalnie funkcję tę od początku sprawowali społecznie: prezes Antoni Matera oraz Witold Szaras i Henryk Ciepliński. W 1960 r. ciężar zakończenia i rozliczenia budowy wziął na siebie Jan Mlekodaj, członek sekcji piłkarskiej, mający ku temu odpowiednie kwalifikacje. *Przystępując do rozbudowy*

¹⁰ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy” Rabka...*, s. 15.

stadionu – pisze Henryk Ciepliński - *zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z trudności i przeszkód, które będziemy musieli przezwyciężyć, ale zdawaliśmy sobie również sprawę z tego, że obiekt taki jest potrzebny w Rabce dla ożywienia życia sportowego. Klub stadionu nie buduje wyłącznie dla siebie, dla własnych potrzeb, korzystać z niego będą szkoły, zakłady pracy oraz władze na okolicznościowe uroczystości*¹¹. Członkowie klubu zakładali, że rozbudowa stadionu wpłynie na podniesienie formy zawodników z poszczególnych sekcji, którzy dzięki temu będą mieli lepsze warunki do treningów (szczególnie sekcje: siatkówki, lekkoatletyczna i piłkarze). Po zakończeniu remontu planowano organizować w Rabce obozy szkoleniowo-kondycyjne, zajęcia wakacyjne oraz udostępniać stadion osobom prywatnym, które miałyby ochotę trenować nie będąc w klubie. Planowano także wybudowanie pawilonu sportowego, gdyż brak świetlicy uniemożliwiał prowadzenie zajęć teoretycznych. Brakowało także pomieszczeń magazynowych, sanitarnych oraz szatni.



Prace przy rozbudowie stadionu w 1959 r. (archiwum J. Cieplińskiego)

Nowa płyta boiska została oddana do użytku w 1964 roku. Podczas uroczystego otwarcia stadionu nadano mu imię tragicznie zmarłego Antoniego Matery. Zginął on w wypadku samochodowym 2 sierpnia 1964 roku, nie doczekawszy ukończenia dzieła, któremu poświęcił wiele energii.

¹¹ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy” ...*, s.16.



Inauguracyjny mecz na nowo otwartej płycie boiska (archiwum J. Cieplińskiego)



Uroczystość otwarcia stadionu, przemawia Adam Jurczakiewicz (archiwum J. Cieplińskiego)

Sekcja narciarska

Losy sekcji narciarskiej, jakie wyłaniają się z kart kroniki Henryka Cieplińskiego, jednoznacznie świadczą o tym, iż była to najsilniejsza i najprężniej działająca sekcja w klubie. Choć początki powojennego narciarstwa, podobnie jak w przypadku piłki nożnej, były trudne, to sekcja ta miała mocne zaplecze wśród ludzi uprawiających sporty zimowe przed wojną. Początkowo bazowano na sprzęcie, który każdy z uczestników miał prywatnie, a i tego nie było zbyt wiele zważywszy na fakt, że narciarstwo jest dyscypliną wymagającą znacznie droższego i trudnego do zdobycia na owe czasy ekwipunku. *Mieliśmy do dyspozycji narty nie przekraczające 1,5 metra, bo tylko takich Niemcy nie rekwirowali na potrzeby swojego wojska podczas wojny. Od 1945 r. sporadycznie można było kupić narty pozostawione przez okupantów, gdy się wycofywali, były to już narty dłuższe, drewniane i zazwyczaj malowane na białą z zielonym pasem pośrodku –* komentuje Władysław Mlekodaj.



*Skocznia narciarska w Rabce,
Z. Czerwiec przed startem
(archiwum J. Cieplińskiego)*

Mimo tych trudności zapal wśród zawodników nie słabł i już w 1948 roku przystąpiono do budowy skoczni narciarskiej na skarpie koło Kaplicy Zdrojowej (w miejscu, gdzie podobny obiekt znajdował się w okresie międzywojennym). Budowa miała za zadanie zaktualizować członków sekcji. Projekt skoczni wyszedł spod ręki prezesa Jana Wieczorkowskiego (który dodatkowo zainstalował później dwie latarnie oświetlające obiekt), a o realizację w terenie zatroszczyli się członkowie sekcji Nalepa i Pachura przy pomocy innych członków klubu. Maksymalna długość skoku, jaki można było oddać, wynosiła 25 metrów.

W tej postaci skocznia służyła zawodnikom aż do 1955 roku, kiedy została zmodernizowana według projektu Jerzego Muniaka (cenionego specjalisty w dziedzinie budowy obiektów sportowych, projektanta skoczni w Wiśle Malince i Ptaszkowej, a także na Pierścienicy w Górach Świętokrzyskich), który zaprojektował ją za darmo. Ciężar przebudowy wziął na siebie Witold Szaras, który zrezygnował z prywatnego urlopu poświęcając ten czas dla dobra sekcji. Po remoncie wydłużył się dystans bezpiecznego skoku do 25 a nawet 30 metrów. Rekord tej skoczni należał do Adama Jurczakiewicza, który wspomina: *Skakaliśmy głównie dla przyjemności i zabawy, zazwyczaj w niedziele. Dla ludzi wychodzących po mszy z kaplicy była to atrakcja, a i my mieliśmy frajdę, gdy oprócz klubowych sędziów na trybunach pojawiała się publiczność. Z tego co mi wiadomo, nikt po mnie nie oddał dłuższego skoku. Ile on mógł wynosić? - nie pamiętam, ale na pewno dwadzieścia kilka*

metrów. Mogły to być tzw. metry narciarskie czyli po 75 cm (śmiech). Lądowałem w okolicach ścieżki znajdującej się na dole.



Zawodnik w locie (archiwum J. Cieplińskiego)

Możliwość treningów spowodowała, że zawodnicy z rabczańskiej sekcji brali udział w zawodach organizowanych na innych skoczniach. W 1965 roku skakano w Tarnawie Górnej – były to zawody zorganizowane, by uczcić XX-lecie PRL. Startowano również w zawodach „O Puchar Ludowych Związków Zawodowych” na skoczniach w Ryrtrze i Ptaszkowej z obydwu przywożąc I lokatę.

W tym samym czasie także inni członkowie sekcji startowali w licznych zawodach narciarskich odnosząc spore sukcesy. W 1950 r. Czesław Rypel zdobył złoty medal w biegu na dystansie 30 kilometrów podczas Mistrzostw Polski Zrzeszenia Sportowego „Ogniwo”. Widząc zaangażowanie członków sekcji, z których wielu uzyskało podczas tych zawodów awans do kadry zrzeszenia, organizacja przekazała na rzecz sekcji kilka kompletów sprzętu.

W 1950 r. na terenie miasta zorganizowano mistrzostwa w narciarstwie klasycznym na szczeblu powiatowym, w których łączna ilość zawodników to 623 osoby. Z punktu widzenia organizacyjnego był to sukces, który odbił się szerokim echem w lokalnym środowisku narciarskim. W tym samym roku sekcja zdobyła mistrzostwo Związku Sportowego „Unia” w narciarstwie zjazdowym, pokonując takich rywali, jak kluby z Istebnej, Krynicy i Szklarskiej Poręby. Tego zwycięstwa nie udało się powtórzyć w roku 1954, w którym podczas Centralnych Mistrzostw „Unii” rozgrywanych w Szklarskiej Porębie drużyna zdobyła jednak 2. miejsce. Niemniej podczas rozgrywek tytuł mistrzowski powędrował indywidualnie do Stefana Luburdy, który nie miał sobie równych w biegu na 30 kilometrów. Dodatkowo sześciu zawodników z Rabki reprezentowało „Unię” w Mistrzostwach Polski, zajmując III miejsce w sztafecie 4x10 kilometrów. Rok 1954 zapisał się szczególnie w historii klubu także ze względu na

zorganizowaną przez sekcje pierwszą w Polsce „Spartakiadę dla Dzieci”, w której wzięło udział 224 zawodników ze szkół podstawowych. Zainteresowanie narciarstwem ze strony dzieci dało impuls do założenia szkoły narciarskiej w ramach klubu. Wtedy też zapoczątkowano tradycję obecną już w innych górskich miejscowościach - corocznych zawodów, które w Rabce nazwano „Narciarskie Igrzyska dla Dzieci”. Średnia liczba zawodników wynosiła ok. 300 osób w wieku od 7 do 15 lat. Startujące dzieci pochodziły m.in. z Rabki, Zarytego, Rokicin, Rdzawi, Chabówki, Raby Wyżnej, Poronina oraz Klubu Sportowego „Okocimski” z Okocimia.



Skoki na skoczni w Zarytem (archiwum J. Cieplińskiego)

Wszystkie te działania spowodowały, że już po kilku latach wychowankowie szkoły (trenujący pod okiem Adama Jurczakiewicza i Władysława Mlekodaja) stanowili świetną kadrę juniorską, osiągając bardzo dobre wyniki w skali ogólnopolskiej (czego najlepszym dowodem było zdobycie w 1961 r. odznaki kółek olimpijskich przez Marzenę Rogulską, Zbigniewa Makułę, Mieczysława Paternogę, Jana Rippera i Jana Wieczorkowskiego). Ponadto by potwierdzić swoją wyjątkową formę, jeszcze w tym samym sezonie narciarskim, ekipa w składzie: Zbigniew Makuła, Marek Omiecki, Jan Pyka i Jan Wieczorkowski zdobyła tytuł wicemistrza Polski, mistrza Województwa Krakowskiego oraz mistrza w zawodach CRZZ. Marek Omiecki wspominał te czasy na łamach „Wiadomości Rabczańskich” w następujący sposób: *Jako 6-klasista byłem już w szkółce narciarskiej, którą w KS Wierchy prowadzili Adam Jurczakiewicz i Władysław Mlekodaj. Byłem w gronie Jaśków: Pyki, Rippera i Wieczorkowskiego oraz Maćków: Przybyły i Wieczorkowskiego. Marzyliśmy o sławie alpejczyków, startowaliśmy na zakopiańskim Nosalu, rywalizując z Jędrkiem „Ahusiem” Bachledą. Nie byliśmy tacy źli, skoro w alpejskich Mistrzostwach Polski zajęliśmy raz trzecie miejsce drużynowo. (...) Tamte alpejskie lata wspominam najcieplej¹².*

¹² k.s. *Sport? Moja miłość...*, „Wiadomości Rabczańskie”, nr 27, 1992, s. 12.



Przed startem. Z numerem 5 Jacek Kapłon, 10 Stanisław Jurzec, 12 Marek Szarawarski, 13 Maciej Wieczorkowski, 98 Jacek Lassota, 99 Marek Omiecki (archiwum J. Cieplińskiego)

Kolejnym wyzwaniem, jaki postawili przed sobą członkowie sekcji, było wznowienie, po 22 latach przerwy, przedwojennej tradycji organizowania biegu narciarskiego „O Puchar Turbacz-Rabka”. Zawody te miały swoje początki w latach 30., kiedy organizowała je Sekcja Narciarska Przy Ognisku Związku Podhalan. Przez trzy kolejne lata (1934, 1935 i 1936) walczono na trasie Rabka-Turbacz o puchar ufundowany przez ówczesną Komisję Zdrojową i Gminę Rabka. Jak pisał Henryk Ciepliński: *Puchar ten klub nasz odnalazł w 1958 roku i w roku 1959 wznowił zawody o jego zdobycie. W 1963 roku puchar, po trzykrotnym kolejnym zwycięstwie przeszedł na własność KS „Start” Zakopane. Obecnie klub nasz posiada bardzo ładny puchar do tych zawodów ufundowany przez Dyрекcję „Uzdrowiska” Rabka¹³.*

Przez trzy lata (1964, 1968, 1970) organizowano na terenie Rabki „Mistrzostwa Polski Młodzików”, które spotkały się z dużym uznaniem ze strony PZN-u, oraz biegi zjazdowe „O Puchar Lubonia Wielkiego” (od lat 60.). *Bieg ten, poprowadzony z Lubonia szlakiem niebieskim do Zarytego, podobnie jak bieg Turbacz-Rabka był trudny w organizacji. Nie było skuterów, jak teraz, nikt nie chodził na turach, trasę ubijali sami zawodnicy wychodząc nią do góry – dzisiaj rzecz nie do pomyślenia. Dla mnie jako trenera, a później ratownika GOPR miało to swoje plusy. Po pierwsze dodatkowy trening dla zawodników, a po drugie ci co umieli jeździć w kopnym śniegu byli później lepszymi ratownikami – wspomina Władysław Mlekodaj.*

¹³ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy” Rabka...*, s. 9.

Równolegle, w każdym sezonie prowadzone były intensywne treningi narciarstwa zjazdowego na stokach Maciejowej i Królewskiej Góry, przygotowujące zawodników do kolejnych startów w mistrzostwach. Zjazdowcami opiekował się szczególnie Adam Jurczakiewicz. I tak w sezonie 1960-61 udało się zespołowo wywalczyć IV miejsce w mistrzostwach okręgu, a w sezonach 1962-63 oraz 1963-4 miejsce I. Młodzież chętnie startowała także w zawodach organizowanych przez Związki Zawodowe, na których, szczególnie dziewczęta z Zarytego zdobyły w konkurencjach klasycznych III (sezon 1960-1), II i IV (sezon 1962-3) miejsce. Dodatkowo w 1963 roku sekcja zdobyła III miejsce (na 48 klubów) w Mistrzostwach Polski oraz dwukrotnie Mistrzostwo Okręgu Krakowskiego (lata 1963 i 64). *Była to istna kuźnia talentów – wspomina Adam Jurczakiewicz. - Staralem się tak prowadzić ćwiczenia, aby nikogo nie zniechęcić. Na potrzeby treningów wymyśliłem urządzenie do symulacji jazdy na nartach. W zorganizowanej przez nas sali gimnastycznej, mieszczącej się w willi „Pod św. Józefem”, wykorzystując belki stropowe ćwiczyliśmy na sztucznych nartach. Wyglądało to następująco: przez szpary pomiędzy tragarzami a sufitem przeciągnąłem liny, na końcu których przywiązałem gumowe pętle zrobione z opon samochodu ciężarowego. W pętlach zamocowałem dwie deski imitujące narty. Całość wisiała ok. 40-50 cm nad podłogą. Zawodnik w ramach treningu musiał jak najdłużej się na nich utrzymać w pozycji zjazdowej z kijkami w rękach. Im dłużej stał na deskach, tym bardziej one zaczynały pracować imitując prawdziwy zjazd. Było to bardzo wymagające ćwiczenie. Rekordzista wytrzymał w ten sposób ok. 4 minut.*



Uczestnicy zawodów „O Puchar Rabka-Turbacz” (archiwum J. Cieplińskiego)

Dużym wsparciem dla klubu były wspomniane już dziewczęta z Zarytego, które odznaczały się bardzo dobrą kondycją fizyczną, zaciętością i talentem. Dlatego w 1965 roku postanowiono o dołączeniu Zarytego do grupy rabczańskiej. Projekt ten zrodził się w głowie Mariana Chylaka, który uważał, że Rabka i Zaryte to jedna miejscowość, podlegająca tej samej gminie, więc na zewnątrz powinna być wspólnie reprezentowana

przez najlepszych sportowców. Połączenie tych dwóch grup dało również możliwość pozyskania dodatkowych środków finansowych (25 tys. zł) z Zarządu Głównego Związku Pracowników Służby Zdrowia, które w całości zostały przekazane na zakupienie sprzętu narciarskiego dla nowych członków. Kierownictwo sekcji starało się, aby nowe narty trafiły w szczególności do dziewcząt, których zawsze było mniej niż chłopców. Chciano w ten sposób zdopingować do pracy osoby już będące w klubie i zachęcić kolejne. Metoda okazała się na tyle skuteczna, że w późniejszych latach klub mógł pochwalić się zawodniczkami o bardzo wysokich osiągnięciach sportowych, których największa kumulacja przypadła na końcówkę lat 80. i lata 90., kiedy Michalina Maciaszek sławiła Rabkę zdobywając dwunastokrotnie Mistrzostwo Polski, cztery razy medal na uniwersjadzie, brała udział w Olimpiadzie w Lillehammer, podczas której zajęła 8. miejsce w sztafecie 3x5 kilometrów oraz uczestniczyła w Mistrzostwach Świata w 1987 roku. Trenerami narciarskimi klubu byli: Adam Jurczakiewicz, Władysław Mlekodaj, Stefan Luberd, Leopold Latawiec oraz Józef Konieczny. Kierownikiem sekcji narciarskiej był Władysław Kapłon.

Sekcja piłki nożnej

Obok sekcji narciarskiej była to jedna z najstarszych i najaktywniej działających sekcji w klubie. Pomimo całkowitego braku środków finansowych i licznych trudności organizacyjnych w drugiej połowie lat 40., drużyna piłkarska była grupą kolegów bardzo ze sobą zżytych. Choć grano w butach przerobionych domowym sposobem na korki i choć przejazdy trzeba było opłacać z własnej kieszeni, drużyna nigdy nie zawiodła stając w komplecie na każde rozgrywki. Rozgrywano mecze o mistrzostwa powiatu nowotarskiego, w klasie B sześciokrotnie zajmując I miejsce. Niestety, przez kilka lat nie miała szczęścia i nie udało jej się awansować do wyższej, klasy. Dopiero rok 1955 przyniósł wymarzony awans do klasy A. Równolegle rozgrywano mecze towarzyskie z drużynami z całej południowej Polski (m.in. z drużyną Garbarnia Kraków, Cracovia II, Wisła II, Górnik Radlin, Górnik Bytom, Górnik Gorlice, Stal Nowa Huta i inne). Rozegrano także pięć meczów towarzyskich z zespołami z Czechosłowacji (Slovan, Dolny Kubin, Lewoca, Kieżmark, Banik). Trzy z nich zostały wygrane, jeden przegrany, a jeden zakończony remisem.

17 września 1958 roku rozegrano jubileuszowy 300-setny mecz na własnym boisku. Walka o mistrzostwo w klasie A rozegrała się między „Wierchami” a klubem TKS „Skawina”. Sędzią głównym był Antoni Wagner, a pojedynek zakończył się wygraną „Wierchów” 5:0. Sporą atrakcją dla kibiców był także mecz o numerze 500., rozegrany 6 października 1963 r. pomiędzy KS „Wierchy” a KKS „Babia Góra” z Suchej Beskidzkiej. Mecz zakończono remisem 1:1. Podczas spotkania funkcję głównego sędziego powierzono Wagnerowi, o którym prasa donosiła: *Drużyna piłkarska chlubi się pięknymi wynikami uzyskanymi tak na swoim, jak i cudzym boisku. Nade wszystko posiadają zaś rabczanie bardzo dobrego sędziego Wagnera, któremu rutyna w postaci „monopolu” na prowadzenie wszystkich tamtejszych meczów piłkarskich daje tytuł do najlepszej noty*¹⁴.

¹⁴ 12:1, czyli co słycać w Rabce, „Tygodnik Ilustrowany”...

W ramach sekcji funkcjonowała drużyna trampkarzy, trenowana m.in. przez Władysława Kapłona, Tadeusza Parpana, Marka Oczkowicza, Władysława Giergiela oraz Tadeusza Łęczyńskiego. Początkowo odnosiła ona spore sukcesy (w 1952 r. wygrała mistrzostwa powiatu nowotarskiego) wchodząc do klasy A. Przez kilka lat z rzędu utrzymywała bardzo wysoką pozycję, ale na skutek powołania najlepszych zawodników do służby wojskowej nastąpiło pogorszenie jej wyników.



Sędzia Antoni Wagner prowadzi 300-setny mecz, 1958 r. (archiwum J. Cieplińskiego)

Później zespół trampkarzy bezskutecznie walczył o ponowny awans do klasy A. Jak wspomina Henryk Ciepliński: *Dużym powodem spadku drużyny do klasy B były niewątpliwie: brak młodych i chętnych zawodników, opuszczanie treningów oraz brak własnego boiska do rozgrywek mistrzowskich, które to mecze drużyna nasza w roku 1962-63 zmuszona była wszystkie rozgrywać na obcym terenie, co, jak wiadomo, nie może dodatnio wpłynąć na grę zawodników, a tym samym na lepsze wyniki*¹⁵. Był to początek błędnego koła, które trudno było przerwać, słabe mecze, wyłącznie wyjazdowe i niska pozycja w tabeli powodowały brak zainteresowania młodzieży oraz całego społeczeństwa w Rabce, co z kolei przekładało się na niski poziom gry. Henryk Ciepliński, który był jednym z największych pasjonatów tego sportu w gorzkich słowach opisywał tę sytuację: *Z przykrością należy stwierdzić brak piłkarzy z prawdziwego zdarzenia, brak piłkarzy z tamtych czasów, którzy grywali na własnym sprzęcie, którzy jak śp. Smender Stanisław za zastępstwo (aby móc grać na meczu) koledze kolejarzowi płacił z własnych pieniędzy, takich jak Tadek Kiczela (Rachański), który za własne pieniądze przyjeżdżał z Warszawy i Gdyni wprost na mecz do Nowego Targu czy Zakopanego. To samo Ciepliński Zbyszek, który przyjeżdżał z Radomia. Obecnie większość piłkarzy gra nie dla samej przyjemności*

¹⁵ H. Ciepliński, *Historia KS „Wierchy”* ... s. 7.

gry, ale mając na uwadze inne bodźce, takie jak uzyskanie dobrze płatnej, a nie wymagającej dużego wysiłku pracy. Bolączką klubu było odchodzenie najlepszych zawodników do drużyn, gdzie wypłacano większe gaże (np. Mszana Dolna). Zmianę na lepsze przyniosło oddanie do użytku nowej płyty boiska w Rabce w 1964 r. i możliwość organizowania meczów przy własnej publiczności.

Sekcja lekkoatletyczna

Sekcję powołało do życia dwóch entuzjastów sportów letnich – Stefan Luberda i Henryk Ciepłiński - w 1952 r. Historia jej działania zaczyna się, podobnie jak pozostałych sekcji, od trudności i przeszkód, które trzeba było pokonać. Największym problemem był brak odpowiednio zaadaptowanej przestrzeni w otoczeniu boiska, na której można by swobodnie ćwiczyć dyscypliny lekkoatletyczne. Brakowało bieżni, skoczni w dal i wzwyż, nie było odpowiedniego punktu do pchnięcia kulą czy rzutu oszczepem. Nie było także sprzętu, o który latami zabiegano. Nie brakowało tylko chęci i zapału, co jak się okazało wystarczyło, aby mimo wszystko w pierwszej połowie lat 50. trzykrotnie wywalczyć wicemistrzostwo Podhala oraz dwukrotnie mistrzostwo okręgowe Związku Zawodowego „Unia”. Dodatkowo w 1952 r., podczas międzywojewódzkich mistrzostw lekkoatletycznych, Józef Skawiańczyk zdobył złoty medal w biegu na 800 metrów, Alina Szaras wywalczyła trzy złote medale (w biegu na 100, 200 metrów i skoku w dal), a Maria Źmuda złoto w biegu na 400 metrów. Wyniki nie tylko zaskoczyły sędziów z Nowego Sącza, ale spotkały się z ich dużym uznaniem. Był to sukces, zarówno konkretnych młodych sportowców, jak również całej sekcji, na którą w Nowym Sączu patrzono początkowo z pewnym lekceważeniem. Zawodnicy wywalczyli także puchar i tytuł mistrzowski na Centralnej Spartakiadzie Służby Zdrowia organizowanej przez ZS „Unia”, gdzie reprezentowali województwo krakowskie.

Wspomniane sukcesy zawodników spowodowały, że podczas przebudowy boiska w 1954 roku wyposażono go dodatkowo w 100-metrową bieżnię oraz piaszczystą skocznię do skoku w dal. Henryk Ciepłiński przekonywał w kronice: *Po ukończeniu rozbudowy stadionu sekcja będzie miała wszystkie urządzenia do właściwego prowadzenia treningów i na pewno, w niedługim czasie, zawodnicy będą uzyskiwali coraz lepsze wyniki, a sekcja lepsze miejsca zespołowe, gdyż do tej pory wszystkie zawody rozgrywa na wyjazdach, a wiadomo, że zawody rozgrywane na własnym stadionie i przy własnej publiczności dają lepsze rezultaty*¹⁶.

Modernizacja boiska pozwoliła na przeprowadzenie „Spartakiady Służby Zdrowia i innych Zakładów Pracy” w Rabce, co, według kroniki, cieszyło się dużym zainteresowaniem ze strony nie tylko samych startujących (ponad 200 osób), ale także licznej publiczności. Organizowano też „Letnie Igrzyska dla Dzieci” z okolicznych szkół podstawowych, którymi kierował Henryk Ciepłiński oraz trener sekcji Stefan Luberda. W 1957 r. trenerem sekcji został Tadeusz Wójcik. Pod jego kierownictwem sekcja przez wiele lat osiągała znaczące sukcesy.

¹⁶ H. Ciepłiński, *Historia KS „Wierchy” Rabka...*, s. 12.

Sekcja pływacka, szachowa, tenisa stołowego i siatkówki

Sekcja szachowa, założona w 1954 r., działała w ramach klubu zaledwie 5 lat. Mimo to na samym początku swojego istnienia zdobyła mistrzostwo powiatu i weszła do III ligi, w której ostatecznie uplasowała się na 4. miejscu. Jej rozwiązanie spowodowane było kilkoma czynnikami: reorganizacją w klubie, brakiem funduszy, a także coraz słabszym zainteresowaniem ze strony młodzieży.

Sekcja siatkówki kierowana przez Jerzego Bałę brała udział w rozgrywkach klasy B, ale ostatecznie brak zainteresowania ze strony uczestników, co zapewne wiązało się z brakiem własnego boiska do treningów, spowodował, że sekcja podupadła.

Kolejną podgrupą była sekcja tenisa stołowego powołana w 1961 r., która już w dwa lata później przeszła pod skrzydła Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej „Carlina”.

Najprężniej działała sekcja pływacka założona w 1951 r. pod kierownictwem Henryka Cieplińskiego i czujnym okiem profesjonalnych trenerów: Anny i Tadeusza Klimińskich. Zawodnicy, pomimo braku krytej pływalni w Rabce, co uniemożliwiało treningi (basen otwarty czynny był przeciętnie przez dwa miesiące w roku), przez cały rok i bez względu na pogodę startowali w licznych zawodach i konkurencjach pływackich. Brali udział w mistrzostwach wojewódzkich, zawodach ZS „Unia” zdo-



Basen kąpielowy 1960r.

bywając I miejsce i proporzec, a także w Spartakiadzie Służby Zdrowia w Lublińcu. Jednocześnie członkowie sekcji współorganizowali zawody pływackie wraz z kadrą z Zakopanego oraz okręgu krakowskiego. Reprezentowali także województwo krakowskie na zawodach w Bydgoszczy i Warszawie.

LUDZIE KLUBU

Jan Bieś (1899-1967) – przedwojenny sportowiec i budowniczy skoczni narciarskiej, współzałożyciel klubu, narciarz.

Jan Bala (1926-1982) – sportowiec, działacz klubu, właściciel basenu pływackiego, który przejął po swoim ojcu Franciszku.

Henryk Ciepliński (1915-1990) - jeden z założycieli klubu, piłkarz, wieloletni kapitan drużyny piłki nożnej, organizator sekcji lekkoatletycznej, sekretarz klubu w latach 1953-1980, autor kroniki przedstawiającej najstarsze dzieje klubu.

Adam Jurczakiewicz (ur. 1931) – piłkarz i narciarz, trener szkółki narciarskiej przy KS „Wierchy” w latach 1955-1996, prezes klubu w latach 1993-96, prezes honorowy od 1997 roku.

Władysław Kapłon „Szefek” (1917-1987) – współzałożyciel klubu, trener piłki nożnej oraz wiceprezes klubu ds. sportowych przez wiele lat, kierownik sekcji narciarskiej.

Anna i Tadeusz Klimińscy – trenerzy sekcji pływackiej.

Antoni Matera (1914-1964) – prezes klubu w latach 1952-56, patron rabczańskiego stadionu, dobry organizator i manager klubu.

Stefan Luberda - założyciel sekcji lekkoatletycznej, trener narciarski.

Jan Mlekodaj (1922-2008) – współzałożyciel klubu, zawodnik i długoletni działacz oraz inicjator i budowniczy stadionu, piłkarz, skarbnik klubu.

Władysław Mlekodaj (ur. 1930) – piłkarz i narciarz, trener narciarzy biegowych w latach 1953-1972.

Czesław Rypel (1918-1994) – wybitny sportowiec, lekkoatleta, piłkarz i narciarz, członek klubu od pierwszych lat jego działania.

Jan Wieczorkowski (1917-1991) – pierwszy prezes klubu w latach 1946-1948, narciarz, pływak, tenisista, sędzia narciarski, projektant powojennej skoczni narciarskiej, którą na własny koszt wyposażył w oświetlenie.



*Antoni Matera, prezes klubu
w latach 1952-56
(archiwum J. Cieplińskiego)*

Jan Wiczorkowski

Moja przygoda z „Wierchami”



Helena i Jan Wiczorkowscy z dziećmi: Janem i Maciejem (archiwum J. Wiczorkowskiego)

willi „Korona” stolarz Janusz, zwany „Bułą”, miał swój warsztat, a ponieważ był wielkim entuzjastą nart, potrafił zmontować krawędzie, na które dawniej mówiliśmy „kanty”. Operację przykręcania obserwowałem z ciekawością i dbałością o własny sprzęt bo do pana Janusza miałem umiarkowane zaufanie. Nart nie spuściłem z oka nawet na sekundę

Zarówno mój dziadek, jak i ojciec byli narciarzami. Do dziś w rodzinnym albumie przechowuję ich zimowe fotografie na nartach. Jest to mało znany fakt nawet wśród naszych bliskich przyjaciół. Ojciec był związany z rabczańskim klubem sportowym od początku jego istnienia. Świetnie pływał, dobrze jeździł na nartach i grał w tenisa. W latach swojej młodości te rozrywki miał w zasięgu ręki, kochał góry, uwielbiał wodę i tenis.

Pierwsze narty ojciec zamówił dla mnie i dla brata około 1952 roku u rabczańskiego stolarza, którego nazwiska już dzisiaj nie pamiętam. Były zrobione z jasnego drzewa (pewnie jesionowego), bez metalowych krawędzi i miały paskowe wiązania z małą sprężyną zapinaną na obcasie buta.

Pamiętam prezent od św. Mikołaja, była to mała paczuszka z kompletem krawędzi i maleńkich śrubek do ich przykręcania w środku. W nieistniejącej już dzisiaj

i dumnie odniosłem je do domu całe, bez uszkodzeń, z błyszczącymi kantami. Byłem ciekaw, jak spiszą się na śniegu.

Na takim sprzęcie, wraz z bratem Maćkiem, rozpoczęliśmy przygodę z nartami pod okiem ojca. Stoki mieliśmy pod nosem. Pierwsze kroki stawialiśmy w Parku Zdrojowym w okolicach restauracji „Pod Gwiazdą”. Później zjeżdżaliśmy z górki nieopodal cukierni Stachiewicza. Była to trasa narciarska usytuowana pomiędzy willą „Pod Aniołem”, „Stachiewiczem” i pijalnią wód mineralnych (dzisiejsza Kawiarnia Zdrojowa). W czasach mojego dzieciństwa mieszkalem z rodzicami i bratem w nieistniejącej już willi „Pod Matką Boską”, usytuowanej w bezpośrednim sąsiedztwie tego stoku.

Nieco później, gdy nasze umiejętności narciarskie się zwiększyły, ruszyliśmy w kierunku Kaplicy Zdrojowej, gdzie stała skocznia narciarska. Rozbieg tej skoczni był sztuczny (jak to wtedy nazywaliśmy), czyli wybudowany z drewna. Gdy nabraliśmy więcej umiejętności zjeżdżaliśmy ze skoczni tłumiąc lot, by jak najszybciej poczuć twardy grunt pod nartami. Był to trening zwany duszenia muld. Obok skoczni, na polanie za kaplicą mieliśmy do dyspozycji stok, na którym odbywały się prawie wszystkie zimowe zawody dla młodzieży.

W tym samym czasie grupa działaczy stworzyła sekcję narciarską rabczańskiego klubu sportowego. W ramach sekcji klub powołał szkółkę. Szkolenie prowadzili: Władysław Mlekodaj i Adam Jurczakiewicz, a czasem pomagali im starsi narciarze. Poznałem wtedy Tadeusza Luberdę oraz jego braci Krzysztofa i Stefana,



*Bracia Jan i Maciej Wieczorkowscy na nartach
koło Kaplicy Zdrojowej
(archiwum J. Wieczorkowskiego)*

Zbigniewa Makułę, Macieja Augustyńskiego, Antoniego Trybowskiego i wielu innych rabczańskich narciarzy. W pierwszych treningach i zawodach uczestniczyli: Maria Augustyńska, Marzena Krogulska, Barbara Śmietana, Bożena Matera, Jacek Rusin, Mieczysław Kossek, Jan Pyka, Jan Ripper, Maciej Przybyła, Maciej Wieczorkowski, Marek Omiecki i inni. W mojej pamięci pozostali tacy działacze klubu, jak: Władysław Kapłon, Henryk Ciepłiński, Witold Szaras, Władysław Czyszczoń, Jan Mlekodaj Antoni Matera i Antoni Leszczyński. Do tego grona należeli także moi rodzice. Ojciec i mama byli bardzo zaangażowani w sprawę klubu, w ramach którego pełnili głównie funkcje sędziowskie

(byli sędziami Polskiego Związku Narciarskiego z wszystkimi wymaganymi wówczas uprawnieniami), do dziś przed oczami mam ich złote odznaki sędziowskie PZN.

O własnych wyczynach sportowych trudno pisać. Skala lokalnego sportu jest ważna a nawet bardzo ważna, ale po latach pamięta się tylko tych najwybitniejszych zawodników, których wśród moich rówieśników nie brakowało. Wspomnę więc choćby Andrzeja Bachledę-Curusia o pseudonimie „Ałus” i Jerzego Woyna Orlewicza zwanego „Piratem”. Obydwaj są do dzisiaj moimi przyjaciółmi. W czasach naszej młodości dyplomy, puchary i nagrody miały dla nas wielkie znaczenie. Dyplom z rzymską „I” był wielką chwałą i powodem do dumy. Inne honorowane dyplomami miejsca także.

Każde zawody, nawet szkolne, były traktowane poważnie i wywoływały u zawodników wielką treść. Powszechnym zwyczajem było ich uroczyste otwarcie. Gdziekolwiek to miało miejsce, zawsze było ważne, świetnie zorganizowane i z wielką pompą. Pamiętam przemarsze ekip sportowych przy dźwięku orkiestry. Była to okazja, by poznać konkurentów, zobaczyć starszych mistrzów i poczuć atmosferę zawodów. Podobnie odbywały się zakończenia z rozdaniem dyplomów i nagród, czasem nawet pucharów, nie było zwyczaju honorowania zwycięzców medalami, które były zarezerwowane dla olimpijczyków. Moje dyplomy leżą schowane i zakurzone w domowym archiwum, puchary wraz z upływającym czasem znikają. Do dzisiaj zachował się tylko kryształ z zawodów studenckich, ale już zawieszka ze stosownym napisem, miejscem i datą gdzieś przepadła.

W tych latach ważna część życia sportowego toczyła się w szkole. Stara „Jedynka na Łęgach” to dla mnie przede wszystkim fantastyczni ludzie i wspaniała atmosfera, którą tworzyli nauczyciele - mój wychowawca Władysław Gawron z Chabówki i pani Czesława Knapczyk od wychowania fizycznego. Oboje byli entuzjastami sportu. Lekcje wychowania fizycznego w zimie odbywały się na nartach! Biegaliśmy w okolicach Ponieczanki albo wędrowaliśmy na „Pasiękę”, by w ciągu 45 minut choć kilka razy zjechać z góry. Chłopcy z Nowego Świata jeździli do szkoły na nartach. Od kina, Czarną Aleją do „Malewskiego”, później do basenu i już byli na miejscu. Często przed godziną ósmą rano odbywały się wyścigi, kto pierwszy tam dojedzie. Czasem koledzy albo dziewczyny stawiali nam na tyłach nart i w ten sposób wspólnie docieraliśmy szybko do szkoły. Nasze piękne deski chowaliśmy w szopie obok stołówki, gdzie czekały, aż zakończymy lekcje. Można śmiało powiedzieć, że szkoła i klub w zimie to było jedno. Moje narty zaopatrzone były w wiązania tzw. kandahary, czyli linki zapinane na krawędzi obcasa i napinane przez dźwignię umieszczoną przed butem. W zależności jak zamontowane były prowadnice linek oraz ile ich było, osiągało się efekt większej lub mniejszej sztywności wiązania, czyli większego lub mniejszego wychylenia pięty buta do przodu. Te wiązania, w tamtych i w późniejszych latach, stosowane były w nartach skokowych. Technika slalomowa wymagała jednak sztywnego połączenia narty z butem (jak w obecnych czasach) i tak dostaliśmy uwielbiane przez nas wszystkich wiązania langrimeny. Skonstruowano je

pozostawiając z kandaharów tylko tzw. baki, czyli szczęki mocujące przód buta i boczki, czyli elementy prowadzące linkę. Do „boczków” mocowało się stalowe kółeczka, przez które należało przewlec paski (długości ok. 1,5 metra). Paskami owijało się but, by połączyć go nieruchomo w jedną całość z nartą. Ulubionym sposobem zapinania pasków były dwa krzyże, z przodu i z tyłu buta. Kolejne narty, jakich używaliśmy, to tzw. plastiki. Narty drewniane, z krawędziami stalowymi, pokryte od spodu sztucznym tworzywem. Pierwsze ślizgi nart, jakie pamiętam u starszych kolegów, miały kolor bladnoróżowy. Moje ulubione plastiki to slalomowe Zubki produkowane w Zakopanem. Używałem ich przez kilka dobrych lat, by wreszcie doczekać się nart metalowych. Do tego typu nart stosowało się tak zwane wiązania bezpiecznikowe. Pierwsze z nich miały obrotowy przód w kształcie trójkąta. But narciarski posiadał dwa nacięcia, które wsuwało się w ten trójkąt. Tył buta mocowany był langrimenem, tak że obracał się na nartcie, jeśli uderzenie wybiło przód buta z trójkąta. Po wypięciu narta kręciła się na bucie, ale nie odpadała. Później zastosowano na tylnej części buta mocną sprężynę i to powodowało, że narta odpadała od buta, co było bardziej bezpieczne dla narciarza zmniejszając ryzyko złamań i skręceń podczas upadku. Takie rozwiązanie umożliwiało uwolnionej nartcie jej niekontrolowany, niebezpieczny „żywot” na stoku. Warto wspomnieć, że obowiązywała wówczas zasada, iż długość narty powinna być równa wysokości jej właściciela, stojącego z wyciągniętą w górę ręką. Teraz stosując tę zasadę musiałbym używać nart o długości 210-215 cm. Krótkie narty zostały wprowadzone w latach 70.



*Lekcja wychowania fizycznego na nartach z nauczycielką Cz. Knapczyk,
Królówka 1960 r. (archiwum J. Wieczorkowskiego)*

O kijkach powiem tylko tyle, że zaczynałem od kijków bambusowych, ze skórzanym paskiem na rękę i stalowym bolcem na końcu. Czasy późniejsze to kijki metalowe, niklowane, z uchwytem skórzanym. Obowiązywała długość kijka do pachy.

Moimi trenerami byli przede wszystkim Adam Jurczakiewicz zwany „Wujkiem” oraz Władysław Mlekodaj. Obydwaj do dzisiaj są moimi przyjaciółmi. Pamiętam, że w naszej szkółce szybko nastąpił podział na biegaczy, zjazdowców i skoczków. Treningiem zjazdowym zajmował się Adam, więc to on był moim głównym trenerem i nauczycielem.



*Zawodnicy KS „Wierchy” podczas zawodów narciarskich
(archiwum J. Wieczorkowskiego)*

Już po pierwszych treningach okazało się, że to odpowiedni człowiek, chwile spędzone z Nim są niezapomniane. Adam zajmował się nie tylko zjazdowcami, ale równocześnie był trenerem skoczków oraz czynnym zawodnikiem klubu. O ile pamiętam, to do niego należał rekord, usytuowanej pod kaplicą, skoczni w Rabce. Skakał w sobie właściwym słynnym stylu „łamanym”. Brał też co roku udział w karkołomnych zawodach (dzisiaj nazwalibyśmy je narciarstwem ekstremalnym), tzw. Zjeździe z Lubonia Wielkiego do Zarytego, odnosząc w nim sukcesy. Był także piłkarzem „Wierchów” oraz jednym z pierwszych ratowników GOPR-u w Rabce.

Adam był mistrzem w wymyślaniu treningu imitacyjnego możliwego do wykonania w lecie, czyli ćwiczeń, które były niezwykle ważne w przygotowaniach do sezonu. Wtedy nikt jeszcze nie przewidywał, że za kilka lat sztuczny śnieg przedłuży ten sezon więcej niż dwukrotnie. Pamiętam jak wymyślił urządzenie, które składało się z dwóch desek o długości ok. 2,5 m podwieszonych na gumowych pasach do sufitu w naszym klubie

w willi „Pod św. Józefem”. Deski te imitowały narty. Podwieszane na elastycznej gumie służyły do symulowania zjazdów. Za pomocą kolegów trzymających deski stawałem na nich w odpowiedniej pozycji zjazdowej i chybocząc starałem się utrzymywać tę pozycję jak najdłużej. Adam często pociągał za liny mocujące deski, co dawało efekt jazdy po muldach. Kilka minut takiej symulacji było niezwykle męczących, ale dawało widoczne efekty na stoku, gdzie poczucie równowagi jest bardzo ważne. W ten sposób każdy z nas był inspirowany przez „Wujka” do uprawiania sportu przez cały rok.

Jako że Klub Sportowy „Wierchy” prowadził przeróżne sekcje, to część narciarzy wybierała treningi w innych dyscyplinach sportu, traktując je jako uzupełniające przygotowanie do sezonu zimowego. Ja wybrałem pływanie.

Latem bez względu na pogodę treningi pływackie odbywały się na słynnym przedwojennym basenie Franciszka Bali. Pamiętam pana Franciszka jako postawnego lekko utykającego i niesłuchanie surowego w przestrzeganiu swojego własnego regulaminu na basenie, na którym spędzał wiele godzin, od rana do późnego popołudnia. W kolejnych latach zastąpił go w tym obowiązku jego syn Jan Bala, znany w tym czasie bramkarz piłkarski. Wśród anegdot dotyczących basenu często pojawia się sprawa termometru do mierzenia temperatury wody. Termometr ten wyposażony był nie w skalę Celsjusza, lecz w „skalę Jana Bali”, która wskazywała często wyższą temperaturę wody niż ta, która była w istocie, po to by zachęcić ludzi do kąpieli.

Trenerami sekcji pływackiej byli Tadeusz i Hanna Klimińscy, kierownikiem sekcji sekretarz klubu Henryk Ciepłiński. Pływanie trenowałem od roku 1959, gdy Tadeusz Klimiński z żoną Hanią powrócili do Rabki po zakończeniu studiów. To pod ich okiem nabieraliśmy wprawy i doskonaliliśmy trudne do opanowania style - kraul, żabka, delfin, grzbiet (dzisiaj kraul to styl dowolny, żabka to styl klasyczny). Spędzając godziny w zimnej wodzie i przepływając kilometry, grzaliśmy się zakładając frotowe szlafroki i nigdy nie mieliśmy dość. Często dla rozrywki graliśmy w piłkę wodną (waterpolo) oddzielając płytką część basenu, by grać na głębokiej wodzie, tak by nie móc stopami sięgnąć dna. Klub zaopatrywał nas w liny pływackie oraz deski do treningu, piłki i bramki do waterpolo. Z czasem okazało się, że dysponowaliśmy całkiem niezłą drużyną. Zawody pływackie stanowiły sprawdzian naszych możliwości i były bardzo emocjonujące. Odbywały się raz lub dwa razy w sezonie. Rywalizowaliśmy z zawodnikami z sąsiednich miejscowości. Na „naszym” basenie nie mieliśmy konkurentów, ale pływaliśmy też na basenie w Zakopanem, w zimnej wodzie na Jaszczurówce, w Andrychowie, Krakowie, Warszawie. Czym dalej od Rabki, tym konkurencja była mocniejsza. Naszymi zawodnikami byli starsi: Olga Bieś, Bolesław Pietruszka i młodszy: Bożena Matera, Janina Kapłon, Halina Zacharczuk, Małgorzata Janik, Tomasz Pieczonka, Andrzej Maik, Andrzej Joczys, Andrzej Wyka, Artur Ilgner i wielu innych. Znaną „basenową” postacią był Bolesław Pietruszka, dobry pływak i ratownik, nauczyciel wyszukanych i sprytnych zagrań piłką wodną. Bolka pamiętamy bardziej z jego służby w GOPR-ze niż

z ratownictwa wodnego. Był niezastąpionym kompanem. Właściwie dwa miesiące w lecie spędzaliśmy na basenie nie mając czasu na inne dyscypliny sportu, czasem graliśmy w tenisa na nowo wybudowanych kortach ceglanych - ziemnych w parku oraz na starym boisku w piłkę nożną w drużynie trampkarzy i rezerwie A-klasy. Brałem również udział w treningach i zawodach lekkoatletycznych pod okiem trenera Tadeusza Wójcika. Uczestniczyłem w pracach klubowych będąc jakiś czas w zarządzie klubu.

Dzisiaj z perspektywy czasu muszę przyznać, że praca moich trenerów nie poszła na marne. W dalszym ciągu z wielką przyjemnością jeżdżę na nartach i pływam. Te pasje przekazałem swoim dzieciom, Jankowi i Alicji, które są świetnymi narciarzami.

Skawiański spór o dziesięcinę

O tym, że 264 lat temu znaczna część wiernych parafii w Rabce wskutek niesubordynacji ściągnęła na siebie klątwę, mało kto dziś pamięta. Niniejszy artykuł ma za zadanie przybliżyć arkana wydarzeń, które sprawiły, że trzy lata XVIII stulecia upłynęły nader ponuro we wsi Skawa, obciążonej sankcjami wypływającymi z ówczesnego kościelnego prawa. Interdyktową opowieść zacząć trzeba jednak od uposażeniowych przyziemności, aby następnie tym snadniej uchwycić istotę sporu. Przeto Czytelnik zapoznany zostanie wpieryw z powinnościami parafian związanymi z zapewnieniem plebanowi utrzymania, następnie zaś zgłębi niełatwą historię składającą się na duchowe i prawne perypetie ówczesnych mieszkańców Skawy.

Z czego żył pleban?

Źródłem utrzymania duchowieństwa parafialnego już od średniowiecza były głównie płody rolne z ziemi należącej do parafii oraz przydzielane przez biskupa dziesięciny, jak również zwyczajowe datki od chrztów, ślubów i pogrzebów nazywane *iura stola*¹. Składały się nań opłaty za posługi duchowne, przy których używano stuły. Za całość opieki duszpasterskiej kapłani otrzymywali ponadto od wiernych tak zwane meszne lub kolędę². Spektrum kolędowych podarków zawierało sery, osetki masła, jaja, len, suszone grzyby, orzechy, gęsi i kokosze. Od tych – chciałoby się rzec – fakultatywno-obligatoryjnych trybutów drobiowych zrodziło się w łacinie kościelnej osobliwe określenie kolędy – *columbatio*, powstałe od rzeczownika *columbus* oznaczającego gołębia³. Urodzeni w pierwszej połowie ubiegłego stulecia z lamusa wspomnień wyciągnąć może zdołają obraz wizyty kolędowej na wsi, w czasie której księdzu towarzyszył „torbiorz” noszący worek na zboże. Po drugiej wojnie światowej, wraz z zaniechaniem datków kolędowych w naturze, instytucja ta przeszła do historii⁴.

Wspomniane meszne było z kolei rodzajem podatku kościelnego uiszczanego w zbożu lub w gotówce i stanowiło dochód księdza za odprawianie mszy świętej.

¹ *lac. iura stolae* - prawa stuły.

² J. Kracik, *Powszechny, apostołski, w historię wpisany. Z wędrówek po kościelnej przeszłości*, Kraków 2005, s. 134.

³ Cf. articulum: *Columbatio* [w:] J. Sondel, *Słownik łacińsko-polski dla prawników i historyków*, Kraków 2006, s. 171.

⁴ B. Ogrodowska, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce*, Warszawa 2001, s. 83-84.

Przeważnie meszne było daniną ziarnową, czyli korcową, składaną na rzecz parafii niezależnie od zwykłej dziesięciny. Płacenie dziesięcin i mesznego ochoczo i bez omieszkiwania stanowiło jedną z zasadniczych cech wzorca idealnego rolnika, który propagowano z ambony. Na nieposłusznych czekała kara Boska w postaci głodu lub niedostatku, co (przez wzgląd na ponadnaturalne sankcje) generowało w chłopskiej mentalności przesądne podchodzenie do kwestii finansowych związanych z Kościołem⁵.

Niezależnie od ciężarów wynikających z faktu przynależności do wspólnoty lokalnej, ponoszono również inne, bardziej spersonalizowane koszty życia religijnego. Istniało bowiem przekonanie, że do kościoła nie należy iść z pustymi rękami, toteż składano ofiary w naturze. Już archiprezbiter (proboszcz) mariacki Hieronim Powodowski (1543-1613) piętnował występujące w wiejskich kościołach porządki, kiedy to „pod samy czas poświęcenia ciała Pańskiego [ołtarz] bywa obciążony nie tylko kwartnikami, pieniędzami, ale też chlebami, kołaczami, jajcy, serami i wszystką jakmiarzą oborą baranków, prosiąt, kozłat, kur, gęsi i inszego bydła, co z wielkim a nieporządnym naciskaniem i tumultem znoszą, i tamże u ołtarza zostawują”⁶. Chłopi składali w darze przede wszystkim proste artykuły spożywcze, niekiedy zaś воск lub świece. Żywność tę sprzedawano, przeznaczając dochody na utrzymanie kościoła, zaś światło wypalano w świątyni.

Hojność rabczańskich parafian

Bogatsi fundowali kielichy mszalne i inne paramenty liturgiczne lub elementy wystroju wnętrza domu Bożego. Na przykład w roku 1730 Maciej Kozak ze Skawy „sprawił kielich z patyną srebrny intus [wewnątrz] pozłocisty za który dał zł. 210”⁷. Z kolei dwa lata później niejaki Skwarek ze Skawy sprawił „firanki przed Naj.[świętszą] Pannę”⁸. Oprócz drogich i stosunkowo wystawnych donacji, świadczących publicznie o szczodrości darczyńcy, w inwentarzach kościoła w Rabce znaleźć można dary o niewielkiej wartości materialnej, ale o dużym znaczeniu emocjonalnym. Tak oto kobiety wiejskie masowo ofiarowywały na potrzeby świątyni drobne tekstylia, stanowiące próbę nawiązania osobistego kontaktu ze sferą *sacrum*. Przekazane rańtuchy, czyli kobiece narzuty na głowę i ramiona długości czterech łokci, używano jako spodnie obrusy ołtarzowe⁹. Do grupy osobistych darów należała też prosta biżuteria, przede wszystkim korale, sznury paciorków. Taki dar przekazała w roku 1866 Anna Stachura ze Skawy, co kronikarz relacjonuje w sposób następujący: „kobieta słabowita ofiarowała do Matki Boskiej obrazu drobne koraliki 5 nitek, razem wszystkich koralików jest na liczbę 249 (...) za co niech ją Matka Boska na zdrowiu pocieszy”¹⁰. Uzdrawieni z choroby w dowód wdzięczności przynosili do kościoła wota, formowane zwykle na kształt uleczonych

⁵ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie. Religijność chłopów małopolskich od połowy XVI do końca XVIII wieku*, Warszawa 2001, s. 104-105.

⁶ H. Powodowski, *Liturgia, abo opisanie Mszy świętej i obrzędów jej*, Kraków 1604, s. 35.

⁷ Archiwum Parafii św. M. Magdaleny w Rabce-Zdroju (APR), s. 19.

⁸ Archiwum Parafii św. M. Magdaleny..., s. 20.

⁹ F. Kotula, *Rańtuchy. Elementy kultury ludowej w wyposażeniu kościołów*, „Nasza Przeszłość” 10:1959, s. 377-390.

¹⁰ APR, *Liber Memorabilium...*, s. 41.

narządów, takich jak oczy, ręce, nogi. Wykonane były one z wosku, rzadko ze srebra lub złota. Te z metali szlachejnych służyły wyłącznie jako ozdoby ołtarzy lub obrazów, natomiast masowe wota woskowe przetapiane były na świece na potrzeby świątyni¹¹. Z Kroniki Parafialnej Rabki dowiadujemy się, że gdy w roku 1671 pojawiła się na wizerunku Matki Bożej srebrna korona, w ołtarzu znajdowało się już dziewięć wotów ofiarowanych przez miejscowych dziedziców będących kolatorami (fundatorami) kościoła¹². Z czasem dawne wota ustępowały miejsca nowym. I tak w roku 1758 ks. Józef Kłowski oczyścił trzy boczne ołtarze ze zbędnych precjozów, przeznaczając 15 wotów na nową monstrancję¹³.

Niekiedy chłopci legowali w testamentach Kościołowi swoją ziemię. Zamożniejsi tworzyli również fundacje mszalne lub fundacje wypominkowe. Do takich legatów testamentowych na rzecz kościoła parafialnego w Rabce należą fundacje mieszkanek Skawy: Reginy Bośniakowej (rok 1876) i Magdaleny Pniaczek (rok 1883)¹⁴. Niektórzy testatorzy zapisywali parafii w darze owce, konie, ule z pszczołami. Najbardziej powszechne jednak było obdarowywanie Kościoła krowami. Owe „krowy kościelne” stawały się trwałym majątkiem i źródłem dochodów kościoła parafialnego. Stanowiąc stado o stałym, ściśle określonym pogłowiu, rozproszone były po zagrodach chłopskich, natomiast użytkownicy krów płacili od nich proboszczowi korzystny czynsz roczny. W niektórych wsiach „krowy żelazne” stanowiły nawet 25-30% ogółu krów hodowanych przez chłopów¹⁵.

Interdyktowe narzędzie kary

Uchwały wszystkich synodów diecezjalnych Polski przedrozbiorowej stały na stanowisku, że duchowni powinni pełnić posługi religijne na rzecz wiernych bezpłatnie, jako że obowiązkiem ich jest „darmo szafować tym, co darmo otrzymali” (por. Mt 10, 8b). Dopuszczano jednak przyjmowanie przez księży dobrowolnych datków od wiernych. Zwyczaj ów uważano za chwalebny i godny podtrzymywania, jak się niejednokrotnie okazało nawet za pomocą kar kościelnych wobec uchylających się parafian¹⁶.

Na synodzie plockim w 1529 roku biskup Andrzej Krzycki (1482-1537) udzielił proboszczom władzy ekskomunikowania ociągających się z płaceniem powinności na rzecz parafii. Ten sposób wymuszania świadczeń stosowany był od wieków przez sądy diecezjalne i nie ustał po reformacji. Wiele tysięcy polskich chłopów za zatrzymane snopki na wniosek proboszcza lub prebendarza¹⁷ zostało wyklętych¹⁸.

¹¹ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 103-104.

¹² APR, *Liber Memorabilium...*, s. 17.

¹³ APR, *Liber Memorabilium...*, s. 22.

¹⁴ Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie (AKMK), AF 171, *Testament Reginy Bośniakowej ze Skawy, Fundacja śp. Magdaleny Pniaczek ze Skawy*.

¹⁵ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 101-102.

¹⁶ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 107.

¹⁷ prebendarz (łac. *praebendarius*) - duchowny czerpiący dochody z prebendy, czyli uposażenia niepołączonego zasadniczo ze sprawowaniem obowiązków duszpasterskich, np. kanonik kapituły katedralnej.

¹⁸ J. Kracik, *Powszechny, apostołski...*, s. 135-136.

Gromada w sporze z plebanem mogła zostać obłożona interdyktem¹⁹. Do tego środka uciekł się na przykład pleban Woli Żarczyckiej w konflikcie o meszne z gromadami Jeżowe i Pysznicza na początku XVIII wieku. Jeżowianie pozostawali w cenzurze kościelnej przez co najmniej dziewięć lat²⁰. Wyłączenie ze wspólnoty przystępujących do sakramentów świętych łączyło się z sugestywnym spektaklem, na który składały się elementy takie jak bicie w dzwony i strącenie na kościelną posadzkę zgaszonej świecy. Teatralizacja towarzysząca ekskomunice miała jasny cel dydaktyczny: przerazić negatywnego bohatera ceremonii i skutecznie odstręczyć jego ewentualnych naśladowców. Jednak pomimo niezwyklej surowości kary, jaka mogła spaść na chłopów za niewywiązywanie się z powinności na rzecz kościoła, nierzadko nie powstrzymywała ona nieposłusznych. Zarówno ci, którzy ciągnęli zatargi o meszne, jak i już wyklęci, częstokroć nie okazywali strachu przed obiecywaną im Boską interwencją. Tendencja taka wywołana została być może przekonaniem, że Boska sprawiedliwość niekoniecznie jest zbieżna z plebańską, zaś ekskomunika rzucona bezprawnie nie posiada nadprzyrodzonej sankcji²¹. W „Rozmowach polskich łacińskim językiem przeplatanych” Wita Korczewskiego (poł. XVI w.) dziedzic radzi plebanowi w wypadku niepłacenia powinności przez chłopów:

*Będzielić co dłużen kmięc,
Do mnie się w tej rzeczy uciec.
Nie do pozwu, ni do klątwy,
Bo to na kmięcia strach wątły;
Rychlejci się kłody lęknie,
Gdy go w niej posadzą pięknie²².*

Zamiast roztaczać przed nieposłusznymi parafianami wizję grożącej im kary Boskiej, skorzystać można było ze środków przynaglających o znacznie mniej duchowym charakterze. Do takich wszak zaliczyć trzeba przymusowy pobyt w turmie, czyli wieży służącej za areszt, jaką na ogół dysponowały ówczesne dwory, bądź też wystawianie w przykościelnej kunie na wżgardę uczestników świątecznych nabożeństw.

„Gniewu dłoń dosięże wszędzie...”

Z inwentarza z 1726 roku dowiadujemy się, że przy głównej bramie rabczańskiego dworu hrabiów Wielopolskich herbu Strykoń do poręczy przystawała żelazna kuna z dwiema zasuwami i wrzeciędzem. Po lewej stronie wrót znajdowała się natomiast turma „dla sadzania ludzi nieposłusznych”²³. Przetrzymanywanego tam delikwenta umieszczano za drewnianymi drzwiami zamykanymi na dwa skoble na zawiasach i hakach z żelaznym wrzeciędzem. Czy dworska turma służyła równie dobrze wymierzaniu plebańskiej sprawiedliwości, tego dociec niepodobna.

¹⁹ łac. *interdictum* – kara kościelna, wskutek której ukarani pozostają wprawdzie w społeczności kościelnej, lecz nie mogą przyjmować sakramentów i uczestniczyć w kulcie.

²⁰ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 106.

²¹ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 107.

²² W. Korczewski, *Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane*, Kraków 1889, s. 82.

²³ Biblioteka PAN/PAU w Krakowie, *Opisanie dworu rabskiego y budynków do niego należących d. 6-ta Januarii anno dni 1726-to*, rkps 648, k. 1.

Parafia w Rabce liczyła w połowie XVIII wieku 8 wiosek zamieszkiwanych w sumie przez 3000 parafian²⁴. Kiedy mieszkańcy wsi Skawa, oddalonej od kościoła parafialnego o 5 kilometrów, odmówili płacenia mesznego – zwyczajowej daniny na rzecz parafii, którą ich ojcowie oddawali od prawie 200 lat – zostali przez swego duszpasterza napomniani, a kiedy to nie pomogło i dalej trwali w uporze, w sprawę włączyły się wyższe szczeble kościelnej hierarchii. Skawa była bowiem najliczniejszą z wsi wchodzących w skład rabczańskiej parafii, stąd uszczuplenie dochodów z beneficjum²⁵ było znaczne. Proboszcz Rabki w latach 1743-1754, ks. Józef Kłosowski, tocząc spór sądowy z dziedzicem Skawy, Janem Stadnickim, wygrał w roku 1749 proces w konsystorzu krakowskim²⁶. Wieś nie miała jednak najmniejszej chęci wydać zasądanego mesznego. W tym stanie rzeczy skawianie „wprawili całą wieś w Interdic, czyli Kłatwę iako nieposłusznych”²⁷. Interdykt nałożony przez władze kościelne na wieś Skawa stanowił rodzaj zakazu sprawowania obrzędów religijnych na terenie miejscowości. Tego rodzaju cenzura kościelna zawieszala prawo do przyjmowania sakramentów, nie wykluczając jednak ze społeczności Kościoła katolickiego. Można powiedzieć, że była to kara kościelna mniejszego „kalibru” niż ekskomunika. W prawie Kościołów Wschodnich interdykt nazywany bywa „ekskomuniką mniejszą”²⁸. Jest wysoce prawdopodobne, że delikwentowi obłożonemu cenzurą niuans ten nie sprawiał większej różnicy.

„Nieposłuszne Kościołowi dziatki”²⁹ trwały w swojej niekarności przez trzy lata, dopóty nie doszło do komplanacji³⁰, na mocy której zniesiono nałożone sankcje i ustalono, że gromada rokrocznie na św. Michała Archaniola (29 września) oddawać będzie sumę 100 tynfów górskich, dziedzic zaś po jednej ćwierci krakowskiej owsa i furę siana. Na większe ustępstwa chłopci liczyć nie mogli. Ugodę zawarto w posiadłości Jana Stadnickiego w Wysokiej koło Jordanowa 18 października 1752 roku³¹.

Na drodze do pojednania

Wydawać by się mogło, że sprawa na tym się zakończyła, a kroki do zmniejszenia powinności względem parafii podjęte przez mieszkańców Skawy, nie na wiele się zdały. Nowe światło zabłysło jednak z chwilą, kiedy w roku 1765 prezentę³² na rabczańskie probostwo otrzymał Józef Alojzy Putanowicz (1737-1788), wybitna postać polskiego oświecenia. Ten dwudziestoosmioletni kapłan, wyświęcony trzy lata wcześniej w Rzymie,

²⁴ AKMK, AV 52, k. 31-33.

²⁵ beneficjum (łac. *beneficium* – dobrodziejstwo) – urząd kościelny ustanowiony przez prawowitą władzę, łączący się z prawem czerpania dochodów i określonymi obowiązkami.

²⁶ APR, T. 13. *Liber Copulatorum ab anno 1743 ad anno 1775*.

²⁷ APR, *Liber Memorabilium...*, s. 20.

²⁸ Cf. F. Lempa, *Interdykt* [w:] *Encyklopedia Katolicka*, t. VII, Lublin 1977, s. 375-379.

²⁹ J. Kracik, „*Nieposłuszne Kościołowi dziatki*”. *Reakcja społeczna na papieską redukcję świąt w Polsce w 1775 roku*, „*Analecta Cracoviensia*” 27:1995, s. 501-509.

³⁰ łac. *complanatio* – ugoda.

³¹ APR, *Liber Memorabilium...*, s. 21.

³² prezenta (od łac. *ius praesentationis*) - prawo do przedstawienia kandydata na urząd kościelny lub beneficjum przysługujące osobie świeckiej z tytułu jego uposażenia, dotyczyło również możliwości obsadzenia parafii w drodze wyboru przez kolatora (właściciela wsi) odpowiedniego proboszcza.

był prawdziwym człowiekiem renesansu, piastując kilka niezwykle absorbujących skądinąd funkcji. W jednym czasie był przełożonym kapituły (tzw. prymiceriuszem) kolegiaty nowosądeckiej, członkiem komisji opracowującej kolejny projekt reformy Wydziału Filozoficznego Akademii Krakowskiej, dziekanem Wydziału Filozoficznego krakowskiej wszechnicy, profesorem Kolegium Większego, generalnym wizytatorem kolonii akademickich, rządcą (prowizorem) szkół w Chełmnie i Nowym Sączu, prepozytem Biblioteki Kolegium Większego, kanonikiem kapitulnym kolegiaty św. Anny w Krakowie, kaznodzieją w katedrze na Wawelu i wreszcie cenzorem ksiąg wydawanych w diecezji krakowskiej³³. Ażeby wypełnić wszystkie wyżej wymienione zadania należałoby posiadać dar multilokacji, o którym w przypadku Putanowicza źródła historyczne nie wspominają.



Ks. Józef Alojzy Putanowicz

Nietrudno odpowiedzieć na pytanie, jakie miejsce wśród rozlicznych zajęć zacnego prałata zajmowała powierzona jego pasterskiej pieczy w roku 1765 parafia w Rabce. W księgach metrykalnych z lat 1765-1768³⁴ wikarzy określali swojego chlebodawcę skumulowanymi i nader kwiecistymi superlatywami: przesławny, najznakomitszy, wielce czcigodny pan...³⁵ Gdyby zapisów w księdze zaślubionych nie dokonywał wikary, lecz sami parafianie (którzy wpięć musieliby posiadać tę rzadką skądinąd umiejętność jaką naówczas było pisanie), być może nazwaliby tego prześwietnego pana mianem „rządcy dalece nieobecnego”, gdyż ani jeden związek małżeński zawierany w parafii nie został przez niego osobiście pobłogosławiony. Służbę Bożą spełniał wikariusz, którym w roku 1765 był ks. Sebastian Lesiński, zaś od roku 1766 – ks. Andrzej Preis³⁶. Nazwisko prałata Putanowicza nie pojawia się w kontekście

udzielanych w parafii sakramentów, w szafowaniu którymi wyręczał go pomienieni wikarzy, pełniący *de facto* rolę nie tyle kooperatora plebana, lecz administratora parafii. Samemu zaś ks. Putanowiczowi dochody z rabczańskiego beneficjum najwyraźniej nie wystarczały, skoro wkrótce wystarał się o kolejne, tym razem miejskie probostwo w Lanckoronie koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Niedługo później z rabczańskie fary

³³ J. Szczepaniak, *Spis prałatów i kanoników kapituły katedralnej oraz kapitul kolegiackich diecezji krakowskiej (XVIII w.)*, Kraków 2008, s. 71; W. Baczowska, *Putanowicz Józef Alojzy [w:] Polski Słownik Biograficzny*, t. 29 [red.] E. Rostworowski [i in.], Wrocław 1986, s. 459-462; K. Kowalczyk, *Putanowicz Józef Alojzy [w:] M. Olszowska, E. Trybowska, Słownik biograficzny Rabki*, Kraków-Rabka Zdrój 2012, s. 236.

³⁴ APR, T. 12. *Liber Baptisatorum totius Parochiae ab anno 1741 ad anno 1775*, passim; T. 13. *Liber Mortuorum ab anno 1743 ad anno 1776 et Copulatorum 1743-1776*, passim.

³⁵ *Illustris, Clarissimus, Admodum, Reverendus D[omi]n[u]s*.

³⁶ APR, *Liber Memorabilium...*, s. 4; T. 13. *Liber Mortuorum et Copulatorum 1743-1776*, t. 13, passim; T. 12. *Liber Baptisatorum totius Parochiae 1741-1775*, passim.

zrezygnował. Nim jednak pozostawił zajmowaną dotychczas synekurę³⁷, „resumuie sprawę ze Skawianami”³⁸, ciągnącą się od piętnastu lat, co poczytać mu należy za zasługę.

Mediacyjny dokument

Wiekopomny dokument, zachowany w Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, brzmi następująco: *Za Medyacyą W.[ielmożnego] J[iego]-M[oś]ci Pana Romana z Bogusławic Sierakowskiego Chorążego Vice Starosty y Sędziego Grodzkiego Krakowskiego, iako od Gromady Wsi Skawa rzeczoney W. JMci Pana Szymona ze Żmigroda Stadnickiego Kasztellanica Belskiego Dziedzicznej uproszonego Przyjaciela między W. JMci X[ię]dzem Józefem Aloyzym Putanowiczem Ś.[więtej] T.[eologii] Doktorem, Kantorem Kollegiaty Sandeckiej y Kanonikiem Kollegiaty Ś.[więtej] Anny w Krakowie iako Plebanem Kościoła Rabskiego swoim y swoich Następców Plebanów Rabskich imieniem czyniącym z iedney, a Pracowitemi Andrzejem Kozakiem Woytem, Woyciechem Kowalczykiem, Stanisławem Stachurą, Szczepanem Gryziakiem, Mateuszem Głową, Janem Magierą Przysiężnemi pomienioney Wsi Skawa swojej i całej Gromady rzeczoney Wsi Skawa czyniącemi z drugiey strony o Dziesięcinę z Grontów Kmiecych i Zarębnych wspomnioney Wsi Skawa przez JMci Xiędza Plebana Rabskiego pretendowaney za konsensem wyżey wyrażonego W. JMci Pana Stadnickiego Kasztellanica Belskiego iako dóbr Wysoka, Maleiowa, Naprawa y Skawa Dziedzica stanęła Przyjacielska Kombinacya wiecznemi czasy trwać maiąca w niżej opisany sposób: W. JMci Xiędz Putanowicz maiąc Dekreta na Dziesięcinę Wytyczną snopową do Kościoła Rabskiego z Grontów Chłopskich należącą, pierwszy w Roku 1749 Dnia 4go Lipca z Aktoratu Śp: W. JMci Xiędza Józefa Kłosowskiego przeszłego Plebana Rabskiego otrzymany, Drugi z Aktoratu swojego w Roku przeszłym 1766tym Dnia 26. Miesiąca Października ferowany atoli nie chcąc wchodzić w dalsze Juris litigia, abardziej zważywszy niesposobność y niemożność wydawania Dziesięciny Wytycznej z tey wsi ab sterilitatem glebae testante Statuto Regni, od wspomnionych Dekretów odstepuie, y że więcej vigore eorundem Decretorum Dziesięciny Wytycznej tak on iako y następcy iego pretendować niebędą in perpetuum silentium respectu praedictae Decimae Manipularis sobie y swoim Następcom imponit, z tą iednak Kondycją aby Gromada Skawiańska za umówione y postanowione między sobą, loco Decimae Manipularis ad iudicatae Mieszne, punktualnie bez wszelkiej Kontrowersyi na Dzień y Święto Ś.[więtego] Marcina Biskupa corocznie Kwotę Złotych Górskich Dwieście Dwadzieścia, to iest po Czeskich Sześć w każdy złoty rachuiąc currenti in Regno Moneta wyplacali pod winą podobney altero tanto Summy wyplacenia gdy o nią przypozwani ad Officium Consistoriale w niepunktualności płacenia będą, którą uczynność y wdzięczność wspomniona Gromada zawdzięczaiąc J.Mci Xiędzu Plebanowi punktualnie wspomnioną Kwotę Złotych Górskich Dwieście Dwadzieścia na Dzień naznaczony Ś.[więtego] Marcina corocznie wyplacać przyrzeka y owszem przyprowadzaiąc do skutku wspomnioną Komplanacyą za Kwitem Ręcznym osobnym za Rok przeszły 1766ty wżwyż wyrażoną Kwotę Złotych Górskich*

³⁷ łac. *sine cura (animarum)* znaczy właśnie „bez troski (o dusze)”.

³⁸ APR, T. 13. *Liber Copulatorum ab anno 1743 ad anno 1775.*

Dwieście Dwaściecia wyplaca, którą to Komplanacyę y wszystkie w niej wyrażone Punkta obydwie Strony dotrzymać Wiarą Dobrą przyrzekaia Sobie y dla większej Wagi y Waloru approbacyą oney apud Illustrissimum Officialem G[e]n[er]alem Cracovien. prokurować obliguią się y na to się Rękami własnymi podpisuią w Krakowie Dnia 20go Miesiąca Czerwca Roku Pańskiego 1767mego. Szymon z Żmigroda Stadnicki Kasztelanin Bełzki Dóbr Skawy Dziedzic. A. Jo: Putanowicz Curatus Rabcensis Roman z Bogusławic Sierakowski Chorąży i Sędzia Krakowski przyjaciel do Komplanacyi uproszony Andr.[zej] Kozak Wójt Skawy X Wojciech Kowalczyk przysiężny X Sta:[niślaw] Stachura przysiężny X Mat:[eusz] Głowa przysiężny X Jakób Sawicki Dzierżawca Klucza Wysockiego³⁹.

Między dworskim i plebańskim poddaństwem.

Z przytoczonego wyżej pisma wynika, że z inicjatywy nowego dziedzica dóbr Wysoka, Malejowa, Naprawa i Skawa, Szymona ze Żmigrodu Stadnickiego, za pośrednictwem hrabiego Romana Sierakowskiego, „stanęła przyjacielska kombinacja wiecznymi czasy trwać maiąca”⁴⁰. Światły proboszcz najwyraźniej zdawał sobie sprawę z wielkości wyzysku chłopów pańszczyźnianych, w tym swoich parafian, jak również z niskiej wydajności miejscowych gruntów. Przykładowo każda z gromad dominium Rabka miała oddawać co roku na rzecz dworu od poszczególnych majątności po cielęciu lub jego równowartości. Poddani zobowiązani byli odrabiać pańszczyznę od św. Wojciecha (23 kwietnia) do św. Marcina (11 listopada) po trzy dni, a od św. Marcina do św. Wojciecha po dwa dni w tygodniu. Nadto poszczególni rzemieślnicy świadczyć mieli darmowe usługi na rzecz dworu. Powinnościami knapów było zaopatrywać dziedzica w płótno liane i konopne, szewców – wyrabiać buty do folwarków, garncarzy – wyrabiać garnki, budować i remontować dworskie piece; kowale zobowiązani byli do prowadzenia napraw we dworze⁴¹. Rytm życia osiemnastowiecznego chłopca wyznaczał dwór i plebania. Poddaństwo osobiste i przypisanie do pańskiego gruntu łączyły się z przymusem darmowego obrabiania dworskich pól. W pracy na pańskiej roli poddany spędzał ponad 1/3 roku. Do tego dodać należy, że jeszcze w wieku XVIII zsumowane niedziele i święta, w które chłop miał zjawić się w kościele i powstrzymywać od zarabiania na chleb, zajmowały każdego roku 3,5 miesiąca. Liczne święta powodowały, że dni na niezbędną pracę u siebie brakowało. Z plonów zaś, które udało się wypracować, dziesiątą część wytyczali ludzie proboszcza z przeznaczeniem do plebańskiego gumna⁴².

Kontrowersji pokojowe zakończenie

Podczas rozprawy w sądzie biskupim w Krakowie 20 czerwca 1767 roku skawiańskich chłopów reprezentowało sześciu przysięgłych – wójt Jędrzej Kozak, Wojciech Kowalczyk, Stanisław Stachura, Szczepan Gryziak, Mateusz Głowa i Jan Magiera.

³⁹ AKMK, APA 266, [Porozumienie między Sz. Stadnickim i ks. J. A. Putanowiczem w sprawie dziesięciny wsi Skawa], Kraków 20.06.1767 r., cf. APR, *Liber Memorabilium...*, s. 26-28.

⁴⁰ APR, T. 13. *Liber Copulatorum ab anno 1743 ad anno 1775*.

⁴¹ Biblioteka PAN/PAU w Krakowie, *Opisanie dworu rabskiego y budynków do niego należących d. 6-ta Januarii anno dni 1726-to*, rkps 648, k. 19-21v.

⁴² J. Kracik, *Powszechny, apostolski...*, s. 175-179.

Putanowicz podjął zobowiązanie, że ani on, ani jego następcy nie będą pretendować do wyższych danin od wiernych wsi Skawa. Ci natomiast zobligowali się oddawać rokrocznie na św. Marcina (11 listopada) jako meszne sumę 220 złotych górskich⁴³. Duch Boży, działający w historii, nie uległ jednak skrępowaniu ani przez nieposłuszeństwo wiernych wobec władzy duchownej, ani przez nadmierną łatwość tejże władzy w szafowaniu wobec laikatu kościelnymi cenzurami.



Kościół w Skawie (fot. J. Ceklarsz 2013 r.)

Po upływie półtora wieku potomkowie owych wyklętych za brak podporządkowania się kościelnej hierarchii mieszkańców Skawy, sami wybudują i wyposażą w swojej wiosce kaplicę, poświęconą w roku 1895, uzyskując od Książęco-Biskupiego Konsystorza w Krakowie przywilej sprawowania w niej raz w miesiącu Najświętszej Ofiary⁴⁴. Kilka lat później obszerna kaplica, mogąca pomieścić około 400 osób, okaże się niewystarczająca dla liczącej ponad 2000 wiernych wspólnoty. Stąd proboszcz Rabki, ks. kan. Jakub Zych (1842-1917) wystara się o rozszerzenie przywileju odprawiania mszy świętych w tym kościele⁴⁵. Gromada, której ongiś Kościół zarzucił niesubordynację, własnym sumptem wzniesie świątynię i jako pierwsza z okolicznych wsi doprowadzi do utworzenia parafii⁴⁶, nad którą piecza powierzona zostanie księżom z Towarzystwa Świętego Franciszka Salezego⁴⁷.

Po upływie dwóch wieków od skawiańskiej kontrowersji francuski teolog, późniejszy kardynał, Henry de Lubac SJ (1896-1991) wyzna, że „nigdy z rąk Kościoła nie otrzymujemy pełniej Chrystusa, jak w tych momentach, kiedy dana nam jest okazja

⁴³ AKMK, AF 171, *Conspectus fundatarum missarum et aliarum devotionum ecclesiae parochialis in Rabka (1877) – Historia pagi et parochiae Rabka*, brak paginacji; APR, *Liber Memorabilium Parochiae Rabka*, s. 28.

⁴⁴ AKMK, APA 266 [Prośba ks. S. Twardowskiego do Konsystorza Biskupiego w Krakowie o pozwolenie na poświęcenie kaplicy w Skawie], Rabka 04.11.1895 r.

⁴⁵ AKMK, APA 266 [Prośba ks. J. Zycha do Konsystorza Biskupiego w Krakowie o rozszerzenie przywilejów dla kaplicy w Skawie], Rabka 05.05.1906 r.

⁴⁶ Pierwsza próba utworzenia parafii w Skawie datuje się na rok 1787, kiedy to cesarz Austrii Józef II zatwierdził plan regulacji sieci parafialnej w diecezji tarnowskiej, zawierający propozycję utworzenia 79 nowych parafii, wśród nich w Cyrkule Myślenickim parafii w Skomielnej Białej (liczącej 922 katolików), w Chabówce (liczącej 939 katolików) oraz w Skawie (liczącej 1794 katolików). Projekt reorganizacji struktur parafialnych nie doczekał się nigdy realizacji na terenie Galicji. B. Kumor, *Diecezja tarnowska. Dzieje ustroju i organizacji 1786-1985*, Kraków 1985, s. 569.

⁴⁷ AKMK, APA 267 [List inspektora salezjańskiego do bpa A. S. Sapięhy], Oświęcim 28.01.1922 r.; K. Kowalczyk, *Rabcańskie drzewiej, czyli 450 lat parafialnej historii*, Kraków-Rabka 2008, s. 15-16.

kształtowania siebie wedle męki Pańskiej”⁴⁸. Obłożeni interdyktem nie mieli szans odwołania, podzielili więc los wielu sobie podobnych. Pozostało im przyjąć odgórne decyzje. Z perspektywy czasu z niedowierzaniem obserwujemy, jakie owoce przyniosło dostarczenie osiemnastowiecznym chłopom powodów do wylewania swych strapiień przed „Ojcem, który widzi w ukryciu”... (por. Mt 6, 6).

⁴⁸ H. de Lubac, *Medytacje o Kościele*, Kraków 1997, s. 177.

Urszula Janicka-Krzywda

Grzeszny żywot zbójnika z Rabki

Zbójnictwo, nierozzerwalnie związane z dziejami i kulturą Karpat, było jedną z form ruchów chłopskich, charakterystyczną wyłącznie dla terenów górskich. Podobne zjawiska występowały także w innych górach Europy. Początki zbójnictwa w Karpatach sięgają XVI wieku, a jego zmierzch to dopiero schyłek XIX stulecia. U źródeł tego ruchu leżał cały szereg różnych przyczyn, począwszy od sprzyjających warunków terenowych, przez uwarunkowania historyczne, osadnicze, gospodarcze, społeczne, po skomplikowane procesy i tradycje kulturowe.

O zbójnictwie w Karpatach

Źródłem informacji o zbójnictwie są przede wszystkim akta sądowe, różnego rodzaju kroniki i pamiętniki. Jednym z cenniejszych źródeł dla Karpat Zachodnich są *Akta spraw złoczyńców (...) miasta Żywca*, gdzie zachowały się protokoły z rozpraw przeciwko zbójnikom. Jest to księga spraw kryminalnych sądu żywieckiego, która obejmuje zapisy sądowe z lat 1589-1625 i luźne notatki z lat późniejszych¹. Została ona po raz pierwszy jako osobna całość opublikowana w 1952 roku przez badacza Żywiecczyzny Stanisława Szczotkę jako nr 3 „Archiwum Etnograficznego”, wydawanego przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze (PTL) pod tytułem *Materiały do dziejów zbójnictwa góralskiego z lat 1589 - 1782* w formie wykonanego techniką powielaczową skryptu formatu A4, liczącego 190 stron. Ten cenny dokument (wybór) pod tytułem *Materiały do dziejów zbójnictwa w Żywiecczyźnie* zamieścił S. Szczotka już wcześniej, w 1937 roku, w periodyku „Lud”, wydawanym przez PTL², oraz w odcinkach, na łamach kwartalnika „Gronie”, poświęconego Ziemi Żywieckiej, ale wybuch II wojny światowej uniemożliwił kontynuację tej publikacji. W tomie pierwszym „Groni” ukazało się zaledwie dwanaście protokołów z rozpraw żywieckiego sądu³.

Problemem zbójnictwa w czasach Rzeczypospolitej zajmowały się głównie sejmiki nękanych przez rozboje regionów. Zarówno w królewskich, jak i w dobrach prywatnych wprowadzano dodatkowe podatki, by uzyskać środki na zwalczanie rabusiów,

¹ *Akta spraw złoczyńców wszelakich, dekreta skazania, egzekucyjnej ostatecznej tudzież też i testamenta ich z tych skutków poczęte i narządzone za burmistrza Stanisława Węgorzewskiego, radziec. Piotra Chwostka, Mikołaja Chybowica, przez mię Jarosza Famiszowica, pisarza natenczas żywieckiego przysięgłego, narządzone i poczet roku Bożego tysięcznego pięćsetnego ośmdziesiątego dziewiątego.* Rkp. Bibl. Jagiell., sygn. 1106.

² S. Szczotka, *Materiały do dziejów zbójnictwa w Żywiecczyźnie*, „Lud” 1937, t. 35, s. 157-170.

³ „Gronie” 1938, t. 1, s. 88-99 i 205-208.

oraz wydawano szereg zarządzeń, które miały ułatwić obronę przed napadami i ściganie przestępców⁴.



*Zbójnik i frajerka. Mal. Z. Walczak 1982 r.
(archiwum prywatne)*

Do ścigania przestępstw w Polsce przedrozbiorowej, w tym do zwalczania zbójnictwa, powołani byli z urzędu starostowie grodowi, czynili to jednak opieszale, głównie ze względów finansowych. Kosztowne było zwłaszcza utrzymywanie tzw. harników, nazywanych też górskimi żołnierzami (*milites montanicorum*) – specjalnych oddziałów przeznaczonych do walki ze zbójnikami. W wyjątkowych sytuacjach korzystano z pomocy wojska, a nawet z pospolitego ruszenia miejscowej szlachty. Liczne ustawy nakładały też na miejscową ludność obowiązek ścigania rabusiów i podnoszenia alarmu w razie *najścia zbójeckim sposobem*, a za pomoc udzielaną zbójnikom winnych czekały srogie kary, ze śmiercią włącznie. Wielu zbójników w ręce sprawiedliwości trafiało też przypadkiem, schwytanych podczas zabawy i pijatyki. W sprawach o zbójnictwo w sądzie występował „powód” (nazywany niekiedy „actor”), czyli osoba

⁴ W. Ochmański, *Zbójnictwo...*, s. 191, 192.

poszkodowana. Często były to także procesy inkwizycyjne, a więc takie, w których nie było oskarżyciela.

Oskarżony otrzymywał niekiedy obrońcę z urzędu. O ile rabusia nie złapano na gorącym uczynku, sąd ustalał najpierw na podstawie poszlak fakt zaistnienia przestępstwa, okoliczności jego popełnienia itp. Zeznania oskarżonego i świadków zapisywano w formie odpowiedzi na stawiane pytania. Miał je prawo zadawać oskarżyciel, ławnicy i każdy biorący udział w rozprawie. W sprawach o *zbójectwo* sądy prawie wyłącznie orzekały wyrok śmierci tzw. kwalifikowanej, a więc ćwiartowanie, łamanie kołem i wplatanie w koło, wbijanie na pal, rozrywanie końmi, poprzedzane często okaleczeniem: ucięciem rąk, nóg, uszu, wykluciem oczu, darcie pasów⁵. Dla najbardziej „zasłużonych” wymiar sprawiedliwości przewidywał powieszenie na szubienicznym haku za *poślednie* żebro. Ten wyjątkowo okrutny rodzaj karni mieszkańcy wsi karpackich uważali za *rzecz chwalebna* i szczególny powód do dumy. Opinię tę, zanotowaną jako nieco szokującą ciekawostkę, można znaleźć w zapisach pamiętnikarzy, krajoznawców i ludoznawców penetrujących Karpaty⁶.

Egzekucje odbywały się na rynkach miast, lub częściej na miejscach straceń, położonych poza granicami osad zwykle na pobliskim wzniesieniu. W karpackiej topografii spotyka się często takie nazwy, jak Szubieniczna Góra, Wisielakówka, Trupielce itp. W Beskidach Zachodnich znanym miejscem karni była góra Grojec nad Żywcem i Makowska Góra, u stóp której leży Maków Podhalański.

Skazańcowi na miejsce karni towarzyszyli m.in. członkowie kolegium sędziowskiego i duchowni. Przed egzekucją mógł on przekazać swoją ostatnią wolę i pojednać się z Bogiem. Duchowni nierzadko zwracali się do sądu z prośbą o skrócenie męki skazańcowi, co z reguły odnosiło pozytywny skutek.

Rabczański zbój

We wspomnianych *Aktach spraw złoczyńców...* wśród wielu spraw rozpatrywanych przez żywiecki sąd znajdują się zeznania zbójnika z Rabki. Jest to *Testament Stefana Tomczyka alias Butorczyka* zanotowany 13 sierpnia 1593 roku przez pisarza żywieckiego sądu podczas rozprawy o *rozboje*⁷. Nie jest to właściwie testament, lecz szczegółowy opis zbójnickiej działalności sądownego. Jak wynika z dokumentu trwała ona niedługo: od dnia *przed świętym Duchem alias Świątkami* (Zesłanie Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki – data ruchoma, maj lub czerwiec) do końca lipca lub początków sierpnia 1593 roku, jeżeli rozprawa odbyła się 13 sierpnia, dwa dni przed *Assumptionis Beate Mariae Virginis*

⁵ S. Szczotka, *Materiały do dziejów...*, s. 131,134; Z. Piasecki, *Byli chłopcy, byli... Zbójnictwo karpackie – prawda historyczna, folklor i literatura polska*, Kraków 1973, s. 40-41.

⁶ U. Janicka-Krzywda, *Zbójnicy w karpackim folklorze słownym-wątki i motywy* [w:] *Mity i rzeczywistość zbójnictwa na pograniczu polsko-słowackim w historii, literaturze i kulturze*, Nowy Targ 2007, s. 121-130 (Materiały z Międzynarodowej Konferencji Naukowej Kraków – Bukowina Tatrzańska 18-22 października 2006).

⁷ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka o rozboje* [w:] S. Szczotka, *Materiały do dziejów zbójnictwa góralskiego z lat 1589 – 1782*, Lublin – Łódź 1952, s. 17-18.

- uroczystością Wniebowzięcia Matki Bożej (Matka Boża Zielna)⁸. Ponieważ w święta i ich wigilie sądy nie pracowały, nie odbywały się także egzekucje, rozprawę zakończono 13 i być może tegoż dnia wykonano egzekucję. Kiedy i jakim rodzajem śmierci zginął zbójnik z Rabki – nie wiadomo. Miejszem zbójnickiej śmierci mogła być wspomniana już góra Grojec nad Żywcem lub rynek miasta.

Dokument nie zawiera żadnych danych sądownego. Nie wiadomo, kiedy i gdzie się urodził, czym się trudził, w jakich okolicznościach trafił w ręce sprawiedliwości. Butorczyk był poddanym *paniej Krakowskiej*; mieszkał w Rabce. Dokładnie znane są dopiero ostatnie tygodnie jego życia, o których szczegółowo opowiedział *dobrowolnie będąc przed męką pytany*⁹. Nie uchroniło go to jednak przed torturami; był to powszechny proceder potwierdzenia dobrowolnych wynurzeń przestępcy *na mękach*.

Tak więc przed wspomnianymi już Zielonymi Świątkami rozpoczął swój zbójnicki żywot w towarzystwie Marcina Dzirgasa z Rabki, Maćka Naprawskiego i Jakuba Kotha ze Słonego, Kaspra Karbonki z Mszany (nie wiadomo Górnej czy Dolnej), jakiegoś mężczyzny, którego nazwiska Butorczyk nie znał, a wiedział o nim tylko tyle, że był poddanym Jerzego Podwysockiego zamieszkałego *niedaleko Starego Sącza*¹⁰. Razem było ich sześciu. Można przypuszczać na podstawie zeznań, że inicjatorem powstania grupy i być może jej harnasiem był ów anonimowy poddany J. Podwysockiego, który pozostałych *namówił i zwiódł*. Pierwszego napadu dokonano właśnie na siedzibę J. Podwysockiego. Na straży podczas rabunku stał organizator całej wyprawy, który wcześniej zrobił dokładne rozpoznanie terenu. Być może organizując napad załatwiał on swoje osobiste porachunki z *panem*. Zbójnicy właściciela zastali w domu, ale jaki był jego los nie wiadomo; Butorczyk zeznał, że go *samego zabić wolą mieli*¹¹. Łupem rabusiów padło dziewięć srebrnych łyżek, futro z lisów i dwie wyprawione lisie skóry, kołpak kuni, a przede wszystkim broń: dwa półhaki, kord i multan. Zrabowano też pieniądze, ale ile – sądzony nie wiedział. Miał je przy sobie Marcin Dzirgas, o czym poinformował Butorczyka, tłumacząc się przed nim z ich braku. Według jego wersji, został schwytyany przez mieszkańców Jeleśni, którzy mu je odebrali, a samego puścili wolno. Po dokonanym rabunku prawdopodobnie cała grupa przeniosła się na Żywiecczyznę. Można przypuszczać, że już tu dowodził nią Butorczyk, skoro Dzirgas usprawiedliwiał się właśnie przed nim.

Kolejną ofiarą zbójników padł kramarz z Lanckorony. Napadu dokonał Butorczyk, który, jak widać, zasmakował w zbójnickim rzemiośle, z *Jurkiem Walkowym synem* z Rabki (prawdopodobnie z bratankiem). Ten rabunek miał nietypowy, wręcz humorystyczny przebieg. Otóż towar kramarza, Jana Czarnego uległ, nie wiadomo w jakich okolicznościach, zamoczeniu. Właściciel suszył go w swojej stodole w Lanckoronie. Zbójnicy zakradli się w nocy do zagrody z zamiarem unieszkodliwienia kramarza, który pilnował towaru *śpiąc pod wozem na gumnie*. W ciemnościach któryś z napastników uderzył go obuchem rombanicy w kolano, myśląc że to... głowa! Kramarz

⁸ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 17. W różnego rodzaju dokumentach, w tym także protokołach sądowych, często daty określano terminami świąt kościelnych.

⁹ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 17.

¹⁰ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 18.

¹¹ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 18.

i jego żona podnieśli alarm, zbójnicy uciekli *porwawszy kto co mógł*. Widocznie w efekcie alarmu zostali schwytani, ale całą sprawę załagodzano. Butorczyk *dał temuż karczmarzowi złotych dwa, a urzędnikowi za winę pięć złotych* – kwotę na owe czasy niebagatelną¹².

Wkrótce zbójnik napadł z dwoma nowymi towarzyszami, Jurkiem Stańcowym ze Świnnej i niejakim Śpiewakiem oraz z Marcinem (Dzircasem – dawnym kompanem?) z Rabki na szałas *orawski węgierski* (gdzie był on położony – akta milczą). Butorczyk szarpał się tu z *bacą*, który omal go nie związał; uratowali go Śpiewak i Marcin zadając gospodarzowi hali kilka razy obuchem rombanicy. Czy przeżył on ten atak – nie wiadomo. Łupem rabusiów padło... osiem grud sera!

Zbójnik ukraść też owcę swojemu rodzonemu bratu – Walkowi, kiedy ten wybierał się do Żywca (prawdopodobnie na trag), schował ją, ale właściciel zgubę znalazł i zabrał.

Butorczyk najczęściej rabował w towarzystwie wielokrotnie już wspomnianego Marcina Dzircasa, niechętnie zawierając nowe znajomości. Tak np. nie skorzystali obaj z oferty juhasa *na sałasu Primusowym* (?), który namawiał ich na kolejne napady.

Jak na niecałe trzy miesiące zbójowania Butorczyk mógł się pochwalić sporym dorobkiem. Osądzony i skazany swoje wyczyny *do ostatniego punktu życia swego potwierdzał i duszą swoją pieczętując, z tym na sąd Boży szedł*¹³. Co stało się z kompanami Butorczyka – nie wiadomo. Być może do dalszego uprawiania zbójnickiego procederu zniechęciła ich jego „chwalebna“ śmierć, być może też zginęli, skazani przez inne sądy.

¹² *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 18.

¹³ *Sprawa Stefana Tomczyka alias Butorczyka...*, s. 18.

Dorota Majerczyk

Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w Rabce-Zdroju

Zanim rozwinę wątek dotyczący *sensu stricte* Karpackiego Festiwalu Dziecięcych Zespołów Regionalnych i jego historii, chciałabym w kilku słowach scharakteryzować termin *folklor dziecięcy*. Należy on bowiem, nie tylko do ciekawych tematów z dziedziny folklorystyki, ale również do podstawowych fundamentów, na których opierają swoją działalność twórcy i kierownicy dziecięcych zespołów regionalnych oraz organizatorzy dziecięcych festiwali folklorystycznych w Polsce i na świecie.

Ogólnie folklorem określamy tę część kultury ludowej, która istnieje dzięki słowu mówionemu lub śpiewanemu (np. opowieści, przysłowia, zagadki, pieśni, muzyka itd).

Słowo to musi mieć wymiar artystyczny, w przeciwnym razie każde mówienie byłoby twórczością folklorystyczną, ponadto musi docierać od nadawcy do odbiorcy, czyli np. od opowiadającego czy śpiewającego do słuchającego, i to bezpośrednio, tzn. nie za pomocą środków technicznych¹.

Swoją twórczość folklorystyczną mają również dzieci, gdzie wiek jest kategorią dominującą. Etnolodzy zainteresowali się folklorem dzieci niemal w tym samym czasie, gdy w ogóle zaczęto zwracać uwagę na twórczość ludową, a więc w pierwszej połowie XIX wieku. Źródłem tych zainteresowań nie było jednak dziecko czy też folklor jako twórczość pełniąca w życiu dzieci określone funkcje. Kierowała nimi przede wszystkim chęć zrekonstruowania - na podstawie obecnych wśród dzieci fragmentów folkloru - dawnej, archaicznej twórczości, dawnych mitów, wierzeń i obrzędów². Dzisiaj za folklor dziecięcy uważamy te wytwory, które żyją wśród dzieci spontanicznie, są przez nie kolportowane i w ich odczuciu uznane za własne. Sensem i funkcją ich wszystkich jest zabawa, gdyż folklor dzieci wyszedł z zabawy i zabawie służy. Wśród gatunków słownego folkloru dziecięcego możemy wyróżnić rymowanki, a wśród nich klaskanki, gestykanki, usypianki, zamawianki, prowokanki, rozkazywanki, wołanki itd. Trudno nie wspomnieć o drobnych piosenkach, wierszykach, powiedzonkach, dowcipach, zawołaniach, powstałych podczas pasienia zwierząt lub przy innych zajęciach gospodarskich wykonywanych przez dzieci. Wąsko zakresowe melodie wygrywane na gwizdkach lub małych wierzbowych fujarkach, gry i zabawy ruchowe z wykorzystaniem rekwizytów to elementy wchodzące w skład bogactwa i różnorodności fascynującego

¹ D. Kadłubiec, I. Fryda, *Raz, dwa, trzy, wychodź ty*, Czeski Cieszyn 1993, s. 6.

² D. Simonides, *Współczesny folklor słowny dzieci i nastolatków*, Wrocław, Warszawa 1976, s. 21.

świata folkloru dziecięcego. Opowieści dziadka lub babci o dzieciństwie przeżyтым na wsi, pasieniu bydła, bawieniu się kamykami, szmacianą lalka lub piłką z świńskiego pęcherza wydają się być dla abstrakcją, czymś niepojętym i nie pasującym do dzisiejszego świata. I dlatego jednym z założeń i celów festiwali dziecięcych jest to, aby właśnie taki, odchodzący w zapomnienie, świat wiejskiego dziecka i jego typowe zachowania przypomnieć, a może nawet zrekonstruować poprzez widowiska, inscenizacje i programy.



Festiwalowa publiczność z 1978 roku (archiwum MOK w Rabce)

Jednym z tego rodzaju przeglądów folklorystycznych dla dzieci jest „Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w Rabce-Zdroju”, który, organizowany nieprzerwanie od 37 lat, stał się dla nas czymś wyjątkowym, naszą dumą i częścią niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Corocznie, zazwyczaj w połowie czerwca, rozlega się na rabczańskiej scenie dziecięca góralska *nuta*, do słów poetki Antoniny Zachary Wnękowej:

*Złoncyły nos góry
i górskie sarotki
i te noproscijse
špiwyek nasyk zwrotki...*

To znak, że właśnie rozpoczął się „Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych”, czyli święto folkloru i folkloryzmu dziecięcego, którego bohaterami są rozbawione, rozśpiewane, roztańczone, pełne spontaniczności i naturalizmu dzieci z różnych różnych zakątków południowej Polski.

Trochę historii

Pierwszy przegląd dziecięcych zespołów regionalnych odbył się w 1974 roku w muszli koncertowej obok Kawiarni „Zdrojowa” w Rabce-Zdroju³. Mimo że jego pierwsza edycja miała skromny wymiar, nie zniechęciło to organizatorów do przygotowania kolejnych imprez. Podczas drugiego przeglądu w 1975 r. na rabczańskiej scenie wystąpiło już dziesięć zespołów regionalnych z miejscowości: Białego Dunajca, Bukowska (Bukowianie), Kamienicy (Gronicki), Lipnicy Wielkiej na Orawie (Heródki), Liptowskich Sliacoch – Czechosłowacja (Sliacan), Nowego Sącza (Małe Lachy), Rabki-Zdroju (Kropianka), Szczawnicy-Krościenka (Pieniny), Witowa (Witowianie) oraz Żywca (Hajduki). Głównymi organizatorami pierwszych festiwali byli: Ośrodek Kultury dla Miasta i Gminy, Muzeum im. Władysława Orkana, Branżowy Ośrodek Lecznictwa Uzdrowskiego, Państwowe Przedsiębiorstwo Uzdrowskie, Urząd Miasta i Gminy w Rabce⁴. W skład pierwszej Komisji Artystycznej wchodził: Maria Lechowska-Bujak (etnograf), Andrzej Haniaczyk (choreograf), Helena Pierzchałowa, Lidia Michalik (choreograf), Janusz Mroczek (muzykolog), Rudolf Abel (przedstawiciel Osvet. Ustvy. Liptovski Mikulasz) z Czechosłowacji oraz Vojtch Littva (choreograf) z Czechosłowacji⁵. Aby festiwal mógł trwać i rozwijać się, potrzebne było wielkie zaangażowanie i praca wielu ludzi, działaczy regionalnych i miłośników folkloru, o których należy wspomnieć: Maria Lechowska-Bujak (etnograf, dyrektor Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce-Zdroju), Jerzy Starzyk (dyrektor Uzdrowska Rabka-Zdrój), Tadeusz Klimiński (działacz regionalny), Adam Sawina (naczelnik UM Rabka-Zdrój, regionalista i miłośnik folkloru) oraz dyrektorzy Miejskiego Ośrodka Kultury w Rabce-Zdroju: Maria Derek, Piotr Kolecki, Maria Koperniak, Anna Leszczyńska, Krzysztof Majda, Jadwiga Niżnik, Zofia Śmietana, a obecnie Joanna Lelek.

Założenia festiwalu

Festiwal, jako przegląd, stał się w swoich zamierzeniach niejako „młodszym bratem”, odbywającego się w czasie „Jesieni Tatrzańskiej” w Zakopanem, „Festiwalu Folkloru Ziem Górskich”⁶. Różnica polega na tym, że festiwal dziecięcy nie jest konkursem, lecz przeglądem, któremu przygląda się Komisja Artystyczna, a następnie nagradza (wyróżnia) najbardziej wartościowo przygotowane programy. Przez 37 lat na rabczańskiej scenie wystąpiło kilkanaście tysięcy dzieci w wieku od 6 do 14 lat z terenów trzech województw: małopolskiego, podkarpackiego i śląskiego. Głównym celem festiwalu jest to, aby młodemu pokoleniu przekazać rodzime tradycje, uczyć szacunku do własnych korzeni, propagować ludowy taniec, śpiew, strój i obyczaje. Podobnie jak każdy dziecięcy festiwal, rabczański przegląd posiada swój własny opracowany regulamin, który zawiera cenne wskazówki i kryteria oceny zespołów. W jednym z jego głównych założeń czytamy:

³ Obecnie w tym miejscu znajduje się Zakład Przyrodolecznicy.

⁴ M. Karcz, *Karpacki Festiwal Dziecięcych i Młodzieżowych Zespołów Regionalnych w Rabce Zdroju, jako forma popularyzacji folkloru*, praca magisterska – mpis, Instytut Wychowania Muzycznego i Plastycznego, Cieszyn 1980, s. 31.

⁵ M. Karcz, *Karpacki Festiwal Dziecięcych ...*, s. 32.

⁶ A. Szurmiak-Bogucka, *XXX Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych*, Folder wydany przez MCK Sokół, Nowy Sącz 2006, s. 9.

Zespoły biorące udział w festiwalu zobowiązane są do zaprezentowania 20 do 30-minutowego programu opartego w całości na autentycznym folklorze swojego regionu (zespoły, które brały udział w roku poprzednim, a chcą wystąpić również w roku bieżącym, zobowiązane są przygotować nowy program). Liczba członków zespołu wraz z kapelą nie może przekroczyć 40 osób⁷.



*Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w 1978 r.
(archiwum MOK w Rabce)*

Organizatorami festiwalu od lat są Miejski Ośrodek Kultury w Rabce-Zdroju, pełniący funkcję gospodarza imprezy, oraz Małopolskie Centrum Kultury „Sokół” w Nowym Sączu (niegdyś Wojewódzki Ośrodek Kultury), dokonujące kwalifikacji zespołów. Spośród zespołów zgłoszonych do udziału w festiwalu komisja weryfikacyjna wybiera zespoły kierując się względem zróżnicowania regionalnego oraz poziomu artystycznego i merytorycznego. Głównymi bohaterami i uczestnikami przeglądu, o czym nadmieniałam wcześniej, są wyłącznie dzieci, dla których festiwal jest wspaniałą okazją do zabawy, poznania rówieśników, a co najważniejsze, kultury innych grup etnograficznych.

Jednocześnie organizatorzy festiwalu powołują Komisję Artystyczną, której zadaniem jest ocena zespołów według następujących kryteriów:

- tradycyjny taniec i choreotechnika ludowa,
- śpiew ludowy i sposób muzykowania,
- strój ludowy, gwara,
- gry i zabawy dziecięce,

⁷ Regulamin Karpackiego Festiwalu Dziecięcych Zespołów Regionalnych, Archiwum MOK w Rabce-Zdroju.

- dostosowanie programu do właściwości wieku dziecięcego,
- kompozycja programu⁸.

Komisja Artystyczna złożona z fachowców: etnomuzykologów, choreografów, etnografów i dialektologów nie tylko ocenia i nagradza przygotowane programy, ale również daje możliwości wymiany poglądów i doświadczeń, wytyczając dalsze kierunki pracy w zespołach. Udziela również wielu cennych rad i konsultacji instruktorom pracującym z dziećmi. Młodzi wykonawcy, zrzeszeni zazwyczaj w zespołach regionalnych, pod okiem kierowników i instruktorów pokazują swoje programy w formie tradycyjnej, uwzględniające cechy własnego regionu.

Zasady i cele regulaminowe Festiwalu stawiają przed kierownictwem zespołu trudne zadania [...] Treść pokazu może być widowiskiem odtwarzającym dawną obrzędowość, zgodną z wiekiem dzieci, może być ukazaniem codziennego „wydobycia” dziecka, które pomaga dorosłym, ale bawi się na kamieńcu czy pastwisku, i równocześnie bardzo pragnie przejąć rodzime muzykowanie – śpiew i taniec. Wykonanie i reżyseria programu winna być utrzymana w konwencji teatralnej, a zachowanie dziecka naturalne i spontaniczne. - napisała w folderze wydanym z okazji XXX KFDZR, Przewodnicząca Komisji Artystycznej Aleksandra Szurmiak-Bogucka⁹. Członkowie Komisji Artystycznej

wspólnie z instruktorami i animatorami ruchu folklorystycznego analizują poszczególne prezentacje festiwalowe, tworząc przy tej okazji rodzaj warsztatów szkoleniowych dla zainteresowanych folklorystów.



Konferansjerzy: Dorota Pintscher-Majerczyk i Robert Sroka podczas festiwalu w 1994 r. (archiwum autorki)

Moje spotkanie z festiwalem

„Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w Rabce-Zdroju” splótł się nierozłącznie z moim życiem. Dzisiaj spoglądam na niego nieco inaczej niż kilka lat temu. Dane mi było poznać go z kilku perspektyw. Jako małe dziecko przychodziłam i podziwiałam z zazdrością występujące zespoły, a w nich roztańczone i rozhulane rówieśników. W 1985 roku, jako nastoletnia dziewczyna, zostałam zaproszona przez dyrektora Miejskiego Ośrodka Kultury do objęcia funkcji konferansjera.

Gdy przypominam sobie moje pierwsze publiczne wystąpienie, oblewam się rumieńcem. Do tej pory pamiętam trzęsące się ze strachu nogi, wielką trempę

⁸ Regulamin Karpackiego Festiwalu..., s.11.

⁹ Regulamin Karpackiego Festiwalu..., s. 11.

i pomyłone tytuły przedstawianych jurorów... Rok później brałam udział w festiwalu, jako członek dziecięcego zespołu regionalnego „Kropianka”, działającego przy Oddziale Gorceńskiego Związku Podhalan, prowadzonego wówczas przez moją starszą kuzynkę Barbarę Knapczyk i Stanisława Surówkę. Było to dla mnie niesamowite przeżycie. W końcu po wielu próbach i przygotowaniach, mogłam zatańczyć i zaśpiewać na wielkiej scenie rabczańskiego amfiteatru, przed prawdziwą publicznością i profesjonalną Komisją Artystyczną. W roli konferansjera pozostałam jeszcze przez kilkanaście następnych edycji (z kilkoma przerwami). Z biegiem lat było coraz lepiej. Obycie ze sceną i publicznością dawało mi coraz większe poczucie pewności i bezpieczeństwa. Moimi zapowiadającymi partnerami byli: Józef Załłoka z Czarnego Dunajca, Robert Sroka z Rabki-Zdroju, Tomasz Janik ze Skawy oraz Anna Skawska-Kapłon z Ponicy i córka Katarzyna Majerczyk z Chabówki. Przez wiele lat uważnie oglądałam poszczególne prezentacje festiwalowe, słuchałam konsultacji jurorów i nabywałam potrzebną wiedzę i umiejętności do prowadzenia zespołów regionalnych. Nigdy nie przypuszczałam, że festiwal będzie miał tak wielki wpływ na moje życie, zainteresowania i profesję. Zasiadając dzisiaj jako juror, w różnych komisjach, na przeglądach i festiwalach dziecięcych, mogę z całą pewnością powiedzieć, że jestem wychowanką „Karpackiego Festiwalu Dziecięcych Zespołów Regionalnych w Rabce-Zdroju”, dzięki któremu mogłam poznać i zagłębić się w cudowny i jakże różnorodny świat folklorystyki dziecięcej. Za co wyrażam szczerą, serdeczną wdzięczność i uznanie.



24. Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w 1998 r.
(fot. J. Ciepliński, archiwum autorki)



*Komisja konkursowa w składzie: Dorota Majerczyk, Janina Kalecińska, Benedykt Kafel, Urszula Janicka-Krzywda, Aleksandra Szurmiak-Bogucka
(fot. J. Ciepłiński, archiwum autorki)*

Członkowie Komisji Artystycznej w latach 1975-2013

Rudolf Abel (choreograf) Słowacja 1975, Ewa Bączyńska (etnograf) Warszawa 1982, Halina Bittner-Szewczykowa (etnograf) Kraków 1983-1984, 1986-1994, Mirosława Bobrowska (etnochoreograf) Poznań 1985, Aleksandra Szurmiak-Bogucka (etnomuzykolog) Kraków 1983-2013, Józef Bubak (dialektolog) Kraków 1984-1985, Maria Derek (dyrektor MOK) Rabka-Zdrój 1977, Andrzej Drożdż (przedstawiciel Gorczańskiego Oddziału Związku Podhalan w Rabce-Zdroju) 1978, Andrzej Haniaczyk (choreograf, regionalista) Zakopane 1975, Urszula Janicka-Krzywda (etnograf) Kraków 1995-2013, Rudolf Józefowski (muzyk) Nowy Sącz 1979-1984, Benedykt Kafel (etnograf) Nowy Sącz 1979-2013, Janina Kalecińska (choreograf) Kraków 1983-2012, Marek Karcz (muzyk) Jordanów 1978, Henryk Kuś (choreograf) Gorlice 1985, 1998-1999, Maria Lechowska-Bujak (etnograf) Rabka-Zdrój 1975-1979, 1983, 1985-1989, Vojtech Littva (choreograf) Słowacja 1975, Lidia Michalik (choreograf) Nowy Sącz 1975, Janusz Mroczek (muzykolog) Kraków 1975, Zofia Opach (dyrektor GOK w Niedźwiedziu) 1977, Barbara Peszą-Królikowska (etnomuzykolog) Kraków 1982, 1984, 1985-1990, Helena Pierzchałowa (prezes spółdzielni „Milenium”) Kraków 1975, Danuta Sury (choreograf) Poznań 1979, 1982, Zdzisław Szewczyk (etnograf) Kraków 1982, 1985, 1987, Michalina Wojtas (choreograf) Nowy Sącz 1989, Wiesława Hazuka (choreograf) Tarnów 2013.

Dziecięce zespoły regionalne uczestniczące w festiwalach karpackich w latach 1975-2013

Babiogórcy (Sucha Beskidzka) 1988, Babiogórcy (Zawoja-Gołynia) 2005, Bachledówka (Czerwienne) 1996, Beskid (Bielsko-Biała) 2013, Białodunajcanie (Biały Dunajec) 2005, Bobrowianie (Bobrów) 2012, Budowlani (Szczawnica) 1982, 1985, 1988, Budzowskie Kliszczaki (Budzów) 2013, Bukowe Gronicki (Brenna) 1980, 1982, 1984, 1986, 1987, Bukowianie (Bukowsko) 1975, Czadeczka (Jaworzynka) 1989, Dolina Słomki (Stronie) 2009, 2010, 2013 Dunajcanie (Łopuszna) 1978, Dunajcowe Dzieci (Nowy Sącz) 1983, 1986, 1994, Dunajec (Niedzica) 2000, Dziecięcy Zespół z Lipnicy W. k/Grybowa 1980, Dziecięcy Zespół z Łużnej 1986, 1989, Dziecięcy Zespół (Trzebowisko) 1983, Dziecięcy Zespół im. Zośki Gracy od Tatara (Biały Dunajec) 1984, 1989, 1999, 2001, Dziecięcy Zespół Regionalny z Frydmana 2007, Dziordanki (Jastrowie) 1998, Goral (Sucha Hora - Słowacja) 1979, Gronicek (Gilowice) 1995, Gronicki (Kamienica) 1975, 1983, 1987, 1992, 2008, Grupa Regionalna Michalczowa 2006, 2007, Hałas Tancegyuttes - Kiskunhalas (Węgry) 2006, Hajduki (Żywiec) 1975, Harenda (Zakopane) 1983, 1987, Harenda (Ząb) 1978, 1982, Honaj (Dursztyn) 2009, Honielnik (Gronie) 1988, Hulajniki (Milówka) 2001, 2002, 2012 Jaferki (Koszarawa) 1997, Jaferniocek (Ostrowsko) 1993, Jaworzyna (Międzybrodzie Żywieckie) 1990, Jedlicki (Pewel Wielka) 2004, Jicinacek (Jicin - Słowacja) 1977, 1978, Juhas (Ujszoły) 1983, Juhasy (Szczawnica) 1992, Juzyna (Zawoja) 1994, 1997, 2002, 2013, Kiczera (Brunary) 1988, Klimczok (Szczyrk) 1986, 2010, Korczyńska Brać (Korczyzna) 2011, Krokusy (Jeleśnia) 1994, Kropianka - obecnie Robcusie (Rabka-Zdrój) 1975, 1976, 1980, 1982-1987, 1992, 1994, Kropianki (Raba Wyżna) 1977, 1978, 1982, 1983, 1989, Krzesani (Spytkowice) 2009, Limanowioki (Limanowa) 1987, Majeranki (Rabka-Zdrój/Chabówka) 2006, 2008, 2012, Majowy Wierch (Kacwin) 2004, Makowianka (Maków Podhalański) 1989, Mali Białcanie (Białka Tatrzańska) 2008, 2010, Mali Biylanie (Nowa Biała) 1989, Mali Bochnianie (Bochnia) 2004, Mali Brzegowianie (Brzegi) 1986, Mali Bystrzanie (Nowe Bystre) 1999, 2003, 2006, 2010, Mali Cyrwiynianie (Czerwienne) 1989, Mali Grojcowianie (Wieprz) 1996, 1998, 2007, Mali Gronkowianie (Gronków) 2002, 2006, Mali Hamernicy (Kraków-Nowa Huta) 1986, 2000, 2006, 2007, 2011, 2013, Mali Hyrni (Nowy Targ) 1986, 1996, 2000, Mali Hyrni (Skrzypne) 1983, Mali Istebniocy (Istebna) 2006, Mali Iwkowianie (Iwkowa) 2007, Mali Jastrzębianie (Jastrzębia) 2007, 2008, Mali Jurkowianie (Jurków) 1995, Mali Lipniczanie (Lipnica Wielka k/Korzennej) 2006, 2009, 2011, Mali Łopuśnianie (Łopuszna) 1983, 1987, 1995, 2000, Mali Marusynianie (Maruszyna) 1995, 1999, Mali Męcinianie (Męcina) 2003, Mali Mogilanie (Mogilany) 2005, Mali Mszalniczanie (Mszalnica) 1988, Mali Mystkowianie (Mystków) 1990, 1998, 2000, 2007, 2010, Mali Ochotni (Ochotnica Górna) 1995, 2000, Mali Podhalanie (Ludźmierz) 1987, Mali Porębianie (Poręba Wielka) 1986, 1990, Mali Saflarzenie (Szaflary) 1984, 1997, 2002, 2003, Mali Siedlecanie (Siedlec) 2000, 2009, Mali Siumni (Małe Ciche) 1983, 1984, Mali Słopiczanie (Słopnice) 2001, 2002, Mali Spiszacy (Łapsze Niżne) 1979, 1984, 1986, 1992, 1999, 2004, 2010, Mali Szczyrzycanie (Szczyrzyc) 1982, 1983, 1986, 1988, 1994, 2002, Mali Śwarni (Nowy Targ) 1980, 1984, 1988, 1992, 1996, 2008, 2012, Mali Tkocz (Wisła) 2003, Mali Toniecnicy (Krempachy) 1995, 1998, 2000, 2005, Mali Tylmanowianie (Tylmanowa) 2000, Mali Wierchowianie (Bukowina Tatrzańska) 1978, 1979, 1980, 1983, 1987, 1996, 2000, Mali Wierchowi (Skrzypne) 1985, Mali Witowianie

(Witów) 1975, 1977, 1979, 1980, 2000, 2007, Mała Helenka (Nowy Sącz) 2005, 2012, Mała Juzyna (Zawoja) 2010, Mała Koliba (Sidzina) 1983, 1985, 1990, Mała Kowalnia (Stróże) 2008, Mała Ziemia Suska (Sucha Beskidzka) 2008, Małe Bartusie (Murzasichle) 1978, 1979, 1985, 1993, Małe Cisy (Cisiec) 1988, 1993, Małe Flisoki (Sromowce Niżne) 1996, 1997, 2012, Małe Harnasie (Suche) 1977-1980, 1983, 1986, 2001, 2004, 2009, 2013, Małe Klimki (Zakopane) 1997, Małe Lachy (Nowy Sącz) 1975, 1978, 1982, 1983, 1985, 1988, 1995, 2003, 2004, 2012, Małe Łącko (Łącko) 1977, 1979, 1982, 1983, 1985, 1993, Małe Pieniny (Krościenko) 1975, 1986, Małe Piwnicoki (Piwniczna-Zdrój) 2010, 2012, Małe Podhale (Biały Dunajec) 1993, Małe Podhale (Jabłonka) 1985, Małe Podegrodzie (Podegrodzie) 1983, 1989, 1993, 2000, 2005, 2013, Małe Regle (Poronin) 2009, Małe Rożnowioki (Rożnów), Małe Turnie (Stare Bystre) 1988, 1997, Mały Gwoździec (Gwoździec) 2010, 2013, Mały Haśnik (Żabnica) 2007, 2009, Mały Koniaków (Koniaków) 1985, 1988, 1992, 1993, 1999, Mały Lubań (Kluszkowce) 1994, 2000, Mały Ondraszek (Szczyrk) 1984, Mały Skalnik (Kamionka Wielka) 1989, 1992, 2000, Mały Zbójniczek (Ząb) 2000, 2005, Maniowianie (Maniowy) 1995, 1998, Międzyszkolny Zespół Regionalny (MDK Nowy Sącz) 1982, Mystkowanie (Mystków) 2008, 2013, Niecieczanie (Nieciecz) 2003, Niskowioki (Niskowa) 2012, Olszowianie (Olszówka) 1977, 1984, Orawianie im. Heródka (Lipnica Wielka na Orawie) 1975, 1978-80, 1982, 1983, 1985, 1987, 1989, 1992, 1997, 1999, 2001, 2004, 2011, Orawskie Dzieci (Lipnica Wielka na Orawie) 1984, 1986, 1994, Orleża (Bukowina Tatrzańska) 1983, Otfiniowianie (Otfinów) 2001, 2006, Pasierbcoki (Pasierbiec) 2011, Piecuchy (Nawojowa) 1996, 2001, 2003, 2008, 2009, 2012, Piątkowioki (Piątkowa) 1997, 2002, 2007, Pieninki (Tylka) 1987, Pnioki (Sadek-Kostrza) 2008, 2011, 2013, Pogórzanie (Głowieńka) 1986, Pogórze - Koronecka (Sędziszowa) 1998, 1999, 2000, 2003, 2004, Polany (Kościelisko) 1990, 1993, 1997, 2001, 2004, 2010, Pyzowianie (Pyzówka) 2007, Rajcusie (Rajcza) 1993, Robcusie (Rabka-Zdrój) 2008, 2009, Rzepioki (Rzepiennik Suchy) 1999, Sałaśnioki (Czarny Dunajec) 1998, Sądeczoki (Nowy Sącz) 1987, 1990, 1996, 2006, 2013, Serdocki (Podszkle) 2012, Siedlecanie (Siedlec) 2002, Sabinik Sabinov (Słowacja) 2006, Skałka (Rogoźnik) 2005, Sliacan (Liptowskie Sliacze Słowacja) 1975, Spisoki (Jurgów) 1978, Spod Kikuli (Laliki) 2011, Sromowianie (Sromowce Wyżne) 2003, Stryszawskie Gronicki (Stryszawa) 2002, 2003, Strynale (Zubrzyca Górna) 1993, Szarotki (Kamesznica) 1985, 1996, Szarotki (Nowe Bystre) 1982, 1983, 1989, Śwarni Cichowianie (Ciche) 1978, Tatry (Ratułów) 1995, 2001, 2007, 2011, Trzy Korony (Grywałd) 1994, 2001, Trybskie Dzieci (Trybsz) 2005, Turlicki (Nowy Targ) 1978, 1982, 1983, 1993, 1996, 1999, Władysławia (Wodzisław Śląski) 2006, Zakopane (Zakopane) 1977, 1978, Zasadnioki (Zasadne) 2009, 2011, Zawatarnik (Leśnica) 1987, 1990, 1994, 1998-2000, 2005, 2010, Zbójnik (Skawica) 2008, Zbyrcocek (Juszczyn) 2010, 2013, Zespół Regionalny przy przedszkolu (Jordanów) 1976, Zespół Regionalny przy przedszkolu (Łącko) 1976, Zespół Regionalny przy przedszkolu (Raba Wyżna) 1976, Złocoki (Złota) 2012, Zornica (Zakopane) 1997, 2009, 2011¹⁰.

¹⁰ Strona internetowa MCK Sokół, www.mck.solol.pl, *Festiwal w latach 1975-2010*.

Maciej Gaździcki

„Baśń o Luboniu” Antoniny Zachary-Wnękowej – analiza i interpretacja

Pierwszy drukowany utwór Antoniny Zachary-Wnękowej, który wydała własnym sumptem, gatunkowo przynależy do baśni i nosi tytuł „Wigilijna jodełka”. Późniejsza, dojrzała twórczość, pochodzącej z Olszówki koło Rabki, poetki i pisarki również związana była z tym gatunkiem literackim. Charakterystyczne w jej baśniach jest to, że obok czynników fantastycznych, wiążących się z szeroko pojmowaną niesamowitością, bardzo silnie obecny jest element lokalnego folkloru. Bohaterami są często pasterze i górale, zaś sceneria to malownicze górskie hale, łąki i lasy. Przyroda, której Zachara-Wnękowa była wielką miłośniczką, odgrywa znaczącą rolę w jej twórczości. Przygody bohaterów są często z nią związane, jak wtedy, gdy w siłach przyrody szukają pomocy lub od nich otrzymują swoistą zapłatę za swoje uczynki. W anonimowej nocie wstępnej do zbioru baśni Antoniny Zachary-Wnękowej pt. „Baśnie spod Gorców” czytamy: *Zebrane w tej książce utwory są ciekawym przejawem samorodnej twórczości. Na kanwie oryginalnych pomysłów baśniowych pojawiają się okruchy folkloru wiejskiego i pogłosy miejscowych wierzeń, wątki dawnych bajek i legend łączą się z realiami życia codziennego*¹. Najbardziej znanym, a na pewno jednym z bardziej interesujących dzieł zawartych w tym zbiorze, jest „Baśń o Luboniu”. Znajdziemy w niej wciągającą fantastyczną fabułę, a także próby wyprowadzenia genezy niektórych lokalnych nazw, takich jak szczytu górskiego Lubonia Wielkiego oraz samej miejscowości Rabki.

Teoria baśni

Przed analizą utworu warto w kilku słowach przedstawić, jak pojmowana jest baśń w sensie literackim, jakie są jej źródła oraz kto naukowo się nią zajmował. Termin *baśń* wywołuje jednoznaczne skojarzenia z takimi nazwiskami jak Hans Christian Andersen czy Wilhelm i Jacob Grimmowie oraz przedstawionymi przez nich opowieściami. Termin ten jest jednak o wiele starszy i pierwotnie oznaczał tyle co zmyślenie, urojenie. W rozmaitych słownikach i leksykonach rozgraniczenie między baśnią, bajką, legendą, mitem czy podaniem zdaje się być klarowne, jednak zgłębiając problem nietrudno zauważyć, że pewne elementy gatunkowe jednego rodzaju należą także do innych. Przede wszystkim trzeba oddzielić baśń literacką, która może, ale nie musi, zawierać elementy folklorystyczne lub stanowić przetworzoną opowieść ludową od baśni będącej bajką magiczną (zwaną też bajką czarodziejską, właściwą, bajką w sensie ścisłym; w języku

¹ Anonim, *Nota wstępna*, [w:] A. Zachara-Wnękowa, *Baśnie spod Gorców*, Warszawa 1980, s. 2.

angielskim nazywaną popularnym terminem *fairy tale*)². Należy także odróżnić baśń będącą literackim opracowaniem przekazywanej ustnie bajki ludowej od tekstu stylizowanego na ludowy³. Do tej drugiej kategorii można zaliczyć właśnie utwory Zachary-Wnękowej czy dzieła Kazimierza Przerwy-Tetmajera, takie jak „Bajeczny świat Tatr” lub „Na skalnym Podhalu”. Szczególny rozkwit tego drugiego typu opowieści możemy zaobserwować w literaturze Młodej Polski⁴.



*Okladka „Baśni spod Gorców”
ilustracja Olgi Siemaszko,
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1980 r.*

Świat baśni nacechowany jest niezwykłością i niesamowitością. Zawsze pojawia się w nim szeroko rozumiany pierwiastek magiczny. Obok niego w utworze musi istnieć również czynnik prawdopodobieństwa, nazywany logiką cudowności, którego rodowód wywodzi się z dawnych wierzeń i zwyczajów. Bohaterowie muszą działać zgodnie ze swoimi atrybutami (tyczy się to zwłaszcza zwierząt, które nie mogą przekraczać własnych możliwości – np. ryba może nieść pomoc tylko w wodzie, a ptak z powietrza). Zachwianie

²A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze Młodej Polski*, Kraków 1996, s. 9.

³A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze ...*, s. 10-11.

⁴A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze ...*, s. 35.

czy nadużycie tej logiki prowadzi często do parodii⁵. Konstrukcja baśni opiera się na dwóch elementach: prostych, łatwych do zrozumienia prawdach oraz na mocno zarysowanym kontraście. Siły dobra i zła muszą być odróżnialne bez większego trudu a odbiorca powinien mieć możliwość szybkiego rozpoznania czyje działania powinien naśladować, a które potępić i się ich wystrzegać w realnym życiu. Baśń zawiera w sobie zazwyczaj bardzo silny ładunek dydaktyczny, nawet jeśli nie jest zaopatrzona w jasno wyrażony na jej końcu morał. Baśń nie jest adresowana tylko do dzieci (choć obecnie powszechnie łączona jest z literaturą przeznaczoną dla najmłodszych), gdyż obok dydaktyzmu, pojawiają się w niej motywy nasycone erotyką lub bardzo silne wątki filozoficzne (np. w popularnych „Klechdach sezamowych” czy „Klechdach polskich” Bolesława Leśmiana) oraz teksty przeznaczone w ogóle tylko dla dorosłych (na przykład „Ofiara królewny” Jana Lemańskiego lub utwory wspomnianego wyżej Tetmajera)⁶.

Tematyka baśniowa stanowi obiekt zainteresowania dla wielu badaczy, którzy poświęcili jej olbrzymią ilość prac. Poszczególne elementy składowe baśni są poddawane różnym analizom i interpretacjom. Warto wymienić takie nazwiska, jak Johannes Andreas Jolles, Friedrich von der Leyen, Max Luthi, Julian Krzyżanowski czy Dorota Simonides. Szczególnie ważne są dokonania rosyjskiego przedstawiciela formalizmu, Władimira Proppa, autora „Morfologii bajki”. W pracy tej podkreślał to jak trudne jest klasyfikowanie utworów bajkowych i jak rozmaite próby i klucze prowadzą do zaciemnienia obrazu (jako przykład przynoszącego chaos podziału podawał propozycję klasyfikowania bajek ze względu na fabuły⁷). Na podstawie analizy stu rosyjskich bajek magicznych wyróżnił trzydzieści jeden funkcji jakie w utworze bajkowym mogą spełniać bohaterowie, reprezentujący jeden z siedmiu typów postaci (bohater, przeciwnik, donator, pomocnik, królewna/ojciec królewny, osoba wysyłająca oraz fałszywy bohater). Praca Proppa stała się podstawą i narzędziem badań nad różnymi dziełami reprezentującymi kulturę masową lub tymi związanymi z kulturoznawstwem i zgłębianiem tajemnic folkloru.

Baśń o Luboniu

Rozgrywająca się w okolicach Turbacza baśń opowiada historię Arelki, pięknej i dobrej córki złego czarnoksiężnika Arwota, którego magii lękają się wszyscy. Wspomagająca miejscową ludność dziewczyna zakochuje się w słynnym zbójniku Tomku Luboniu, grasującym wraz ze swoimi kompanami u podnóża Turbacza. Arelka nie może pogodzić się z jego przestępczym żywotem, który napawa ją przerażeniem. W rozmowie z dziewczyną zbójnik wyjawia, iż jest jeden sposób na to, by porzucił swoje nikczemne zajęcie – musi wejść w posiadanie czarodziejskiej księgi, którą ma jej ojciec Arwot. Woluminu strzeże jednak posłuszny czarownikowi smok. Rozpaczoną z tego powodu Arelkę wysłuchuje życzliwy topielczyk, który – znając zwyczaje i upodobania smoka – zabiera księgę i oddaje ją w ręce dziewczyny. Uciekając przed ścigającymi ją potworem i ojcem Arelka zostaje ocalona przez górali, którzy odpędzają złe moce. Czarnoksiężnik

⁵ D. Simonides, *Fantastyka baśni i innych tekstów folklorystycznych w życiu dziecka*, Warszawa 1973, s. 11.

⁶ A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze...*, s. 35.

⁷ W. Propp, *Morfologia bajki*, Warszawa 1976, s. 38.

nie daje jednak za wygraną; korzysta z pomocy diabła Lumcypierka, lecz i jemu nie powodzi się próba odzyskania księgi i porwania Arelki. Dziewczynie tym razem przybywa na ratunek sam Tomek Luboń. Dzięki mocy wykradzionego woluminu może on porzucić zbójnickie życie – czary wykorzystuje do zapewnienia dostatku sobie i ukochanej, ale także niesienia pomocy potrzebującym. W tym celu za pomocą czarów zamienia swoich kompanów w ptaki, które latając po świecie poszukują niczych skarbów. W tym czasie pozostający w ukryciu Arwot i Lumcypierek przygotowują zemstę. Diabeł wykorzystując nieuwagę dawnego zbója i zabiera mu księgę oraz doprowadza do uwięzienia go we wnętrzu góry, którą Luboń uczynił swoim domem. Następnie zamienia Arelkę w osinę i udaje się do jej ojca, by oddać mu jego wolumin. Kompani Tomka, których ten zdążył jeszcze przeobrazić w ptaki, bezskutecznie czekają na to, by przywrócono im ludzką postać. Mijają lata, pamięć o niezwykłych wydarzeniach trwa. Góra, w której uwięziony został zbójnik nazwana zostaje od jego nazwiska Luboniem. Miejsce, w którym zaryły konie podczas próby uprowadzenia Arelki przez Lumcypierka – Zarytem, zaś obszar, po którym smok z Arwotem ścigali dziewczynę i gdzie została ona ocalona przez górali – Rabką.

Z tego krótkiego streszczenia widać iż będziemy mieli do czynienia z wieloma motywami wspólnymi dla rozmaitych baśni, legend i mitów, a także powtarzającymi się typami postaci. Właśnie od omówienia bohaterów zaczniemy, następnie zaś przejdziemy do przeanalizowania motywów, które w tej baśni występują.

Bohaterowie baśni

Wbrew tytułowi protagonistą nie jest Luboń, ale Arelka, córka Arwota. Posiada ona wszelkie cechy typowe dla baśniowego bohatera, a więc skłonność do podejmowania działań, odwagę i przebiegłość. Jest dobrym dzieckiem, mającym złego, niegodziwego opiekuna, z którego mocy się wyzwala. Nie jest typową „damą w opałach”, choć momenty, w których musi korzystać z pomocy ludzi lub istot nadnaturalnych należą do ważniejszych w utworze. Arelka to zdecydowanie najbardziej pozytywna postać spośród występujących w baśni. Wszelkie jej działania motywowane są chęcią czynienia dobra i niesienia bliźnim pomocy. W tekście wymieniane są jej dobre uczynki (...) *nieraz zabłąkanym po lasach ludziom dobrą drogę wskazała i niejednego od zamarznienia uchroniła, gdy w śnieżną zawięję przyjechał po drzewo do lasu. Znał ją prawie każdy, kto po dalekich lasach chodził, czy to z jej dobrych uczynków, czy z pieśni, które nieraz w błękitne lub szare wieczory pod szczytem Turbacza śpiewała*⁸. Wzbudza sympatię zarówno u odbiorców baśni, jak i pozostałych postaci. W kluczowej sekwencji zdobywania księgi i ucieczki z nią, pomocą służą jej najrozmaitsze istoty, zarówno ludzkie, jak i należące do innego świata. Nie jest to tylko typowy zabieg baśniowy (w którym pozbawionemu mocy protagoniście przychodzą z pomocą ludzie, zwierzęta lub istoty magiczne), ale także ukazanie tego jak wielką miłością jest darzona córka Arwota. Jest przy tym bohaterką nieszczęśliwą, cierpiącą. Najpierw zakochuje się w zbójniku. Uczucie to doprowadza ją do kradzieży księgi, co pociąga za sobą tragiczne zdarzenia. Musi płacić za przewinienia swojego ojca, zostaje przepędzona przez jedną z jego ofiar.

⁸ A. Zachara-Wnękowa, *Baśń o Luboniu* [w:] *Baśnie spod Gorców*, Warszawa 1980, s. 121-122.

W finale zostaje przemieniona w drzewo i w tym stanie pozostaje na zawsze, gdyż nie ma nikogo zdolnego zdjąć z niej urok. Los Arelki kojarzy się nie tylko z powracającym w mitach i legendach motywem przemiany kobiety w roślinę (słynna, inspirująca wielu artystów przemiana nimfy Dafnis w drzewo laurowe), ale także nawiązuje do tego, co Arwot uczynił z córką wiedźmy (o czym niżej). Pewne pocieszenie niesie zakończenie utworu. Czytamy w nim wprawdzie skierowane do dziewczęcia słowa:

*O biedna córeczko nieszczęśliwej matki,
źle się potoczyła życia twego droga,
przesłonił ci Tomka zły los!
Zostałaś samotna, w drzewo zamieniona,
ku chmurom i ziemi wyciągasz ramiona,
w szmer smutny, żalony zmienił się twój głos.*

Ale jednocześnie przypominające nam, że:

*gdzie twe łzy padły na skrzydła paproci,
tam źródło podziemne wybiło,
niezwykłą pięknnością i zdrowiem się złoci
i krzepi słabnących swą siłą⁹.*

Pewna część duszy dziewczyny istnieje zatem nadal i może wspomagać ludzi, tak jak sama Arelka (której młodość *żyć będzie w gorcezańskiej legendzie*¹⁰) robiła to za życia.

Ukochany córki Arwota, tytułowy Tomek Luboń, jest zbójnikiem. Zawód ten niezwykle często pojawia się w rozmaitych baśniowych opowieściach. Możemy wyróżnić kilka typów osób parających się tym „rzemiosłem”. Mogą to być autentycznie złe i niebezpieczne jednostki, przeszkody ludzkie, które bohater napotyka na swojej drodze i którym wymierza karę za ich zbrodnicze czyny. Najbardziej znana galeria takich „zbójników” pojawia się w greckim micie o Tezeuszu, który pokonuje kolejnych łotrów w drodze do Aten, zabijając ich lub skazując na ciężki los, adekwatny do rodzaju zła jakie wyrządzali niewinnym osobom (np. zbój, który torturował podróżnych na specjalnym łożu, zostaje przez herosa potraktowany w taki sam sposób). Druga odmiana to zbójnicy stanowiący w opowieści element komizmu. Pomimo wielu przerażających atrybutów (wygląd, imię) są oni w zasadzie nieszkodliwi, łatwo udaje się ich okpić lub poniżyć; często także porzucają oni zbójcecki żywot (do którego i tak nie byli bardzo przekonani) i podejmują uczciwą pracę. Ostatni typ, chyba najbardziej znany i lubiany, to zbój szlachetny, walczący ze złem, odbierający bogactwa niegodziwcom i dzielący się nimi z potrzebującymi. Jest on wyposażony w atrybuty typowe dla bohatera pozytywnego – inteligencję, odwagę, siłę i urok osobisty oraz pewne niezwykle zdolności, które stawiają go wyżej od jego kompanów (znajomość czytania i pisanie, predyspozycje do bycia przywódcą czy mistrzostwo w szermierce, strzelectwie i tym podobnych formach walki). Folklor oraz czerpiąca z niego kultura popularna pełne są postaci tego rodzaju, by wymienić te najbardziej znane: Robin Hood, Joaquin Murieta (pierwowzór Zorro) czy bliski światowi Zachary-Wnękowej Janosik. Tomek Luboń może być zaliczony do tej

⁹ A. Zachara-Wnękowa, *Baśń o Luboniu ...*, s. 132.

¹⁰ A. Zachara-Wnękowa, *Baśń o Luboniu ...*, s. 133.

właśnie ostatniej grupy. Choć jego zbójcekie, praktykowane od dzieciństwa czyny są czymś okropnym (przynajmniej w stopniu wystarczającym do przestraszenia Arelki), to jednak gdy pojawia się okazja przemiany swojego życia korzysta z niej, wcześniej heroicznie ratując Arelkę z rąk Lumcypierka. Jednocześnie używa swej nowej mocy do niesienia pomocy potrzebującym – zebrane bogactwa dzieli między siebie i żonę oraz osoby w trudnej sytuacji materialnej. Niestety, w finale zostaje pokonany przez siły zła. Pozwala Lumcypierkowi, by ten go podszedł i uwięził; nie jest w stanie ocalić Arelki, ani też zdjąć czaru ze swoich przyjaciół. Jakkolwiek miał wszelkie predyspozycje do bycia zwycięskim bohaterem, Luboń (podobnie jak bliski mu pod wieloma względami Janosik) przegrywa, a jego największym sukcesem jest uszczęśliwienie grona ludzi, do których trafiły odkryte skarby. Nieszczęście dawnego zbója może się kiedyś skończyć, gdy znajdzie się ktoś kto go wydobędzie z górskiego więzienia i wybudzi.

Najbardziej wyrazistą postacią reprezentującą siły zła jest Arwot. Tak jak Arelka jest przez ludzi darzona miłością, tak jej ojciec wprawia ich w przerażenie. Dzięki wiedzy czarnoksiężskiej posiada wielką władzę, którą wykorzystuje do kontrolowania zarówno śmiertelników, jak i istot magicznych. Wprowadzona do utworu postać czarownicy karpackiej pokazuje, jak ogromna jest jego moc w porównaniu z innymi użytkownikami magii – kobieta nie jest w stanie zdjąć uroku, jaki Arwot rzucił na jej córkę. Czarownik panuje nad smokiem, którego najpierw czyni strażnikiem magicznej księgi, a potem – w ramach kary – swoim wierzchowcem; przyjaźni się także z diabłem. Zło Arwota podkreślone zostało poprzez jego agresywne lub defensywne zachowanie wobec piękna cudownie stworzonej łąki, przyjemnego dla ucha gwaru na halach, smutnej pieśni wykonywanej przez córkę czy symbolu ostatecznego zwycięstwa nad siłami ciemności, jakim jest znak Krzyża Świętego. Jego relacja z różniącą się od niego niemal we wszystkim Arelką jest zaledwie zarysowana. Wiemy, że wymaga od córki bezwzględnego posłuszeństwa i uległości. Jest względem niej nieczuły i w żaden sposób nie reaguje na wymierzoną dziewczynie przez Lumcypierka okropną karę. Arwot reprezentuje innego charakterystycznego dla tego rodzaju opowieści bohatera, czarownika-tyrana, jednak w przeciwieństwie do rozmaitych użytkowników magii z innych baśni (baba Jaga, czarnoksiężnik z baśni o kocie w butach) to on zostaje zwycięzcą w ostatecznym rozrachunku. Choć początkowo zdradzony i przechytrzony, dokonuje zakończonej sukcesem zemsty i odzyskuje źródło swej mocy, którą – jak można podejrzewać – wykorzystuje do realizacji swych celów. To nie on, ale jego córka, bohaterka pozytywna, ulega magicznej metamorfozie (w znacznej części utworów baśniowych mamy do czynienia z sytuacją odwrotną, magia czarownika zostaje obrócona przeciwko niemu). Arwot reprezentuje zatem zło bardzo rzeczywiste, potężne, które w prawdziwym życiu nie jest łatwe do okpienia czy pokonania.

Przyjacielem oraz głównym wykonawcą woli Arwota jest diabeł Lumcypierek (domyślić się można tutaj zniekształconego imienia Lucyfera), który podejmuje się odzyskania księgi oraz ukarania nieposłusznej córki czarownika. Jego pierwszy plan uprowadzenia Arelki (gdy udaje stangreta oferującego dziewczynie wspólną podróż) zostaje zniweczony przez Lubonia, drugi – wykradnięcie księgi, uwięzienie byłego zbójnika oraz przemienienie córki Arwota w drzewo kończy się sukcesem. Lumcypierek jest przebiegły, podstępny, złośliwy i bezlitosny wobec wrogów Arwota, w stosunku do którego jest zadziwiająco lojalny.

Drugim sługą czarownika jest strzegący księgi smok. Jakkolwiek reprezentuje w utworze siły ciemności i można go przepędzić mocą dobra (górale czynią tak za pomocą znaku Krzyża), to jednak posiada więcej wrażliwości niż Arwot i Lumcypierek. Rok w rok wsłuchuje się w dźwięk dzwonów bijących z okazji święta Wiosny w krainie Słońca, zapominając całkowicie o świecie, w którym żyje. Ten pojedynczy fakt nie stawia smoka po stronie postaci pozytywnych, jednak zwraca uwagę, iż być może czyni on zło bardziej ze względu na potęgę Arwota (który zresztą wymierza mu poniżającą karę za utratę woluminu) niż na własne pragnienia.

Pozostali bohaterowie utworu to w znacznej części postaci magiczne jak topielczyk, bogini poezji, boginki rzeczne, spełniające rolę pomocników. Stosując terminologię Proppa możemy uznać boginię i boginki za pomocników specyficznych (zdolnych pomóc tylko w jeden sposób; bogini daje kwiat mający złagodzić moc księgi, boginki tworzą pianę, która opóźnia pogoń za Arelką), topielczyka zaś za pomocnika częściowego (pomaga on w kilku miejscach – przekazuje dziewczynie magiczny płaszcz oraz wykrada dla niej księgę)¹¹.

Interesującą postacią magiczną, o której jednak niewiele wiemy, jest czarownica karpacka. Z jakiegoś przyczyny ściągnęła na siebie gniew Arwota, który rzucił urok na jej córkę i zamienił ją w brzozę. Czarownica rozpoznaje uciekającą Arelkę i gniewnie odmawia jej pomocy. Czy więc czarownica nie różniła się od Arwota? Czy jej dziecko padło ofiarą zemsty? A może para czarnoksiężników toczyła między sobą jakiś pojedynek? Wszystko to pozostaje w sferze domysłów. Możemy jednak stwierdzić, że wprowadzenie postaci czarownicy jeszcze bardziej podkreśla różnorodność stworzonego przez Zacharę-Wnękową magicznego świata.

Wydaje się, że sama gorceńska przyroda, w środowisku której rozgrywa się baśniowa historia, jest także swoistym magicznym bohaterem. Najbardziej wyrazistym tego przykładem jest pomoc dla Arelki, udzielona ze strony sił natury podczas jej ucieczki przed smokiem. Do świata przyrody należy magiczny kwiat. Przypadkiem upuszczony na ziemię tworzy wspaniałą łąkę, wprawiającą Arwota w zdumienie. Ze światem przyrody zostają w końcu połączeni bohaterowie pozytywni – Luboń jednoczy się z górą, która bierze swoją nazwę od jego nazwiska, jego kompani stają się zwierzętami, a ukochana – drzewem. Taka antropomorficzna wizja przyrody i pananimizm, jest zjawiskiem normalnym w baśni w takim samym stopniu, jak obecność wrózek czy czarodziejów¹².

Bohaterowie niemagiczni to ludność góralska zamieszkująca okolice Turbacza oraz zbójnicy z drużyny Lubonia. Przejawiają oni praktycznie same pozytywne cechy. Są prości, lojalni, odważni, wdzięczni za okazane im dobro, chętni do pomocy, a w przypadku zbójów można także mówić o gotowości do porzucenia przestępczego żywota i przemiany. Większość z nich to ofiary Arwota i jego złej magii. Mimo ciężkich doświadczeń pozostają dobrymi, gotowymi do wspierania innych istotami (tym właśnie różnią się od czarownicy). Stanowią wzorzec dla odbiorców baśni, podobnych do nich zwykłych ludzi, którzy są niejako wezwani do powtarzania ich dobrych czynów.

¹¹ W. Propp, *Morfologia bajki...*, s. 150.

¹² A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze...*, s. 16-17.

Baśniowe wątki

W tym momencie możemy przejść do omówienia głównych wątków utworu i powracających motywów. Naczelnym i najważniejszym tematem są z pewnością zmagania dobra ze złem. Po pierwszej ze stron stoi Arelka, po drugiej – Arwot z Lumcypierkiem. Tomek i jego drużyna, chociaż początkowo prowadzą żywot wyjętych spod prawa, skłaniają się bardziej ku stronie dobra, zaś dzięki zdobytej księdze przechodzą na nią całkowicie. Zgodnie z baśniową tradycją dobro jest przedstawiane jako piękne (Arelka, Luboń – *młodzieniec niepospolitej urody*¹³), zło natomiast kojarzy się z brzydotą, potwornością (smok, Lumcypierek). Jak zdążyliśmy już zauważyć, w analizowanej baśni, dobro nie odnosi zwycięstwa. Bohaterowie pozytywni zostają pokonani, znajdują się ich w sytuacjach, w których niemożliwe jest dalsze prowadzenie walki ze złem. Wbrew pozorom takie zakończenie nie jest w realiach baśniowych czymś niezwykłym, nawet jeśli powszechnie panuje przeświadczenie, iż utwór tego typu musi skończyć się dla protagonistów pozytywnie, i że muszą oni *żyć długo i szczęśliwie* (co z kolei powoduje u wielu osób oskarżanie autorów o brak realizmu¹⁴). Tymczasem wiele baśni (zarówno literackich, jak i tych będących bajkami magicznymi) ma zakończenie przykre dla bohaterów – kończą oni samotnie, często umierają bez jakiegokolwiek spełnienia. Podobnie przedstawia się sprawa z podaniami, mitami czy legendami – często występujący w nich heros kończy swój żywot w sposób niezwiązany z jego trybem życia, raczej jako opuszczony starzec, czasami żebrak, zabijany podstępnie przez słabszego przeciwnika, czasem ginie w zwykłym wypadku. Często pojawia się motyw metamorfozy, zabrania bohaterowi jego ludzkiej postaci i uwięzienia go w innej (zwierzęcej czy reprezentującej materię nieożywioną).

W baśni Zachary-Wnękowej zwarty zostaje morał, który wyraża konieczność prowadzenia nieustannej walki ze złem i pozostawania w pełnej gotowości. Przestrzega przed fałszywym spokojem, w jakim żyli zakochani Tomek i Arelka, i zwraca uwagę, iż zło zatryumfuje jeśli dobro nie będzie wystarczająco czujne. Ciągłość walki jest tutaj zresztą podkreślona przez czynności, które wykonywała matka małej Arelki (kontakty z boginią poezji, próba osłabienia mocy Arwota przy pomocy magicznego kwiatu), a które kontynuuje jej córka.

Dobro reprezentowane jest bardzo wyraźnie przez miłość, która przeciwstawiana jest nienawiści i egoizmowi. Największą orędowniczką miłości jest godna następczyni swej matki, Arelka. Kocha nie tylko Lubonia (i to miłością znacznie głębszą niż skupiającą się na aspekcie fizycznym, choć piękno Tomka jest często podkreślane), ale także prostych ludzi, ofiary zła Arwota. Miłość do nich nakazuje jej niesienie pomocy. W momencie gdy wydaje się jej, że wpadnie w ręce pałającego żądzą odwetu czarnoksiężnika najbardziej żałuje nie siebie samej, ale tego, że nie będzie już w stanie nikogo więcej ocalić. W opozycji do niej stoi Arwot oraz Lumcypierek. Obydwaj nie są w stanie zrozumieć miłości ani poświęcenia jakie w jej imię ludzie są zdolni podjąć (Arelka dla Lubonia poświęciła lojalność względem ojca), swoje moce wykorzystują tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb (dopiero Luboń zaczyna używać księgi do

¹³ A. Zachara-Wnękowa, *Baśń o Luboniu ...*, s. 122.

¹⁴ B. Bettelheim, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*. T. 1, Warszawa 1995, s. 51.

wspomagania biednych) lub by szkodzić słabszym. Tymczasem Arelka i Luboń wyrażają prostą, znaną ludowi prawdę, że ludzie powinni się wzajemnie miłować i sobie pomagać. Tomek porzuca zbójowanie i realizuje daną ukochanej obietnicę, z kolei osoby, którym Arelka kiedyś pomagała, odważnie bronią jej podczas ucieczki przed ojcem. Pośrodku – między miłością i nienawiścią – znajduje się czarownica karpacka, która kocha swoje dziecko i bezskutecznie usiłuje je odczarować. Z bezsilności tej rodzi się nienawiść, której jej ofiarą pada Arelka. Miłość i dobroć dziewczyny nie są w stanie nic w tym przypadku zdziałać, musi więc dalej uciekać. Znajdujemy tu pewną przestrożę, iż czynione dobro nie zawsze spotyka się z odwzajemnieniem czy nagrodą, jednocześnie jednak nie warto się zrażać (Arelka nie rezygnuje z okazywania dobroci po spotkaniu z czarownicą).

Mówiąc o miłości można zwrócić uwagę na motyw rozłąki. Jest on uznawany przez badaczy tematu za niezwykle istotny, szczególnie w kontekście wspomnianego powyżej i *żyli długo i szczęśliwie*. Według Brunona Bettelhaima, moment ten pozwala bohaterowi spełnić się poprzez odłączenie od swojego wcześniejszego opiekuna/rodzica i zyskanie nowego, dojrzałego życia¹⁵. Rozłąka dotyczy tutaj przede wszystkim Arelki i Arwota. Podjęta przez dziewczynę decyzja o sprzeciwieniu się ojcowskiej woli i ucieczce sprawia, że dorosłeje w oczach czytelników. Arelka bierze w tym momencie odpowiedzialność nie tylko za swój czyn, ale także za Lubonia, którego pokochała i odmieniła. Z rozłąką spotykamy się również w finale baśni, gdy poszczególni pozytywni bohaterowie przybierają różne postaci i nie mogą się już ze sobą komunikować. Ta rozłąka uwydatnia ich przegraną w walce z Arwotem, jednocześnie daje impuls odbiorcom do „kontynuowania” ich dzieła przez szerzenie dobra w świecie rzeczywistym.

Kolejny bardzo istotny motyw dotyczy posiadania wiedzy, która jest niezwykle potężną bronią w walce pomiędzy dobrem a złem. Może zostać użyta przez siły zła do zatrumfowania nad dobrem i odwrotnie. Jest symbolizowana przez wiedzę magiczną, do której początkowo dostęp ma tylko Arwot oraz podobne mu postaci (Lumcypierek, czarownica karpacka), a która z czasem staje się udziałem Arelki i Lubonia. Wiedza jest narzędziem, pozwalającym na kształtowanie rzeczywistości. Może postawić kogoś bardzo wysoko w lokalnej hierarchii (wzbudzający w ludziach strach Arwot), może komuś umożliwić odmianę jego życia (Luboń) i dokonywanie rzeczy wprost niemożliwych (Tomek zbiera rozrzucone po świecie skarby, Arwot panuje nad smokiem). Jej brak może być brzemienny w skutkach. Przyjaciele Tomka nie są w stanie powrócić do ludzkich postaci, zaś czarownica nie wie, jak zdjąć klątwę ze swego dziecka. Zdobywanie wiedzy wiąże się ze sporym wysiłkiem, zobrazowanym tutaj jako długi i ryzykowny proces odbierania księgi z rąk Arwota oraz próby jej odzyskania przez niego i Lumcypierka. Zdobycie wiedzy to jednak za mało, należy jeszcze umieć się nią posługiwać. Matka Arelki usiłowała bezskutecznie złagodzić złą moc wykradzionej księgi, co można tłumaczyć jako próbę przetworzenia wiedzy w narzędzie służące dobru. Tomek wykorzystywał ją do czynienia dobra, choć nie wystarczyła mu do obrony siebie i swoich bliskich przed niebezpieczeństwem ze strony osób, które w lepszym stopniu opanowały jej użytkowanie.

¹⁵ B. Bettelheim, *Cudowne i pożyteczne ...*, s. 51.

Baśniowy świat przepelniony jest wierzeniami i rytuałami. Mieszają się w nim zwyczaje pogańskie, praktyki magiczne, a także pierwiastek chrześcijański, reprezentowany przez kojarzony jednoznacznie z Chrystusem znak Krzyża. Baśń Zachary-Wnękowej przedstawia politeistyczną wizję świata. Obok chrześcijańskiego Boga wymieniona zostają także bogini poezji, Wiosna (prawdopodobnie także istota boska, w każdym razie nadludzka) oraz boginki rzeczne. Łączy ich to, że reprezentują siły dobra, wartości pozytywne, które zwalczają zło Arwota i diabła. W świecie rzeczywistym bóstwa innego rodzaju byłyby zapewne potraktowane jako istoty demoniczne, bliższe raczej Lumcypierkowi, jednak tutaj zostają podporządkowane uniwersalnej walce dobra ze złem. Religia chrześcijańska przyjmuje w utworze wymiar uproszczony, związany z jej pojmowaniem w sposób typowy dla przedstawicieli ludu, którzy traktują świętych oraz Osoby Boskie jako duchy opiekuńcze, traktowane na równi z bóstwami pogańskimi, nadal istniejącymi w pamięci i kulturze ludzi z gór.

W baśni obecna jest także próba wyjaśnienia lokalnych nazw, których geneza związana jest z wydarzeniami oraz bohaterami baśni. W przypadku Lubonia i Zarytego mamy proste powiązanie – nazwisko zbójnika oraz nawiązanie do tego, co stało się na kawałku ziemi, który w przyszłości stanie się rabczańską dzielnicą (konie „zaryły” tu kopytami). W przypadku Rabki autorka łączy wydawane przez biegnącego smoka dźwięki (powtarzane westchnienia *rab, rab, rab*) z pytaniem górali, przemawiających w lokalnej gwarze (*Ka pełźnies, ka?*). Etymologia taka jest oczywiście bardzo uproszczona i charakterystyczna dla utworów baśniowych lub legendarnych, gdzie dana nazwa to (mniej lub bardziej zniekształcone) imię czy nazwisko bohatera, ewentualnie nawiązanie do łączonego z nim czynu albo wydarzenia. Z podobną etymologią spotykamy się choćby u Wincentego Kadłubka w jego *Kronice*, gdzie (w części określonej przez większość badaczy jako zapis dziejów bajecznych państwa polskiego) tłumaczy on genezę nazwy „Kraków”. Koncept pochodzenia nazwy góry Luboń może być odbierany jako echo legendy o rycerzu Giewoncie.

Baśń o Luboniu nie jest zapewne utworem, który zna każde dziecko i osoba dorosła, nawet jeśli pochodzą oni z rodzinnych stron autorki. Nie można jednak odmówić jej rozmaitych walorów, takich jak dydaktyczne czy rozrywkowe oraz stanowienia materiału dla pasjonatów fantastycznych fabuł. Wspominając o fantastyce, warto przypomnieć niedawną inicjatywę związaną z omawianą baśnią. Utwór Zachary-Wnękowej stanowił w roku 2012 kanwę scenariusza dwuczęściowej gry miejskiej, którą organizowało lokalne Stowarzyszenie Promocji Kultury i Edukacji "Rabkon". Uczestnicy zabawy, wywodzącej się z harcerskich podchodów, poznawali postaci, takie jak Arwot czy Tomek Luboń, mieli okazję wziąć udział w poszukiwaniach magicznej księgi, która przysporzyła tyle kłopotów bohaterom utworu, odwiedzając rozmaite rabczańskie zakątki. Możliwe że w nadchodzącej przyszłości ktoś znowu sięgnie po opowieść o Arelce i jej ukochanym, by wykorzystać magiczny świat dla przybliżenia tego rzeczywistego.

Spis treści

Od redakcji	str. 7
Katarzyna Ceklarz <i>Rabczański park</i>	str. 9
Jan Ceklarz <i>Przedmowa do wspomnień Stanisława Dąbrowy-Kostki</i>	str. 28
Stanisław Dąbrowa-Kostka, Jan Ceklarz <i>Człowiek „nikt”</i> . <i>Opowieść o dwudziestu latach z życia Stanisława Dąbrowy-Kostki</i>	str. 30
Stanisław Dąbrowa-Kostka <i>Moje trudne CV</i>	str. 47
Katarzyna Ceklarz <i>25 lat Klubu Sportowego „Wierchy” (1941-1966)</i> <i>oczami Henryka Cieplińskiego</i>	str. 71
Jan Wieczorkowski <i>Moja przygoda z „Wierchami”</i>	str. 90
ks. Kamil Kowalczyk <i>Skawiański spór o dziesięcinę</i>	str. 97
Urszula Janicka-Krzywda <i>Grzeszny żywot zbójnika z Rabki</i>	str. 107
Dorota Majerczyk <i>Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych w Rabce-Zdroju</i>	str. 112
Maciej Gaździcki <i>„Baśń o Luboniu” Antoniny Zachary-Wnękowej - analiza i interpretacja</i>	str. 121
Spis treści	str. 131